

LIST OTWARTY

Tomku, co się z Tobą dzieje?!
– Tekieli pisze do Terlikowskiego



TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

CENA 7,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

NR 38/340 16-22 WRZEŚNIA 2019

Korwin-Mikke w ostrej
rozmowie: PiS i Platforma
to jedna klika

**DODATEK
SPECJALNY
ZBRODNI
SOWIECKIE
NA POLAKACH**



Czy Polska może polegać
na USA? – rozważa Makowski

NOWY EKSHIBICJONIZM

Jak uchronić dzieci przed samozwańczymi seksedukatorkami



MAJA OSTASZEWSKA

ANJA RUCIĆ

MARGARET

ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288829



9 772299 850000

Nakład: 77 tys. egzemplarzy

enr.pl 16e1157e



Na koncert

Gintrowski
a jednak coś po nas zostanie...

Zaprasza Mecenas



WARSZAWA TEATR POLSKI IM. ARNOLDA SZYFMANA
9 GRUDNIA 2019 R.



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

W stanie bezruchu

Dziwny ma przebieg obecna kampania sejmowa. Do jej końca został raptem miesiąc, i to niecały, a większość komentatorów uważa, że wynik jest przesądzony. Wszystkie praktycznie sondaże pokazują stałą i dużą przewagę PiS nad największą partią opozycji, czyli nad PO. Podobnie wszystkie wskazują na to, że najprawdopodobniej Zjednoczona Prawica będzie rządzić samodzielnie. Trudno się temu dziwić: od czasu przegranej w wyborach do Parlamentu Europejskiego opozycja nie potrafi się odnaleźć. Zastanawiam się, ile było już wpadek, błędów i groteskowych posunięć po jej stronie. Skąd one wynikają? Dlaczego opozycja jest tak słaba i, co najbardziej uderzające, niczego się nie uczy?

Pierwszą rzeczą, która rzuca się w oczy, jest niemoc programowa. Nie chodzi tylko o to, że tak sam lider, czyli Grzegorz Schetyna, jak jego współpracownicy zostali przyłapani na tym, że nie znają dokładnie punktów własnego programu wyborczego, owej nieszczęsnej „szóstki Schetyny”. Jeszcze większym problemem jest to, że Platforma praktycznie od początku podjęła z PiS walkę na polu, na którym musiała przegrać.

Pomysł, żeby przebić partię rządzącą, oferując większe wsparcie socjalne, niż robił to PiS, był z góry skazany na niepowodzenie. Niektóre pomysły opozycji – takie jak „500+” na każde dziecko czy 13. emerytura – zostały przez rządzących po prostu zręcznie przejęte. Inne, jak dopłata przez państwo stałej sumy gorzej zarabiającym, nie tylko mogłyby okazać się szkodliwe, ale, co gorsza, uniemożliwiłyby opozycji krytykę socjalnych posunięć PiS. Jak można atakować zapowiedź wzrostu pracy minimalnej? Jak można twierdzić, że polityka społeczna PiS polega na rozdawnictwie i zniechęca ludzi do pracy, sama oferując stałe dopłaty z kasy państwa do gorzej zarabiających? To się kupy nie trzyma. Krótko: hasło „Będziemy dawać to samo co PiS, ale jeszcze więcej” było od początku nedoręczne. Podobnie nie dało opozycji wskazywanie na rzekome łamanie przyrzeczeń wyborczych przez PiS. Akurat PO jest ostatnią siłą, która miałaby prawo taki zarzut czynić – to po pierwsze. A po drugie – na tle innych rządów w III RP PiS i tak zrealizował zaskakująco dużo swoich obietnic.

To, że nie da się przeciw rządzącym wykorzystać opowieści o rzekomym zamachu stanu, końcu praworządności

czy autorytaryzmie, widać było już od dawna. Powód jest prosty: propaganda, żeby być skuteczną, musi mieć związek z rzeczywistością. Tymczasem rozdziew między histerią opozycji, która najmniejszą wpadkę uważała za przejaw dziejowej katastrofy, a odczuciami większości wyborców był na tyle duży, że uniemożliwiał skuteczne zdobycie poparcia. Opozycja od początku dała się skolonizować wąskiej grupce radykałów i celebrytów. Kto nie umie opisać świata, ten nie może go też zmienić.

Wreszcie rzecz ostaniam, czyli personalia. O tym, że Grzegorz Schetyna jest jednym z najbardziej niepopularnych polityków w Polsce, wiadomo było od lat. Jeszcze zanim zaczęła się kampania do PE, a tym bardziej po niej, wiadomo było, że opozycja na czele ze Schetyną szansy na sukces nie ma. Z tego punktu widzenia wystawienie Małgorzaty Kidawy-Błońskiej można byłoby uznać za posunięcie racjonalne. Można byłoby, gdyby nastąpiło znacznie wcześniej, bo obecnie nie będzie miało znaczenia. W tak krótkim czasie nie sposób po prostu wypromować kandydatki. Ponadto, dokonując tego ruchu, należało znaleźć zgrabne wytłumaczenie, dlaczego się to robi. Oczywiście inne niż prawdziwe, czyli niż przyznanie się, że lud Schetyny nie lubi. Takiego opozycja nie znalazła. Jak zatem wyjaśnić swoim wyborcom, że to, co przez lata miało być głównym obciążeniem PiS – fakt, że Jarosław Kaczyński jako prezes partii nie został premierem – w przypadku PO ma być zaletą?

Przypatrując się kolejnym ruchom, choć pewnie lepiej byłoby w tym przypadku mówić o bezruchu, liderów opozycji, śmiało można powiedzieć, że PiS nie ma z kim przegrać. ©©

RYСУNEK TYGODNIA





TEMAT TYGODNIA

18 KAMILA BARANOWSKA

SEKSBOJÓWKA

Każdy może być ekspertem od seksu?

21 ROZMOWA Z PROF. URSZULĄ DUDZIAK

CELEBRYCI NIE SĄ WIARYGODNI, UCZĄC O SEKSIE

KRAJ

24 WOJCIECH WYBRANOWSKI

POJEDYNEK JEDYNEK

Gdzie dojdzie do najciekawszych starć?

28 PIOTR SEMKA

SZTUKA ZARZĄDZANIA STRACHEM

30 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

EMINIZACJA „GAZETY WYBORCZEJ”

32 MARCIN MAKOWSKI

SOJUSZ UREALNIONY

36 PIOTR GOCIEK

O WOLNOŚCI DEKONSTRUKCJI

38 ŁUKASZ WARZECHA

WYSOKA CENA FANABERII EKOLOGÓW

40 AGNIESZKA NIEWIŃSKA

BĘDZIE EKSHUMACJA CIAŁA MILIONERA?

KULTURA

42 ROZMOWA Z ALEKSANDRĄ SZARŁĄT

JAK ŻYLI NIEŚMIERTELNI

Biografia Andrzeja Żuławskiego

NIE PRZEGAP

46 NASZ PRZEWODNIK

FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

52 ROZMOWA Z JANUSZEM KORWIN-MIKKEM

TRZEBA ZBUDOWAĆ NOWE PAŃSTWO

Celem Kukiza jest zaszkodzić Konfederacji

56 ROBERT TEKIELI

CZY TERLIKOWSKI ZDRADZIŁ

60 TOMASZ ROWIŃSKI

ŚCIEŻKA KARIERY DLA JEDNOMYŚLNYCH

HISTORIA

62 GRZEGORZ MAJCHRAK

NIELEGALNY 17 WRZEŚNIA

Demonstracje w PRL

67 DODATEK SPECJALNY

ZBRODNI SOWIECKIE

85 DODATEK SPECJALNY

UKRADZONE DZIECIŃSTWO

91 DODATEK SPECJALNY

A JEDNAK WOJNA

ŚWIAT

96 TOMASZ P. TERLIKOWSKI

WOJNA O ORTODOKSÓW W KNESECIE

Izrael – wybory a sprawa Polska

100 ROZMOWA Z HISZPAŃSKIM BLOGEREM

PISZĄCYM O POLSCE

POLSKA JEST POGARDZANA ZA SWÓJ KATOLICYZM

EKONOMIA

102 ROZMOWA

Z CEZARYM KAŻMIERCZAKIEM

WYŻSZA PŁACA MINIMALNA TO NIEWIADOMA

Prezes Związku Przedsiębiorców i Pracodawców: Za dużo harców wokół gospodarki

106 JACEK PRZYBYLSKI

REWOLUCJA CORAZ BLIŻEJ

110 MACIEJ PIECZYŃSKI

KRYNICA, CZYLI „EUROPA JUTRA”

O ZDROWIU

112 KATARZYNA PINKOSZ

NOWOCZESNA MEDYCYNĄ CZY... STYL ŻYCIA?

Forum Ekonomiczne w Krynicy 2019

114 KATARZYNA PINKOSZ

RAPORTY „DO RZECZY” PODSUMOWANE

FELIETONY: SEMKA (8), ZIEMKIEWICZ, WYBRANOWSKI (10), KOWALCZUK (12), GMYZ, GOCIEK (16), ZALEWSKI, WOLSKI (55), ZYCHOWICZ, KOPER (66), WARZECHA (99), GABRYEL, RYBIŃSKI (105), KOMUDA (116), CENCKIEWICZ (120), JASTRZĘBOWSKI, MAKOWSKI (121), KATARZYNA (122), ŁYSIAK (123)



PARTNER
STRATEGICZNY
VII EDYCJI NAGRODY

STRAŻNIK PAMIĘCI

2019



Drodzy Czytelnicy,

Najszyszą drogą do znalezienia się w rubryce „Listy” jest przesłanie e-maila na adres: listy@dorzeczy.pl. Zapraszamy i zachęcamy do kontaktu

„Bardzo zła śmierć”, Piotr Włoczyk, „DR” 37/2019

Chyba żaden argument przeciwko lewicowej ideologii nie działa tak jak przedstawienie drastycznych jej efektów. Byłam i wciąż jestem wstrząśnięta po przeczytaniu artykułu „Bardzo zła śmierć” i aż trudno uwierzyć, że prawo i praktyka dotyczące eutanazji doszły w Holandii do takiego miejsca. To się nie mieści w głowie, że zabija się tam (lub „pomaga popełnić samobójstwo”) ludzi zupełnie zdrowych fizycznie; że jedną z pacjentek (przykład przedstawiony w artykule) trzymano przed podaniem śmiertelnego zastrzyku, bo jej uciekanie przed igłą, jej ostatnią oznakę woli życia potraktowano jako nieracjonalny odruch spowodowany chorobą Alzheimera.

Wstrząsająca historia, jej lektura nie należy do przyjemnych, ale trzeba o tym krzyczeć, przestrzegając przed budowaniem cywilizacji śmierci. Dziękuję za to, że stoicie na straży życia i normalności w świecie, w którym wartości znaczą coraz mniej.

Imię i nazwisko
do wiadomości redakcji

Patrioci w każdej gminie

Szanowni Państwo!

Chciałbym zwrócić uwagę na świetną inicjatywę, czyli Roty Niepodległości, tj. sieć organizacji, mającą być przeciwwagą dla destrukcyjnych liberalno-lewackich środowisk finansowanych z zagranicy! [...]

Pochodu marksistowsko-tęczowej zarazy nie da się powstrzymać jedynie przy pomocy niewielkich liczebnie partii politycznych, nawet gdyby te wygrywały wybory co cztery lata. Siły liberalno-lewicowe mają tak duże wsparcie i finansowe, i logistyczne, pochodzące od ich liberalno-lewicowych mocodawców z państw upadłej cywilizacji Zachodu, że

jedynie w miarę masowy ruch społeczny (trochę taka Solidarność XXI w.) jest w stanie stać się skuteczną zaporą dla fali tego neomarksizmu!

Jeśli w każdej gminie powstanie Rota, której uda się zaangażować chociaż 100 osób, to będzie to szansa na odtwarzanie lokalnych elit w duchu patriotycznym i chrześcijańskim! Takich 250 tys. aktywnych patriotów to będzie naprawdę realna siła! Życzę, aby już na pięciolecie działalności udało się stworzyć tak liczebnie silną, a do tego głęboko patriotyczną społeczność! Mam jednak nadzieję, że o wiele większą liczbę Polaków uda się przebudzić do działalności skierowanej przeciwko dekonstrukcji Polski i polskiej tradycji, a przede wszystkim przeciwko dekonstrukcji cywilizacji chrześcijańskiej w Polsce – wiem z licznych wypowiedzi, że cywilizacja chrześcijańska jest



szczególnie bliska pomysłodawcom tego patriotycznego ruchu, którym mają stać się Roty Niepodległości!

Będę się modlił o to, aby ten zapal, ten jeszcze wąty i mało widoczny płomień, rozpalili się w sercach i umysłach Polaków i aby swoim gorącym żarem objął także serca innych narodów europejskich, tak aby stały się one zdolne do walki o przywrócenie Boga i cywilizacji chrześcijańskiej w przestrzeni społecznej i politycznej krajów Europy! [...]

Imię i nazwisko
do wiadomości redakcji

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Z ZESPÓŁEM: Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), **Andrzej Dziekan**, **Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:

Cezary Gmyr, **Piotr Gociek**, **Waldemar Łysiak**, **Krzysztof Masłoń**, **Piotr Semka**,
Łukasz Warzecha, **Rafał A. Ziemiękiewicz**
Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamil Baranowski, **Olivier Bault**, **Robert Bogdański**, **Joanna Bojarczyk**,
Grzegorz Brzozowicz, **Slawomir Cenciewicz**, **Wiesław Chelminiak**,
Dominika Ćosić (Bruksela), **Krzysztof Czabański**, **Piotr Gursztyn**,
Maria Kądzelska, **Katarzyna**, **Jacek Komuda**, **Slawomir Koper**,
Piotr Kowalczyk (Rzym), **Jakub Kowalski**, **Grzegorz Kucharczyk**,
Tomasz Lenczewski, **Ewa Łosińska**, **Łukasz Majchrzyk**, **Marcin Makowski**,
Monika Małkowska, **Karolina Marchlewska-Tzaniel**, **Gabriel Michalik**,
Filip Memches, **Agnieszka Niewińska**, **Andrzej Nowak**, **Maciej Pieczyński**,
Katarzyna Pinkosz, **Witold Repetowicz**, **Agnieszka Rybak**, **Krzysztof Rybiński**,
Stefan Sękowski, **Joanna Siedlecka**, **Teresa Stylińska**, **Artur Szeremeta**,
Tomasz P. Terlikowski, **Błażej Toralski**, **Szewach Weiss**, **Piotr Włoczyk**,
Marcin Wolski, **Tomasz Wróblewski**, **Wojciech Wybranowski**,
Igor Zalewski, **Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Antoni Trzmiel** (także dziennikarz Telewizji Polskiej) z zespołem: **Karol Gac** (zastępca), **Blanka Aleksowska**, **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Zofia Magdziak**, **Anna M. Piotrowska**,
Małgorzata Puzyr, **Damian Cygan**, **Jan Fiedorczuk**, **Przemysław Harczuk** (także „Super Express”)

Studio graficzne: **Wojciech Niedziółko** (szef studia), **Jakub Tański**,
Jacek Nadratowski, **Anna Sobieska-Wójtowicz**, **Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoredakcja: **Edyta Bortnowska**, **Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś**, **Anna Zalewska**, **Marzena Dobosz**,
Agnieszka Wasilewska

Rysownicy: **Andrzej Krauze**, **Cezary Krzysztopa**
Okładka: **R. Nawrocki**, **K. Zatycki/Forum**, **J. Rojek/DOTV/News**
oprac. graf. **SUNDAY/JAN**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**

Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy
Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Zarząd PMPG Polskie Media SA:

Piotr Piaszczyk, **Robert Pstrokoński**, **Ewa Rykaczewska**

Zarząd Spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, **Paweł Lisicki**

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel. 500 112 386

PUBLIC RELATIONS
(PR manager), pr@mpmg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzęcki (kolportaż);

Joanna Nowakowska (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@mpmg.pl; tel.: +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288829

Nakład 77 tys. egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:

Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując z Centrum Obsługi Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7-17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/



*Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości,
ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości
ani prawa do przyszłości.*

Józef Piłsudski



STRAŻNIK PAMIĘCI

2019

ZGŁOSZENIA KANDYDATÓW DO NAGRODY
PRZEŚLIJ DO 30 WRZEŚNIA 2019 r.

NA ADRES REDAKCJI TYGODNIKA „DO RZECZY”
LUB E-MAIL: STRAZNIKPAMIECI@DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI: DORZECZY.PL/STRAZNIK-PAMIECI

PARTNER STRATEGICZNY:



PARTNER GŁÓWNY:



PARTNERZY:





PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Duchy przodków

Jedno można powiedzieć na pewno, Małgorzata Kidawa-Błońska, była marszałek Sejmu, prawnuczka Władysława Grabskiego, dwukrotnego premiera PL i ministra skarbu oraz Stanisława Wojciechowskiego, minister spraw wewnętrznych i prezydenta RP, ma papiery na bycie kandydatką na premiera RP – taki pogląd wyraził Jacek Nizinkiewicz z „Rzeczpospolitej”. Niedługo potem tygodnik „Polityka” umieścił na okładce Kidawę-Błońską na tle sepiowanej fotografii dwóch słynnych przodków z epoki II PR i wybił tytuł „Prawnuczka”.

Pierwsza na grę przodkami zareagowała lewica. Anna Sikora, kandydatka partii Razem z Sieradza, odpowiedziała wyzywającą ripostą: „A ja jestem prawnuczką Franciszka Ksawerego Sikory. Niepiśmiennego rolnika spod Działoszyna. Nie mam żadnych papierów na cokolwiek. Ale mam w sobie ten tupet i też kandyduję. [...] Bo nie rodowód decyduje o tym, jaką człowiek ma wartość”. Głos zabrała też Anna Maria Żukowska z SLD: „Łaaa. Polityka – robicie pani marszałek krzywdę sprowadzając ją do egzemplifikacji teorii predestynacji z uwagi na błę-

kitną krew. To nie mężczy prądziadowie decydują o jej wiarygodności politycznej”. Jan Śpiewak z kolei kpiarsko pytał, czy drukując takie okładki, „Polityka” włączyła się już w kampanię po stronie PiS?

Niewiele mniej kąśliwych reakcji przypominanie rodowych koneksji kandydatki KO na premiera wywołało na prawicy: „To jednak przeszłość ma znaczenie? W takim razie może redakcja napisze o rodzicach Schnepfa, Michnika, Cimoszewicza. Przecież jest czym się chwalić!”.

Szczerze mówiąc, nie spodziewałem się, jak ogromną irytację wywoła sprawa rodzinnych koligacji byłej marszałek Sejmu. Skąd tyle emocji?

Po pierwsze, lewica walczy w tych wyborach o ten sam elektorat co Koalicja Obywatelska. Skoro tak, to epatowanie przodkami pozwala na wykazanie się egalitarnym pryncypializmem. Chociaż gdy Anna Maria Żukowska zarzuca „Polityce” teorię predestynacji z uwagi na błękitną krew, to strzela kulą w płot. Stanisław Wojciechowski całe życie był socjalistą. Władysław Grabski, zanim został endekiem, także zaczynał od sympatii socja-

listycznych – jego brat Stanisław był nawet jednym z założycieli Polskiej Partii Socjalistycznej. Obaj wywodzili się z dość niezamównej szlachty. Gdzie jest więc ta „błękitna krew”?

Po drugie, temat przodków w Polsce na razie obciążony jest kwestią dziadków i ojców z KPP i UB, więc „Polityka” zapuściła się na obszary, które dla lewicy powinny być jak kruchy lód.

Po trzecie wreszcie – wciąż świeża jest pamięć o arystokratycznym snobizmie, który hulał w nieboszczce Unii Wolności. Fani Bronisława Komorowskiego wyliczali jego rodowe koligacje z królową Belgii Matyldą, a sztabowcy w eurokampanii Róży Marii Barbary Gräfin von Thun und Hohenstein, licząc na galicyjski cesarsko-królewski snobizm, obnosili po Krakowie wielometrowy banner z jej superarystokratycznym nazwiskiem.

Wniosek nasuwa się jeden – na powoływaniu się na słynnych przodków można w Polsce więcej stracić, niż zyskać. Nieprzypadkowo byliśmy do rozbiorów krajem, w którym dogmat równości szlachty był traktowany śmiertelnie serio. Coś z tego zostało do dziś. © ©



FOT. LOKHEED MARTIN

JEST ZGODA NA SPRZEDAŻ F-35 POLSCIE

Departament Stanu USA wyraził zgodę na sprzedaż Polsce wielozadaniowych samolotów bojowych F-35. Zgodę musi jeszcze wydać amerykański Kongres. Zakup 32 najnowocześniejszych na świecie myśliwców kosztować ma 6,5 mld dol. i objąć również szkolenie pilotów oraz pomoc logistyczną i techniczną. (luz) © ©

RESORT: WSPIERAJ POLSKIE PRODUKTY

Ministerstwo Rolnictwa i Rozwoju Wsi wraz z Krajowym Ośrodkiem Wsparcia Rolnictwa rozpoczęły drugą edycję ogólnopolskiej kampanii, której celem jest zwiększenie świadomości konsumentów – dzięki akcji mają łatwiej rozpoznawać w sklepach polskie produkty. Hasłem przewodnim jest „Produkt polski”. Takim logo swoje wyroby mogą oznaczać firmy, które tworzą je z produktów dostępnych na terenie kraju (dopuszcza się udział do 25 proc. importowanych składników jedynie w przypadku, gdy nie są one wytwarzane w Polsce). Oznakowanie przedsiębiorcy mogą za darmo pobrać ze strony resortu rolnictwa.

Jednak jego bezpodstawne użycie – czyli wówczas, gdy produkt nie spełnia kryteriów – grozi ukaraniem. We wrześniu w ramach kampanii w ogólnopolskich stacjach telewizyjnych oraz za pośrednictwem ogólnopolskiej stacji radiowej emitowane będą spoty informacyjne. A dla rolników i producentów żywności we wszystkich województwach odbędzie się cykl szkoleń „Akademia Polska Smakuje”. Uczestnicy tych spotkań dowiedzą się, jakie są kryteria, a także zalety stosowania na produktach oznaczenia „Produkt polski”. Więcej o kampanii na stronie: polskasmakuje.pl. (luz) © ©



FOT. ADRIAN STOLIK

Łącząc siły, mikro-, mali i średni przedsiębiorcy mogą być bardziej konkurencyjni, stworzyć lepszą ofertę, pozyskać więcej klientów i zoptymalizować koszty. Firmy ze wschodniej Polski na wspólne działania mogą też pozyskać duże dofinansowania

Potrzebne są pomysły i przynajmniej jeden partner biznesowy do jego realizacji. Wtedy dla małych i średnich przedsiębiorstw z Polski Wschodniej (województwa: lubelskie, podkarpackie, podlaskie, świętokrzyskie i warmińsko-mazurskie) otwiera się droga do dużych pieniędzy z programu „Tworzenie produktów sieciowych przez MŚP”. Przedsiębiorstwa, które wspólnie z innymi firmami chcą wprowadzać na rynek innowacyjne produkty pod jedną marką, mogą otrzymać dofinansowanie z Programu Operacyjnego Polska Wschodnia wynoszące nawet do 80 proc. kosztów kwalifikowanych.

JEZIORA I ŚLIMAKI

Wśród projektów, które dofinansowano z funduszy przeznaczonych dla Polski Wschodniej, jest sieciowy produkt turystyczny „Mazury na szlaku kultury”. Realizujące go przedsiębiorstwa pozyskały ponad 19,2 mln zł dofinansowania. Firmy połączyły siły, by na terenie Krainy Wielkich Jezior Mazurskich stworzyć

pakiet usług turystycznych objętych wspólną ceną, wspólnym standardem i promocją, oferowanych pod wspólną marką. I tak na przykład wśród produktów oferowanych turystom znalazły się: catering na wodzie oraz organizacja i obsługa dużych wydarzeń na wodzie, sieciowa wypożyczalnia sprzętu turystycznego, organizacja wydarzeń kulturalnych, biznesowych i sportowych.

Firmy uczestniczące w innym projekcie dofinansowanym z funduszy dla Polski Wschodniej połączyły... ślimak. Trzy przedsiębiorstwa postanowiły wykorzystać jego potencjał w gastronomii oraz kosmetologii, próbując ściągnąć turystów poprzez unikatową ofertę gastronomiczną opierającą się na daniach ze ślimaka, potrawach regionalnych i tradycyjnych Warmii i Powiśla, usługach SPA z wykorzystaniem śluzu ślimaka z ekologicznych hodowli, dopełniając ofertę kosmetykami wytworzonymi na bazie śluzu ślimaka.

Sebastian Głąbicki, kierownik Departamentu Projektów Infrastrukturalnych Polskiej Agencji Rozwoju Przedsiębiorczości, przekonuje, że zwłaszcza małe i średnie przedsiębiorstwa powinny wykorzystywać siłę synergii. – Wspólne działanie na rynku daje dodatkowe korzyści nieosiągalne w przypadku działania w pojedynkę. W wyniku współpracy tych podmiotów oferta w postaci końcowego produktu powinna lepiej odpowiadać na oczekiwania klientów, co przełoży się ostatecznie na wynik finansowy poszczególnych przedsiębiorców. Prze-

waga konkurencyjna będzie budowana również poprzez zmniejszenie kosztów przygotowania produktu i jego promocji, jako że koszty te zostaną zoptymalizowane w ramach grupy przedsiębiorstw – mówi Głąbicki. – Liczymy również na to, że pierwsze doświadczenia podmiotów we wspólnej realizacji projektu przełożą się na kolejne pomysły i rozwój zapoczątkowanej współpracy oraz utworzonych produktów sieciowych – dodaje.

ŚRODKI CZEKAJĄ

Trwający obecnie nabór wniosków o dofinansowanie jest dostępny bardziej niż kiedykolwiek. Zmniejszono minimalną wartość projektu z 7 do 5 mln zł, zwiększono limit inwestycji w miejsca noclegowe z 15 do 35 proc. całości wydatków, a także umożliwiono aplikowanie o środki pojedynczym firmom (kooperującym z innymi, jednak bez konieczności zawierania formalnego konsorcjum). – Liczymy, że wszystkie te zmiany przełożą się na pełniejsze wykorzystanie dostępnych środków, co jednocześnie doprowadzi do tego, że dofinansowanie otrzyma większa liczba przedsiębiorców MŚP z terenu Polski Wschodniej. W szerszym ujęciu gospodarczym powstaną dziesiątki nowych miejsc pracy i zwiększona zostanie konkurencyjność całego regionu, prowadząc do zmniejszenia różnic w zakresie rozwoju gospodarczego między województwami Polski Wschodniej a resztą kraju – mówi Sebastian Głąbicki. Wnioski można składać do 31 października.



RAFAŁ A.
ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Zamiana klatek

PR-owska metafora „kopania w klatkę”, przypisywana Igorowi Ostachowiczowi, jest dziś wśród dziennikarzy używana tak powszechnie, że aż głupio mi ją wyjaśniać – ale może nie wszyscy czytelnicy wiedzą, o co chodzi. Za tłustych czasów Platformy Obywatelskiej tak to tłumaczono jej działaczom na poufnych szkoleniach: Kaczyński jest jak

kopnąć w klatkę. „Kopanie w klatkę” polegało zwykle na różnych obrzydliwych atakach na śp. brata albo mamę, w czym wyspecjalizowali się Palikot i Niesiołowski.

Czasy zmieniły się diametralnie – czego symbolem jest zamienienie się liderów PO i PiS miejscami na początku i końcu rankingu zaufania. Dzisiaj to stuszczone PiS jest partią spokoju i „cieplej wody”, a PO spisała i stała się partią oszołomów, ganiających z wrzaskiem po ulicy i agresywnie delegitymizujących państwo. Zamianie uległo także to, kto jest wewnątrz klatki, kto w nią kopie. Sama zasada polityki „straszenia ludzi małpą” – nie.

Po co PiS przerwał posiedzenie Sejmu, z opcją dokończenia go po wyborach? Moim zdaniem właśnie po to, żeby wszyscy się nad tym zastanawiali, a opozycja krzyczała o szykowanym stanie wojennym, zamachu stanu i unieważnieniu wyniku wyborów. Wszystkie te –

delikatnie mówiąc, mało prawdopodobne – strachy opozycji mają to do siebie, że sesja Sejmu nic w nich nie pomaga, a we wprowadzeniu stanu wojennego wręcz by przeszkadzała. Po wyborach Sejm nie będzie mógł zrobić niczego, czego by nie mógł teraz. A że tak nigdy nie było? W Polsce nie, ale na przykład Parlament Europejski zawsze ma posiedzenie w starym składzie już po wybraniu nowego.

Zresztą fakt, że wielu posłów PiS nie głosowało w tej sprawie i przeszła ona tylko dzięki nieobecności opozycji, nie wskazuje na żaden „perfidny plan Kaczyńskiego”. Cel jest jeden – zająć uwagę opozycji i jej mediów dociekaniem, a wyborcom jeszcze raz dobitnie pokazać, że to świry. A gdy już parlament się zbierze, okaże się, że chodziło o przyjęcie rocznicowej uchwały w 170-lecie śmierci Fryderyka Chopina... Albo coś takiego. ©©

Po wyborach Sejm nie będzie mógł zrobić niczego, czego by nie mógł teraz. A że tak nigdy nie było?

małpą w klatkę, która wrzeszczy, miota się i straszy wyborców – że nas pokłóci z Rosją, z Niemcami, słowem – zaszkodzi konsumpcji. W naszym interesie jest, żeby wrzeszczała jak najgłośniej i bez przerwy, więc trzeba co i raz



WOJCIECH
WYBRANOWSKI

CZERWONE I CZARNE

Wysoki sąd idzie...

Zdarzyło mi się „googlować” w poszukiwaniu najczęściej używanych przez fanów opozycji – w ostatnich czterech latach – zwrotów. Wyniki wskazały na trzy z nich: „demokracja”, „wolne sądy” i „wolne media”. Demokracja, jak widać, przed jesiennymi wyborami ma się w Polsce dobrze, gorzej jest z „wolnymi mediami”. A przynajmniej w środowiskach, które ogłaszają się „wolnymi sądami”. Wygląda na to, że część środowiska sędziów zabrała się za tych, którzy patrzyli im krytycznie na ręce.

I tak sędzia Jacek Sadowski, zaangażowany w obronę nadzwyczajnej kasty, której rozbicia domagał

się publicysta Rafał A. Ziemkiewicz, wydał wobec niego wyrok mogący zabić go finansowo. Powód? Rafał rzekomo miał w polemice na Twitterze znieważyć feministkę Annę Dryjańską, znaną z obrony „wolnych sądów”. Sędzia w uzasadnieniu zlekceważył to, że publicystyka od zawsze cieszy się przywilejem korzystania z barwnych określeń, odpowiedź Rafała była zaś adekwatna do poziomu dyskusji zainicjowanej przez feministkę.

Kilka miesięcy wcześniej inny sędzia wydał – zaocznie – wyrok nakazujący pisarzowi i publicyście Jackowi Piekarze, krytykowi sądowych układów, zapłatę około pół

miliona złotych Dorocie Wellman. Za co? Bo pisarz skrytykował ją w necie za proaborcyjne poglądy.

Niedawno sąd uznał Sławomira Cenciekiewicza za winnego rzekomego znieważenia polityka PO Sławomira Nowaka. Jak? Ano Cenciekiewicz, tak jak setki internautów, podał dalej w necie mema krytykującego polityka opozycji, jednak – to oczywiście też przypadek – sąd uznał, że ukarze właśnie jego.

Podobnych przypadków orzecznictwa „wolnych sądów” wobec publicystów popierających reformę sądownictwa jest znacznie więcej. A wolność słowa? Cicho, morda w kubeł. ©©

KUPOJ ŚWIADOMIE

Kupując żywność z oznaczeniem



masz pewność, że została
wytworzona w Polsce
na bazie krajowych surowców



Wybierając żywność
ze znakiem



Oznaczenie
produktów tym znakiem
jest DOBROWOLNE

wspierasz polskich producentów
oraz krajową gospodarkę
i rolnictwo



www.polskasmakuje.pl/produkt-polski/





PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Transformizm po włosku

Jeszcze w sierpniu w Italii, podobnie jak gdzie indziej, termin „transformizm” zarezerwowany był dla przeddarwinowskiego ewolucjonizmu, zgodnie z którym organizmy zmieniały się stopniowo, dając początek nowym gatunkom. Włoscy postępowi mądrze właśnie podkradli uczone słowo, zasadzili je w ogródku polityki i na wyścigi podlewają.

Dotychczas, jeśli jakieś ugrupowanie polityczne lub polityk diametralnie zmieniali poglądy i zawierali sojusze ze swoimi zaprzysięgłymi wrogami, by utrzymać się przy władzy lub po nią sięgnąć, nazywało się to zdradą, zaprzaniem, wiarołomstwem i apostazją.

We Włoszech antysystemowy Ruch Pięciu Gwiazd, który łatwo pomylić z Królem Maciusiem I i jego dworem, 15 miesięcy temu stworzył koalicję rządową z ultrapravicową Ligą, a teraz, by nadal

rządzić, związał się z lewicową Partią Demokratyczną, wyznającą religię ortodoksyjnej poprawności politycznej pożenionej z socjalizmem. Przy czym jeszcze miesiąc temu demokraci i „gwiazdziści” darzyli się nieskrywaną nienawiścią i wymieniali inwektywy, które nie nadają się do druku. Dzisiaj piją sobie z dziobków.

Jak więc bez utraty twarzy wytłumaczyć swoim zwolnikom tę karkołomną zmianę punktu widzenia, porównywalną z przewrotem kopernikańskim? Żeby nie nazwać rzeczy po imieniu, postępowcy sięgnęli po „transformizm”, który teraz wylewa się ze stron włoskich gazet i odmieniany jest przez wszystkie przypadki przez gadające głowy w telewizyjnym okienku.

Cóż więc dziś znaczy po włosku „transformizm”? To zmiana poglądów i lojalności w imię interesu politycznego, tłumaczona wyższą koniecznością. Można przy okazji wyczytać i usłyszeć, że to postawa w pełni usprawiedliwiona, bo powszechna w dzisiejszych ponurych i trudnych czasach upadku wszelkich ideologii oraz zasad. Słowem, jak tłumaczą postępowi mądrze, można jednego dnia mówić jedno, a drugiego zupełnie co innego, bo „taki mamy klimat”.

Tak więc w Italii nie ma już zdrajców ani zaprzających. Każdy z nich może z dumą powiedzieć: „Jestem transformistą”. ©©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.



MIĘDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Akcja emigracja

Na miesiąc przed wyborami, gdy opozycja zwiera szeregi, a Grzegorz Schetyna oraz Włodzimierz Czarzasty zagrzewają do walki, gdzieś w głębi Twittera istnieje zakonspirowana grupa antypisowskich defetystów, którzy na wyniki 13 października czekać nie będą. Chętnie wezmą za to sprawę w swoje ręce. A właściwie w nogi i portfele. Oddajmy im głos. „Droży PiS-owcy! Powiem Wam tak. Ja sobie poradzę. Mogę w dowolnym momencie przenieść swoje centrum życia do innego kraju w Europie. A Wy zostaniecie z PiS-owskim krachem gospodarczym i totalitarnym reżimem z ręką w nocniku! Wasz wybór. #OdbierzMałpieBrzytwę” – poinformował FanTomas Szary, podpisujący się jako członek Strefy #SilniRazem.

Nie wszyscy jednak pałali podobnym optymizmem. „A co będzie, jak zamkną granice? Kaczyński do wszystkiego jest zdolny :O” – wyraził zaniepokojenie Piotr Makowiec. „Poprosiłem żonę, żeby skontaktowała się z agentem nieruchomości i wystawiła dom na sprzedaż. Nie żartuję. Dzieci są małe – 5 i 9. Ostatni dzwonek, żeby się wynieść z PiS-owskiego qrwidółka” – motywował kolegę FanTomas, wyraźnie sugerując, że zamiast narzekać, trzeba wiać, póki jeszcze pozwalają.

Albo brać przykład z tych, którzy już podobną drogę przeszli. „Wszystko sprzedałam miesiąc temu i przelałam zasoby finansowe poza kraj. Spaliłam też wszelkie kredyty, aby mieć spokój. Moje centrum życia jest poza Polską od 2017. Niestety #wybory2015 przypomniły mi przeszłość boleśnie. #drugaemigracja #akcjaemigracja” – podzieliła się doświadczeniem niejaka Reality Glimpses.

Gdyby jakimś cudem ich prognozy się nie sprawdziły, jest pewien pomysł na podreperowanie wizerunku rządu. „Jakby CBA zatrzymało Brzęczka, to PiS miałoby 6 punktów więcej w sondażach i w konsekwencji większość konstytucyjną” – podpowiedział Michał Majewski po meczu Polska–Austria na Stadionie Narodowym.

Tylko obawiam się, że nawet bez Brzęczka nadziei już nie ma, gdy zawodzą ostatnie warownie demokracji. „Serwis informacyjny TVN przypomina ogłoszenia parafialne. Co się dzieje? Macie takie instrukcje od właścicieli czy boicie się przejęcia przez reżim?” – pytał w próżni Jan Hartman. ©©

— Stęskam, że kade skropat

no, eee...



Cezary Krzysztof

Warszawa: **101 FM, DAB+**

Ostrołęka: **100,8 FM**

Płock: **101,9 FM**

Ostrów Maz.: **87,6 FM**

Radom: **89,1 FM**

Siedlce: **103,4 FM**



www.rdc.pl



facebook.com/radiordc



instagram.com/radiodlaciebie



twitter.com/rdcpolskieradio

Posłuchaj nas: **101 FM**

www.rdc.pl/rdcplayer

Aplikacja **Radio RDC**





FOT. PAVEŁ GRODZKA

PRZEPRASZAM, ALE TO GUCCI

Małgorzata Rozenek-Majdan na mecz gwiazd TVN postanowiła zabrać swoich dwóch synów. Oczywiście odpowiednio ubranych. Jasne dżinsy, kolorowe sweterki i sportowe obuwie zwracały uwagę do tego stopnia, że na Instagramie Małgorzaty pojawiły się komentarze jej fanów, że przykłada zbyt dużą wagę do strojów swoich dzieci. Innymi słowy, że dzieciaki są przestylizowane. – Za każdym razem tacy wystylizowani, w tych sweterkach z wielkim logo Ralphi Laurena – zauważyła jedna z fanek. Rozenek zareagowała natychmiast. „Przepraszam, ale Staś i ja w Gucci” – napisała. Przydadzą się jakieś wyrazy wsparcia dla Małgorzaty Rozenek. Wyobrażamy sobie, jakim szokiem musi być dla niej fakt, że ktoś może nie odróżnić RL od Gucciego!

ODEBRANA RADOŚĆ ŻYCIA

Celebrytka Julia Wieniawa żali się na swój ciężki los gwiazdy. Niby nic nowego w show-biznesie, ale nas nieustannie bawią pretensje celebrytek, że są traktowane jak celebrytki.

– Media trochę mi zabraniają bycia tą młodą osobą, wymagając ode mnie więcej, niż powinny, z racji mojego wieku. Mam wrażenie, że mnie już nie wolno się pomylić. Dlatego przypominam, że mam dopiero 20 lat, jestem młodą dziewczyną, która spełniła swoje dziecięce marzenia – mówi celebrytka. – Przez to, że moje życie zawodowe tak szybko się potoczyło, straciłam tę spontaniczną radość: „O, piątek, piąteczek, piątunio, to idę na imprezę, sobotą odsypiam, niedzielę odsypiam, a w poniedziałek idę do pracy albo do szkoły”. Nie mam tego, bo często w sobotę i niedzielę pracuję, a mój weekend czasami wypada we wtorek i w środę albo wcale go nie mam. Więc nie mogę sobie pozwolić ze znajomymi, odstresować się, napić prosecco i spędzić miło czas, bo takie jedno wyjście oznacza potem dla mnie ogromną ilość kłopotów – żali się Julia. Ale żeby gwiazda formatu Julii Wieniawy nie mogła się w spokoju prosecco w weekend napić? Świat schodzi na psy.

JAK GWIAZDORZY GWIAZDOR

Prezenter Tomasz Kammel opowiedział na Instagramie mrozącą krew w żyłach historię, która przytrafiła mu się ostatnio w kawiarni. Otóż niedobra pani ekspedientka nie chciała mu podgrzać rogalika! Rozumiecie? Chciała, by

Kammel Tomasz zjadł go na zimno. Niewybacalne. Z pomocą przyszła inna ekspedientka, która wymieniła mu zimnego rogalika na takiego prosto z pieca. Ciepłego! – Można? Można! Tylko trzeba mieć w głowie klientocentryczność, a nie procedurocentryczność. Jedna z pań zachowała się modelowo. Złego słowa nie mogę i nie chcę powiedzieć ani o niej, ani o kawiarni (pyszne croissanty). Trochę zmartwiła mnie za to druga. Dlatego do niej i do wszystkich z młodszym PESEL-em taka prośba: przemyslcie, poza kontuar



FOT. MICZYSŁAW WŁODARSKI/REPORTER

wychodzą ci, którzy mają odwagę wyjść poza schemat. Inni tkwią w miejscu, usprawiedliwiając się procedurami. To łatwe i ma się święty spokój. Ale czy w życiu chodzi tylko o spokój? – podsumował całą historię Kammel. Internauci niestety nie wykazali się empatią wobec dramatu Kammela. Poradzili mu, by

zjadł snickersa, bo zaczyna gwiazdorzyć. Co też Kammel po przemyśleniu sprawy uczynił. Okazuje się, że święty spokój jest jednak w życiu ważny.

SKANDAL NA SALONACH

Aktorka Aleksandra Domańska opowiedziała o swojej walce z kompleksami. Walka zaczęła się jeszcze, gdy była w szkole teatralnej.

– Usłyszałam tam, że grając, powinnam trzymać wysoko głowę, bo wychodzi mi drugi podbródek – wspomina Ola. Później na planie wielokrotnie słyszałam: „Pamiętaj, głowa wyżej i wciągnij brzuch”. Potem usłyszałam od stylistki, że nie powinnam nosić sukienek na ramiączkach, bo „widać mi bułki”, „Co widać?!”. „Bułki”. I pokazała na fałdkę pod pachą. Od tego momentu przez kolejne dwa lata miałam totalny kompleks tych bułek – zdradziła w wywiadzie. Z kompleksów wyleczyła ją podróż do Danii. – Ten wyjazd zmienił też moje podejście do ciała. W Danii ciało nie jest żadnym tabu. Dziewczyny na plaży chodziły topless, nieumalowane, z cellulitem tu i tam – młode i stare, grube i chude – opowiadała. Aktorka zapowiada, że nie zamierza już poddawać się terrorowi show-biznesu. – We wrześniu mam dwie premiery i zamierzam pójść na nie nieumalowana, w tej samej sukience i butach, z „podbródkami i bułkami” – zapowiada. Ależ szykuje się skandal na salonach! Dwa razy w tej samej kiece? Trudno wyobrazić sobie większy. ©

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW



Kochani, mamy bardzo mieszane uczucia wobec planów podniesienia płacy minimalnej przez rząd. Otóż z jednej strony od lat jesteśmy orędownikami pomysłu, aby płaca minimalna była równa przynajmniej średniej krajowej.

Z drugiej strony podniesienie płacy minimalnej to jednak pomysł pisowski, a więc co do zasady niegodny poparcia. Przy okazji pokazuje, ponownie, pogardę, którą Kaczafi ma wobec własnego elektoratu. Rzuca ludziom cztery koła i myśli, że się będą cieszyć:/

Jest to of kors również dzielenie społeczeństwa, iż jedni otrzymają płacę minimalną, a inni nie. Pewnym sprawdzonym rozwiązaniem byłoby w tym przypadku więc równanie w dół – tak, iżby każdy zarabiał płacę minimalną, ale pod warunkiem że wyniosłaby ona np. 125 proc. średniej krajowej. Do tego trzeba jednak polityki uprawianej z wizją i myślą

o wszystkich obywatelach, a nie tylko o swoim elektoracie.

Słyszeliście już pewnie o pobiciu judeosoby w Warszawie, o czym pisały media, które w tytułach zapomniały napisać, iż napastnikami były osoby pochodzenia arabskiego?

Otóż słusznie, iż nie epatowano czytelnika takim szczegółem. Nie wypada wytykać komukolwiek pochodzenia (chyba że to pijany Polak, który zdemolował coś na Zachodzie), iż to rasistowskie i dyskryminujące.

Może przy tej okazji warto zapytać, dlaczego do ataku doszło akurat na terenie tego kraju? I kto odpowiada za stworzenie sprzyjającej podobnym aktom przemocy atmosfery?

Znow odbyła się szkodliwa społecznie akcja pod patronatem Prezydenta o nazwie „Narodowe czytanie”. W domyśle – czytanie tylko dla Polaków, skoro „narodowe”, to oznacza, iż przed-

stawiciecie innych narodowości niż jedyna słuszna nie są w tej akcji uwzględnieni i mile widziani.

Tym razem czytano osiem nowel, które wbrew nazwie gatunku były całkiem stare. Poza tym zwróćcie uwagę na tytuły tych książek. „Dym”, „Katarynka” – kto w ogóle chciałby o tym czytać? I co to jest ta cała katarynka, przecież nikt tego teraz nie wie xD

My of kors mamy pomysł, jak można unowocześnić całą tę akcję. Od maja trwa odczytywanie wyroku w sprawie Amber Gold, a przed sędzią jeszcze dużo stron do odczytania. Może więc w ramach „Narodowego czytania” Prezydent i inni uczestnicy akcji odczytaliby wyrok do końca? Poszłoby szybko i miałoby więcej sensu niż te całej nowele xD ©©

f FASHYISM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

REKLAMA

LEGENDA PERŁY POLSKICH KRESÓW

LWÓW. MAGIA
PRZEDWOJENNEJ
METROPOLII

Książka
do kupienia na:
www.xlm.pl



Patronat medialny:

SIECI


DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW MINISTRA KULTURY
I DZIEDZICTWA NARODOWEGO POCHODZĄCYCH
Z FUNDUSZU PROMOCJI KULTURY

Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.

To już pewne. Donald Tusk, po rychłym zakończeniu sprawowania swojej funkcji prezydenta Europy, nie wróci do Polski. Obejmie schedę po Josephie Daulu. Po kim? Że co? Tak, wiemy. Nasza reakcja była identyczna, gdy się o tym dowiedzieliśmy. Daul to szef Europejskiej Partii Ludowej. Od 2013 r. Czas na zmiany. Nowym szefem EPL (w oryginale EPP) ma więc zostać Zły Donald z Brukseli. Funkcja tyleż nic nieznacząca, co bardzo dobrze płatna.

Mamy i plotki od wiewiórek zza wielkiej wody. Donald z Waszyngtonu (nie nazywamy go Dobrym Donaldem od czasów odwołania wizyty w Polsce) wywalił z roboty Johna Boltona, doradcę do spraw bezpieczeństwa, bo ten się z Donaldem często nie zgadzał. Sprawa ma także polski wymiar. Bolton nie zgadzał się na przykład z tym, żeby pieniądze na amerykańskie inwestycje militarne w Polsce przerzucić na budowanie muru przy granicy z Meksykiem. A najbardziej z tym, że do wyborów prezydenckich sprawy zagraniczne mają być na trzecim planie.

Wracając do Złego Donalda z Brukseli, który ma zostać szefem Europejskiej Partii Ludowej. Z pewnością będzie ciekawie, bo do EPL należy na przykład rządząca dziś Grecją prawicowa partia Nea Dimokratia. Stworzony przez nią rząd domaga się od Niemiec reparacji wojennych (podobnie jak poprzedni, lewicowy). Bardzo nas ciekawi, jak Tusk będzie tłumaczył greckim kolegom, że są w mylnym błędzie. Oskarżyć ich o bycie PiS-owcami?

Funkcja szefa EPL ma tę zaletę, że nie trzeba się na tym stołku przemęczać. Jednak nie mają racji ci, którzy uważają, że Tusk nie będzie pracował. Grzegorz Schetyna sam się z funkcji szefa PeŁo nie zwolni, trzeba będzie zakasać rękawy i przelać trochę potu. Na razie udało się doprowadzić do sojuszu Bogdana Zdrojewskiego z mecenasem Romanem zwanym też Koniem, który po nieudanym starcie w wyborach ma powody, by nienawidzić Króla Skorpiona. Nie mniejsze niż Staszek Gawłowski i Jacek Protasiewicz.

Dużo ciekawsza wiadomość jest taka: przeciwnicy Grzegorza Skorpiona już podobno znaleźli w PeŁo osobę,

Problem w tym, że atakowany człowiek nie jest menedżerem fast foodu, tylko ministrem. W dodatku konstytucyjnym

która jesienią, po wyborach, wbije nóż w serce przewodniczącego PeŁo. A jest to człowiek (specjalnie tak piszemy, by nie ujawniać płci owej osoby), któremu Grzegorz ufa bezgranicznie.

Trzymaście. To nowa najważniejsza liczba kampanii. Bo przecież do sześcioopak Schetyny dołączyło siedem punktów programowych kandydatki na premiera Małgorzaty Kidawy-Błońskiej. Razem to będzie „Trzynastka Platformy”. Podobna nam się taka nazwa, nie tylko dlatego, że ją wymyśliliśmy. Przede wszystkim

kim, że lubimy, gdy można odpowiednie dać rzeczcy słowo.

Teraz o PiS. Zabawna sprawa, nikt nie zwrócił uwagi, że pisany przez wiele tygodni program, który miał zostać ujawniony w Lublinie, wcale nie został ujawniony. Jediną osobą, która podczas konwencji egzemplarz programu posiadała, jest Naczelnik Państwa. Ale zachował go w tajemnicy.

Program tymczasem jest, i to obfity, ale ujawniany będzie stopniowo, na konwencjach regionalnych w ciągu ostatniego miesiąca przed wyborami. Których lokalizacja także ujawniana będzie stopniowo w myśl zasady: jedna się odbyła, to wtedy sztab decyduje, gdzie odbędzie się następna i który kawałek programu na niej pokazać. W ten sposób nie dość, że media będą miały o czym pisać, to jeszcze liczba siwych włosów u sztabowców PeŁo szybko wzrośnie.

Niektóre decyzje zapadają naprawdę w ostatniej chwili. Tak było na przykład z propozycjami PiS w sprawie składek na ZUS. Jeszcze rano nikt nie wiedział w sztabie, czy na lubelskiej konwencji temat będzie podjęty czy też nie. W ostatniej chwili Naczelnik Państwa podjął decyzję, że będzie.

Teorie spisku, część 1. Paranoja w PeŁo sięga zenitu. Najnowsza, dystrybuowana przez druhow Grzegorza Króla Skorpiona Schetyny plotka głosi, że erupcja ścieków do Wisły nie była przypadkiem. Oczywiście ze względu na śmiertelne zagrożenie PeŁo nie może zdradzić źródła, ale to siepacze Antoniego, tzw. Terytorials, zaczęli pakować pakułami, powodując w nim gwałtowny wzrost ciśnienia. Ciekawi nas, co zrobią z tymi plotkami Czerska i Wiertnicza.

Chwila odpoczynku z klasyką. Dziwimy się Szwedom i różnym innym mieszkającym nad Bałtykiem nacjom, które są zaniepokojone nadprogramowym wpływem ścieków do morza. Czym się tu martwić? Nie znacie cytatu ze zbioru złotych myśli Bronisława Komorowskiego? „Woda ma to do siebie, że się zbiera i stanowi zagrożenie, a potem spływa do Bałtyku” – ogłosił w 2010 r. Bronisław.

dwaj panowie



FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Jesień idzie... nie ma na to rady...



Ztego samego zbioru mamy pocieszającą myśl dla mieszkańców Warszawy i wszelkich gmin aż do ujścia Wisły. „W zeszłym roku powódź, w tym roku powódź, więc pewnie ludzie są już oswojeni, obyci z żywiołem” – zwykł mawiać Komorowski. W wersji uaktualnionej to będzie „Tydzień temu płynęło g..., wczoraj płynęło g..., więc pewnie ludzie są już oswojeni, obyci z g...”.

Teoria spisku, część 2. Jak alarmuje PeŁo, żołnierze Wojsk Obrony Terytorialnej masowo zgłaszają się na członków komisji wyborczych. Wicie, rozumiecie dlaczego.

Zamarliśmy w szoku i przerażeniu. Dotarła do nas wiadomość o zbliżającej się premierze książki „Koderzy. Opowieść o ludziach, którzy zmienili nasz świat”. Odetchnęliśmy z ulgą, gdy okazało się, że to jednak nie o człon-

kach KOD, tylko o takich prawdziwych koderach, którzy siedzą przy kompach i programują. Aczkolwiek chcieliśmy zauważyć, że Mateusz Wielki Kuc Kijowski nasz świat zmienił, jak najbardziej. Wcześniej granice żenady rysowaliśmy w innych miejscach.

Àpropos słowa drukowanego. „Wspieraj wolne media. Z twoją pomocą nas nie uciszą” to apel redakcji „GazWyborczej” do czytelników. Historia jednak powtarza się jako farsa. Pamiętacie, jak ta sama redakcja wyśmiewała podobne ak-

cje w czasie długiej tuskowej nocy, gdy niektóre prawicowe tygodniki wzywały: „Kup dwa egzemplarze, podziel się z sąsiadem”?

Jednej rzeczy nie rozumiemy, bo ideolo „GazWybu” nie zgadza się nam z zapowiadanymi działaniami. Jak to „potrzebujemy Twojego wsparcia, by nadal ujawniać prawdę i jej bronić”? To środowisko PiS nie oczyści się samo? Jak rzeka Wisła albo wymiar sprawiedliwości.

Zżycia władzy. Czas? Nie tak dawno. Miejsce akcji? Fast food pod Wrocławiem. Zdenerwowana kobieta dopada sympatycznego człowieka w niebieskiej koszuli. Krzyczy zdenerwowana, że już pół godziny czeka na zamówienie i że najwyższy czas coś z tym zrobić. Problem w tym, że atakowany człowiek nie jest menedżerem fast foodu, tylko ministrem. W dodatku konstytucyjnym. Z tej lekcji płyną dwie nauki. Członkowie rządu nie powinni jeść w fast foodach. A jeśli już, to nie zdejmować marynarek. ©©

REKLAMA

Kiedy piosenkarka Margaret, autorka przeboju „Pa pa pa rap pa” (to nie jest złośliwość, naprawdę taki tytuł nosi jej największy hit!), poinformowała, że planuje apostazję z Kościoła katolickiego, świat zadrżał w posadach. Co prawda, głównie świat polskiego show-biznesu i zadrżał głównie ze śmiechu, ale przez jakiś czas o Margaret rzeczywiście zrobiło się głośno. A o to przecież w tym interesie chodzi.

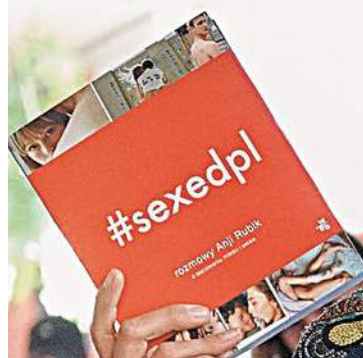
Margaret musiała długo myśleć nad miejscem, w którym dokona swojego antykościelnego coming outu tak, by było poważnie i wiarygodnie. O apostazji i jej powodach opowiedziała więc w wywiadzie dla „Playboya”.

– Mam takie wspomnienie z okresu nastoletniego, gdy jeszcze regularnie byłam przymuszana do chodzenia do kościoła i co tydzień spowiadałam się z masturbacji. LOL. Of course I did. Z perspektywy czasu przeraża mnie, jak bardzo poznanie własnego ciała było i jest stygmatyzowane. Dlatego planuję w najbliższym czasie dokonać apostazji – powiedziała. Magazyn „Gala” natychmiast okrzyknął ten wywiad „najszczerzym w całej karierze” piosenkarki. A ona sama postanowiła kuć żelazo, póki gorące, i na swoim Instagramie opublikowała nawiązujący do wywiadu i reakcji na niego wiersz. Tak, wiersz.

„Czy sprawy cielesne to sprawy święte, ja wolę seks przy zapalonym świetle. Powiedziałam to na głos? Zaraz afera będzie. Kiedy kij w mrowisko wetknę, to nie czuję się bezpiecznie. Ja tam wolę seks przy zapalonym świetle” – pisze Margaret. „Co w tym złego, że ktoś kipi seksem? Wstyd to narzędzie kontroli, której nie chcę. System się broni, kiedy poruszam te kwestie. Mimo emocji poproszę o ciszę! Dzieci boją się mówić! Rodzice boją się słyszeć! Dzieciaki nie mogą widzieć! Rodzice nie mogą wiedzieć!” – kontynuuje, a wiersz kończy konkluzją: „Nam potrzeba edukacji jest – nie rewolucji”.

CI ZACOFANI POLACY

Tak oto Margaret (rocznik 1991) dołączyła do zacnego grona celebrytek i celebrytów, którzy postanowili wyedukować polskie – zacofane i nienadążające za współczesnym światem – społeczeństwo w dziedzinie seksu. W gronie tym wciąż pierwszą pozycję zajmuje niezmiennie modelka Anja Rubik, która przyjechawszy do kraju zza oceanu, odkryła, jak mało jej rodacy wiedzą o seksie.



Modelka Anja Rubik objawiła się ostatnio jako ekspertka od edukacji seksualnej. Promuje własną książkę i kampanię #seksedpl

FOT. BARTOSZ KRUPA/EAST NEWS

Najpierw załamała ręce, a później postanowiła temu zaradzić. Ogłosiła się ekspertem i rozpoczęła wielką kampanię wychowywania Polaków. Kompetencje? Oczywiście, że ma! Wszak kiedyś wyznała, że „jest uzależniona od kawy, Internetu i seksu”. – Seks jest bardzo ważny. To jest kwestia zdrowia. Nieuprawianie seksu jest niezdrowe. No i to jest dobre dla skóry – stwierdziła w innym z wywiadów.

Kaganek seksualnej oświaty pani Rubik niosła już m.in. u Moniki Olejnik, w „Dzień dobry TVN”, „Newsweeku”, Radiu Zet i paru poczytnych magazynach kolorowych. Jeśli chodzi zatem o czas antenowy i miejsce na łamach gazet, to najgorzej na tym nie wyszła. Wisienką na torcie była zaś okładka w „The Times Magazine”, w którym opowiedziała o swoich pierwszych doświadczeniach seksualnych z udziałem... misia. – Kiedy myślę o własnych doświadczeniach, zaczęłam w wieku siedem-osiem

ciemne społeczeństwo, które pozostając pod wpływem Kościoła i PiS, jest daleko w tyle za postępowym światem. Informacje na temat sfery seksualnej są celowo ukrywane przed ludźmi.

– Sześć lat temu nie było dużo lepiej, ale czuło się, że to idzie w lepszym kierunku, a dziś się cofamy. Straszne podręczniki do wychowania do życia w rodzinie mają być jeszcze zaostrzone. Nie wiem nawet, co można w nich zaostrzyć, bo nie ma tam właściwie żadnych prawdziwych informacji, ale to wszystko pokazuje, że sytuacja się pogarsza – załamuje ręce Rubik w jednym z wywiadów.

Remedium na tę pogarszającą się sytuację miały być wymyślone przez Rubik internetowe filmiki, w których udział wzięli polscy celebryci. W nagraniach opowiadają o swoich doświadczeniach seksualnych i udzielają jakże cennych porad. „Ja lubię seks, ale lubię seks bez-

– Polscy rodzice nie są przygotowani do rozmawiania o edukacji seksualnej, ponieważ sami jej nie odebrali. To, że ktoś uprawia seks, nie oznacza, że przeszedł edukację seksualną. To są dwie różne rzeczy – tłumaczy Rubik w jednym z wywiadów. Co nie przeszkadza jej samej odgrywać roli eksperta od tych spraw i pouczać wszystkich dookoła.

SEKS I POLITYKA

Jakiś czas temu pisaliśmy na łamach „Do Rzeczy” (piórem Agnieszki Niewińskiej), co na ten temat sądzą ludzie, którzy sprawami edukacji seksualnej zajmują się od lat i na co dzień, a nie tylko w błysku fleszy. – Nie mają odpowiedniego przygotowania, wykształcenia i kompetencji do tego, żeby kierować do dzieci i młodzieży taki przekaz. Jego konsekwencje mogą być bardzo poważne dla młodych ludzi. Przekaz, który płynie do nich, to „dogadź się sobie, nie ma w tym nic złego, tylko się zabezpiecz” – zwracała uwagę Magdalena Trojanowska z inicjatywy Stop Seksualizacji Naszych Dzieci.

O zagrożeniach płynących z wmawiania młodzieży, że od urodzenia mają prawo korzystać, jak chcą, ze swojej seksualności i głośno się tego domagać, opowiadali także seksuolodzy. Ich zdaniem prowadzi to do rozchwiania, często uzależnienia od seksu, pornografii, a w efekcie do braku zdolności budowania trwałych relacji. Seksuolodzy nie od dziś przestrzegają, że jeśli coś się wpaja już najmłodszym dzieciom, to one zaczynają traktować to jako coś zupełnie normalnego. I można się zastanawiać, czy nie o to właśnie w tym wszystkim chodzi. Zwłaszcza jeśli weźmie się pod uwagę to, że na przykład w USA model edukacji seksualnej, promowany dziś w Polsce przez różnej maści celebrytów, jest hojnie wspierany przez biznes aborcyjny i pornograficzny.

Kto jednak przejmowałby się jakimiś seksuologami czy innymi ekspertami w sytuacji, gdy trzeba ratować Polaków przed seksualnym wykluczeniem! A przy okazji – robić politykę, bo kontekst polityczny przy okazji wielkiej kampanii na rzecz edukacji seksualnej i zaangażowania w nią celebrytów jest dość czytelny.

– Nikt wprost tego nie powiedział, ale wiadomo, że to temat polityczny. Chęć podkreślić, że nie jestem o to zła, może trochę rozczarowana, ale nie oceniam tego. To indywidualne wybory. Każdy ma prawo toczyć swoje bitwy i chęć skupić się na tych, którzy mieli odwagę,

Seksbojówka



Kamila Baranowska

Seksedukacja to wdzięczny temat dla polskich celebrytów. Seks zawsze dobrze się sprzedaje w mediach, a przy okazji można uderzyć w PiS czy „zacofany” Kościół

lat. Bawiłam się swoim misiem. Z tego okresu nie pamiętam niczego innego, tylko tego misia – wyznała. Ponarzekła też rytualnie na zacofanie Polski w zakresie edukacji seksualnej i brak tolerancji dla LGBT. – W Polsce nie ma edukacji seksualnej, ale przedmiot nazywany przygotowaniem do życia w rodzinie. Oficjalny podręcznik ma 180 stron, ale słowo „seks” pojawia się w nim tylko dwa razy, i to w negatywnym kontekście – oceniła. – Jeśli urodziłeś się w małym miasteczku, to na tolerancję nie ma co liczyć. Jeśli w dodatku masz bardzo religijnych rodziców, to są spore szanse, że będą usiłowali wysłać cię na leczenie, zamiast cię zaakceptować – dodała.

Obraz, który kreśli w wywiadach Rubik, a za nią pozostali celebryci, których wciągnęła w swoją akcję, jest jasny: mamy

pieczny” – wyznaje na przykład blogerka modowa Maffashion, opowiadając o środkach antykoncepcyjnych. Aktorka Roma Gąsiorowska relacjonuje z kolei, jak będąc nastolatką, „uratowała” swoją przyjaciółkę, polecając jej pigułkę „dzień po”. Teraz, jak chwali się Gąsiorowska, jej koleżanka „jest szczęśliwą mamą dwójki dzieci, z mężczyzną, którego kocha, bo zrobiła to świadomie”. Malarka Marta Frej w swoim filmie poleca z kolei masturbację, która jest „naturalną i powszechną formą naszej ekspresji seksualnej”, a aktor Maciej Stuhr zastanawia się, jak rozmawiać z córką o seksie, i ratunek widzi w seksedukatorach w szkołach. Robert Biedroń dzieli się z kolei historią swojego coming outu i narzeka na – a jakże! – nietolerancję i dyskryminację.

by wystąpić w kampanii – mówiła w jednym z wywiadów Rubik, opowiadając, że były gwiazdy, które odmówiły udziału w jej kampanii.

Nie jest zbiegiem okoliczności, że te same celebrytki, które dziś lobbują na rzecz edukacji seksualnej w szkołach, niedawno brały udział w czarnych marszach, opowiadają się za liberalizacją ustawy aborcyjnej, chodzą na Marsze Równości i walczą (głównie na Facebooku i Instagramie, bo gdzie indziej?) o prawa mniejszości seksualnych.

Rubik przyznała zresztą swego czasu, że inspirowała ją ruch Dziewuchy Dziewuchom, ten sam, który organizował głośny czarny protest w 2016 r. – Ufam im, są solidne i wykonują pracę u podstaw. Gdy tylko jest okazja, występuję na organizowanych przez nie wiecach, one z kolei dbają, żebym zawsze miała świeże informacje na temat tego, co się dzieje w zakresie obrony praw kobiet w Polsce. Dzięki nim wiedzę na temat dostępności legalnej aborcji, antykoncepcji wczesnoporonnej czy seksistowskich tekstów w podręcznikach mam nie tylko z prasy, lecz także od zwykłych kobiet. Słucham o tym, co się dzieje, i jestem przerażona kierunkiem, w którym zmierza Polska – mówiła w jednym z wywiadów.

To, że Rubik swoją wiedzę czerpie głównie z takiego źródła, wiele tłumaczy. W zasadzie wszystko. Każdy byłby przecież przerażony, gdyby wziął na serio to, co od lat głośzą o Polsce i polskich kobietach polskie feministki. Na szczęście tu, w kraju, mało kto traktuje je poważnie. Jednak Anja Rubik na co dzień w kraju nie przebywa, to i skąd ma to wszystko wiedzieć?

Po głośnych filmikach Rubik wydała jeszcze książkę o wychowaniu seksualnym, którą próbuje rozprowadzać po polskich szkołach, prowadzi jakieś spotkania, szkolenia, a w planach ma jeszcze objazd po polskiej prowincji. – Chciałabym zorganizować bus #SEXEDPL, który jeździłby z edukatorami po różnych małych miejscowościach i w ramach takiego tournée odbywałyby się warsztaty. Dwa dni bus spędza w jednej miejscowości i jedzie dalej – opowiada. Pozostaje jedynie mieć nadzieję, że bus będzie dobrze oznaczony, żeby nie dało się go z PKS pomylić.

TO SIĘ SPRZEDAJE

Można się oczywiście zastanawiać, na ile modelka Rubik, piosenkarka Margaret czy inne celebrytki bawią się w politykę w imię własnych poglądów, a na ile z czy-



Piosenkarka Margaret zaskłaniała ostatnio wyznaniem, że ponieważ Kościół potępia masturbację, to ona dokona aktu apostazji

FOT. JUSTYNA ROJEK/DDTVN/EAST NEWS

stego koniunkturalizmu. Innymi słowy – ilu z nich ma rzeczywiście określone poglądy, a na ile nie ma ich wcale, ale wie, jakie mieć wypada, aby pozostawać w celebryckim mainstreamie (czy to w Polsce, czy w Europie, czy za oceanem).

Patrząc na większość polskich celebrytów, trzeba skłaniać się już ku tej drugiej wersji – większość nie bardzo wie, jakie ma poglądy, ale wie, jakie mieć wypada. I to wystarczy, by się angażować i mądrzyć w wywiadach. A temat edukacji seksualnej jest wyjątkowo wdzięczny, bo wiadomo, że seks w każdej odsłonie dobrze się sprzedaje, więc jak gwiazda w ramach edukacji opowiada o swoim pierwszym razie, masturbacji, pornografii, a przy okazji ponarzeką na Kościół i zacofany naród, to będzie i klikalność, i sympatia branży. Jakkolwiek patrzeć, same korzyści.

Nic dziwnego zatem, że kiedy w debacie publicznej pojawił się temat warszawskiej Karty LGBT, która miała wprowadzić

edukację seksualną do stołecznych szkół, celebryci prześcigali się w okazywaniu swojego poparcia dla tego pomysłu. Zwłaszcza że przeciw był PiS, więc można było upiec dwie pieczenie na jednym ogniu – ubrać się w szaty postępowca i jednocześnie okazać swoją pogardę dla nie lubianej na salonach partii.

– Wara od moich dzieci! Edukacja seksualna musi być obowiązkowa! – grzmiała niezawodna Maja Ostaszewska, która protestuje przeciwko wszystkiemu, co robi PiS, bez względu na to, czy rzecz dotyczy dzików, Puszczy Białowieskiej czy edukacji seksualnej. Prezenterka Kinga Rusin wdała się nawet w publiczną pyskówkę z olimpijką Zofią Klepacką, która odważyła się mieć inne zdanie na temat ideologii LGBT. – Stygmatyzowanie ludzi ze względu na ich poglądy, kolor skóry albo preferencje seksualne w tych czasach nie przystoi i jest karane – grzmiała Rusin.

LGBT jest w szkołach i tak pod postacią uczniów, którzy są tej orientacji. Nauczanie tolerancji jest bardzo potrzebne, bo odsetek dzieci i młodzieży homoseksualnej po próbach samobójczych w wyniku szykanowania jest zatrważający. Ludzie są różni. Ta różnorodność jest wartościowa. Szanujmy się! – zaapelowała Małgorzata Rozenek-Majdan, która robi wszystko, by odciąć się od wizerunku córki swojego ojca, do niedawna skarbnika i jednego z bardziej wpływowych polityków na zapleczu Prawa i Sprawiedliwości.

Można by tak cytować i cytować, bo gwiazd, które nagle poczuły się w obowiązku zabrać głos i dać wsparcie ruchowi LGBT, przy okazji nabijając sobie lajki na Instagramie, przybywa.

Wspomniana piosenkarka Margaret po całym zamieszaniu ze swoim nie najmądrzejszym wyznaniem o apostazji z powodu masturbacji wyznała, że dostała za to „fagę w nos”, ale nie żałuje. Zapewnia też, że jej antykościelny coming out w żadnym wypadku nie był efektem kalkulacji. – To się po prostu nie opłaca. Nie opłaca się mówić o tych rzeczach, o których ja mówię. O apostazji się nie opłaca, o wychowaniu seksualnym też się nie opłaca, o wspieraniu LGBT też. Nigdy nie kalkulowałam, tylko starałam się być prawdziwa z tym, jak myślę i czuję. Chcę móc patrzeć w lustro i lubić to – wyznaje. A lubi jeszcze bardziej, gdy może o tym opowiadać w wywiadach. Tych, których liczba wzrosła, gdy wałęsała w Kościół i napisała wiersz wsparcia dla LGBT. Tak bez żadnej kalkulacji oczywiście.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Z prof. Urszulą Dudziak z Instytutu Nauk o Rodzinie i Pracy Socjalnej KUL
rozmawia Łukasz Zboralski



FOT. ADOBE STOCK

Celebryci nie są wiarygodni, ucząc o seksie

ŁUKASZ ZBORALSKI: Modelka Anja Rubik ogłosiła własną kampanię, wydała książkę. A niedawno piosenkarka Margaret publicznie opowiada o masturbacji, w której przeszkadza jej Kościół. Czy to dobrze, że celebryci zabrali się do publicznej „edukacji seksualnej” Polaków?

PROF. URSZULA DUDZIAK: Myślę, że to jest rodzaj lansowania samego siebie i chęć pewnego rodzaju zaistnienia w spo-

łeczeństwie. Nagłośnienie pewnych wątków seksualnych może jednocześnie bulwersować, zaciekawiać, szokować – no i sprawi, że będzie się o tym mówiło. Jest to też sprzyjanie określonym poglądom. Bywa, że takie zaangażowanie niesie korzyści finansowe. Są przecież grupy, którym zależy na demoralizacji i deprawacji młodego pokolenia. U jesz-

cze innych osób może to być rodzaj mechanizmu obronnego, by usprawiedliwić swoje niewłaściwe zachowania, mimo świadomości, że są niezgodne z pewnymi normami. Popularyzowanie nieoczywistego zachowania może sprawić, że osób akceptujących je czy zachowujących się tak samo będzie więcej. Przy okazji zwalczani są ci, którzy głoszą,

■ że jest możliwa czystość nastolatków, wierność małżonków, że jest potrzebna odpowiedzialność seksualna wszystkich.

Mogę cenić i szanować umiejętności wokalne jednej z tych pań czy znajomość mody drugiej. Znają się na tym i ileś lat się tym zajmują. Jednak w przypadku wychowania seksualnego też potrzeba kompetencji. Ubolewam nad tym, że ci, którzy nie mają przygotowania, uważają się za w pełni predystynowanych do takich zajęć. To, że człowiek zjada obiad, nie znaczy, że może prowadzić renomowaną restaurację.

Celebryci jednak nie ukrywają, że tylko dają twarz takim kampaniom. Że merytorycznie pomagają im seksuologowie, psychologowie...

To będzie pozór załatwiania sprawy, jeśli będziemy tylko „dawać twarz”. Bo mamy dawać osobowość i wartości. A nie damy wartości, jeśli sami nie będziemy tym żyli. Nie będzie wiarygodny mężczyzna przestrzegający przed zdradą, jeśli sam ma wiele partnerek, czy rozwiedziona kobieta przestrzegająca przed rozstaniem...

... zaraz, a alkoholicy, którzy przestali pić, albo narkomani na odwyku? Oni jeżdżą do szkół na pogadanki. Dają przykład z życia, bo doświadczyli złego.

Ale dlatego że się im udało, nawrócili się i zmienili postępowanie. Natomiast w przypadku permissywnej edukacji seksualnej często wychodzi na jaw, że nikt nie zmienił swojego zachowania, uważa, że jest frajdą mieć rozmaite kontakty seksualne, byle tylko z prezerwatywą. A więc wcale nie jest to edukacja do miłości, czystości i nauczanie oparte na wartościach moralnych, ale po prostu zachęta, a nawet presja, postulowanie kontaktów niosących przyjemność seksualną, promowanie rozwiązłości. No i przy okazji reklama prezerwatyw. Przecież cały przemysł antykoncepcyjny daje określone zyski i byłoby dla niego niekorzystne, gdyby nagle cała młodzież chciała żyć w celibacie, bo te środki nie będą się sprzedawać.

Znane osoby twierdzą, że muszą edukować seksualnie Polaków, bo szkoła tego nie załatwia. Argument mizernej edukacji publicznej w tym zakresie jest już legendarny. Naprawdę tak źle to wygląda w szkołach?

Zależy, z jakiego punktu widzenia się to ocenia. T.C. Boyle pisał o badaniach Kinseya, który na równi ze współżyciem heteroseksualnym traktował kontakty

homoseksualne, biseksualne, masturbację, zoofilię i usiłował przekonać ludzi do wspaniałych przeżyć, których doświadczać ma masturbujące się dziecko.

Jeśli więc chcielibyśmy szkołę uczynić placówką, która uczy dzieci, jak być oddanymi w kontaktach z pedofilami, jak się prostytuować, masturbować, uprawiać przygodny seks, czy wskazuje, jak uczynić z młodych ludzi użytkowników środków antykoncepcyjnych, to rzeczywiście szkoła realizująca obecnie obowiązujący program tego nie robi. I nie powinna tego robić. Bo nie jest zadaniem szkoły uczyć dzieci zachowań uderzających w dobro człowieka, krzywdzących i szkodliwych dla osoby i dla całego społeczeństwa. Nie powinno być wątpliwości co do tego, że brak odpowiedzialności seksualnej czy prokreacyjnej jednostek dotyka całe społeczeństwo.

Podczas zajęć wychowania do życia w rodzinie szkoła ma realizować to, co sprzyja założeniu prawidłowej rodziny. I to czyni. Poprzez uczenie miłości i etapów rozwoju zdolności do miłości. Miłość bowiem uzdalnia do podejmowania nawet rzeczy trudnych, jak np. czuwanie przy chorym człowieku, nieopuszczanie

do bycia kochającymi i odpowiedzialnymi kobietami i mężczyznami. Przeszkodą będzie dewaluowanie wartości i narzucanie większości zachowań patologicznych.

Wiadomo, że są ludzie, którzy mogą czerpać satysfakcję seksualną w kontaktach ze zwierzętami, i wówczas towarzystwa obrony praw zwierząt interweniują, jak przy głośnej medialnie próbie kopulacji z koniem. A ja pytam – kto obroni człowieka przed utwierdzaniem go w przekonaniu, że kontakt z psem, kaczka, owca jest równoprawnym zachowaniem seksualnym? Kiedyś o swym problemie pisał człowiek, który znajdował satysfakcję seksualną, gdy głaskał kobiece buty. Są tacy, którzy osiągają ją w kontaktach z ciałem zmarłego – mówię o nekrofilii. To nie znaczy, żeby tego typu zachowania lansować. Podobnie omawianie sadomasochistycznych perwersji nie powinno być tematyką zajęć w szkole. To zadanie terapeutów, psychologów i lekarzy po uzyskaniu specjalizacji seksuologicznej.

Również nauczanie szkolne wymaga odpowiednich kwalifikacji, nie mogą go prowadzić przygodni prelegenci. Zwłaszcza WZR wymaga szczególnej od-

Nie jest zadaniem szkoły uczyć dzieci zachowań uderzających w dobro człowieka, krzywdzących i szkodliwych dla osoby i dla całego społeczeństwa

go, trwanie, wiarygodność i stałość relacji. Wierne małżeństwo, stała rodzina tworzą wartość dla społeczeństwa. Jeśli szkoła tego uczy, robi rzecz najważniejszą.

Tymczasem edukatorzy seksualni z Grupy Ponton uważają, że nawet nazwa „wychowanie do życia w rodzinie” jest zła. Bo to zakłada, że seks ma miejsce tylko w małżeństwie, a każdy człowiek jest heteroseksualny i potem zakłada rodzinę. Wolą, by to nazwać „wiedza o życiu seksualnym człowieka”.

Akurat, gdy zajęcia tak się nazywały, to zajmująca się podstawami programowymi psycholog prof. Krystyna Ostrowska stworzyła wraz z zespołem wspaniały, oparty na wartościach program. Wiedza i wychowanie nie są jednak tym samym. Nazwa „wychowanie seksualne” w zdrowym rozumieniu nie jest przeszkodą w uczeniu wartości, zwłaszcza gdy pojęcie seks rozumiane jest jako płeć, a w wychowaniu chce się pomóc dzieciom dojrzeć

powiedzialności i interdyscyplinarności. Bo ciało to sprawa fizjologii i medycyny, psychika – psychologii, kwestia ducha – sprawa etyki czy teologii, społeczeństwo i relacje społeczne – to zakres socjologii. Dlatego mówimy o naukach o rodzinie, nie o jednej nauce. I na studiach są takie kierunki, gdzie wieloaspektowo się ujmuje człowieka i relacje międzyludzkie, w tym również relacje seksualne.

Błędem byłoby pozwolić, by edukacją dzieci zajęły się osoby niekompetentne, ale także te, które nie widzą potrzeby holistycznego ujmowania seksualności. Uzasadnioną obawę rodzi to, że wiele fundacji lansujących przygodny seks i antykoncepcję nie ma ochoty w ogóle znać się na moralności i ten aspekt pomija. Niektórzy w ogóle zajmowaliby się tylko ciałem, pomijając nawet psychikę. Tymczasem człowiek, chociaż ma ciało, nie jest tylko ciałem.

No dobrze, ale co dziś się dzieje w szkole, że trzeba jej „pomagać”? Czy nauczyciele nie dają sobie rady z tymi zagadnieniami?

Przywołam raport, który MEN przedstawił w lipcu 2015 r. po badaniach Instytutu Badań Edukacyjnych. Uczniowie pytani przez badaczy o zajęcia z wychowania do życia w rodzinie wypowiadali się o realizacji tych zajęć bardzo pozytywnie. Aż 80 proc. z nich odpowiadało, że ceni otwarcie nauczycieli WZR na pytania, 77 proc. uznało, że atmosfera jest przyjazna. Z kolei 75 proc. uznało, że nauczyciele są do zajęć dobrze przygotowani. A 74 proc. uznało, że informacje pozyskiwane na tych lekcjach są dla nich przydatne.

CBOS i Krajowe Biuro ds. Przeciwdziałania Narkomanii, ale i zespół prof. Ostrowskiej od lat stawiają społeczeństwu, także młodzieży, pytania – co jest celem ich dążeń, czego oczekują w przyszłości. I w większości badań, wśród oczekiwani młodych ludzi na pierwszym miejscu jest rodzina. Z badań z 2014 r. wynikało, że młodzi ludzie oczekiwali przede wszystkim miłości i przyjaźni (49 proc.), drugie miejsce zajęło „udane życie rodzinne i dzieci”, a dopiero na trzecim miejscu wymieniali „ciekawą i zgodną z zainteresowaniami pracę”. Statystyki potwierdzają i psychologowie głoszą, że człowiek potrzebuje miłości, to największa z ludzkich potrzeb. Dlatego trzeba uczyć wzrastania w miłości, a nie tylko naskórkowego czerpania przyjemności.

Czyli młodzi ludzie nie są tak zepsuci, jak się obiegowo uważa, i to tak mocno od nas zależy, jak będą postępować w przyszłości?

Amerykańska Akademia Pediatria zestawiała różne formy edukacji seksualnej. Obecnie w polskiej szkole realizowane są zajęcia typu A – uczące czystości i wspierające aksjologiczne wychowanie młodzieży. W Szwecji i Wielkiej Brytanii jest edukacja typu B uwzględniająca tylko aspekty biologiczne, bardziej zliberalizowana.

Z badań Europejskiego Urzędu Statystycznego i zestawień WHO z lat 2007–2012 wynika, że Polska w porównaniu ze Szwecją i Wielką Brytanią charakteryzuje się: najniższą liczbą zająć w ciąży na 1000 nastolatek w wieku 15–19 lat, najniższą liczbą aborcji na 1000 nastolatek, najniższą częstotliwością chorób przenoszonych drogą płciową w populacji oraz najniższymi wskaźnikami zakażeń HIV i zachorowań na AIDS na 100 tys. mieszkańców.

Zatem rezultaty zdrowotne edukacji seksualnej typu A są cenniejsze niż edukacji seksualnej typu B. To bardzo ważne wyniki, bo propagatorzy środków antykoncepcyjnych próbowali przekonać społeczeństwo, że dzięki temu nie będzie się przerywać

Wychowawca ma zapobiegać czemuś, co może być dla dziecka niebezpieczne, a nie przygotowywać je do niewłaściwych zachowań

ciąży, a jest akurat odwrotnie. Ludzie, którzy podejmują współżycie z tymi środkami, częściej zachodzą w ciążę i częściej decydują się pozbawić życia dziecka niż ci, którzy na taką edukację nie byli narażeni.

Badania z Atlanty dowodzą, że młodzież uczestnicząca w kursach odraczania inicjacji seksualnej do ślubu rzadziej podejmuje przedwczesną inicjację seksualną niż ich rówieśnicy nieuczestniczący w tych szkoleniach.

Zastanówmy się nad konkretem. Anja Rubik w spocie swojej kampanii opowiedziała, że miała erotyczną sytuację z chłopakiem, ale nie miała prezerwatywy. Nie potrafiła się opanować i współżyli bez tego. Dopiero rano zrozumiała, że mogła np. narażać się na choroby. Jej rada na koniec: dziewczyny też powinny nosić przy sobie prezerwatywy, bo chłopcy czasem nie mają. To dobra rada?

To nieporozumienie. Niestety dziś bardzo częste. Od lat stawia się znak równości pomiędzy edukacją seksualną a wiedzą o antykoncepcji. Co więcej, noszenie z sobą prezerwatyw podawane jest jako wzór odpowiedzialności. Jest też np. taka książka, w której przedstawia się jako odpowiedzialne zachowanie chłopaka, który dzwoni do dziewczyny i przypomina jej o wzięciu hormonalnej tabletki antykoncepcyjnej. Odpowiedzialnością nie jest aprobowanie niewłaściwych moralnie czy społecznie zachowań z propozycją wyeliminowania konsekwencji, do których one mogą prowadzić.

Autentyczna odpowiedzialność dotyczy zupełnie czego innego. Dotyczy postaw ludzkich i właściwych odniesień do drugiego człowieka, rzeczywistej miłości, a nie zabawy, traktowania osobowego, a nie sprowadzania człowieka do roli instrumentu, dzięki któremu można uzyskać satysfakcję seksualną.

Nie wolno szkodzić ani sobie, ani drugiemu człowiekowi, społeczeństwu i dzieciom, które mogą się począć przygodnie z niewłaściwych kontaktów seksualnych.

Współżycie seksualne jest krzywdzące nie tylko w przypadku młodocianych, lecz także w aktach pozamałżeńskich. Nie należy widzieć w zachowaniu seksualnym tylko elementu zabawy, ono ma znacznie większy walor i wartość, większe znaczenie psychiczne, duchowe i społeczne. Do takiego rozumienia życia seksualnego trzeba dojrzeć.

Osoby o bardziej liberalnym podejściu mówią, że przecież to można połączyć. Że mogą być młodzi ludzie, którzy naprawdę się kochają i szanują, ale będą uprawiać seks. I że udajemy, iż młodzi tego nie robią. Dlatego lepiej jest, by byli w tym bezpieczni.

To wyjątkowo niedojrzałe i nieodpowiedzialne argumentowanie. Są ludzie, którzy kradną – czy mamy dać przyzwolenie na kradzież i nie robić ostrych zakończeń ogrodzeń posesji, by złodziej nie podał sobie spodni? Z samego faktu, że są osoby postępujące niewłaściwie, nie powinno wynikać, że społeczeństwo ma takie zachowania ułatwiać i akceptować.

Taka powierzchowna, jak to pani określa, edukacja seksualna, może zadziałać inaczej, niż zakładają ci, którzy mają nawet czasem dobre intencje?

Propozycje, któreśmy niedawno usłyszeli w radiu czy telewizji, planowane do realizacji w Warszawie, czy warsztaty, które podjęto jeszcze za życia prezydenta Gdańska Pawła Adamowicza – jest taka książeczka o programie „ZdroweLove” z jego zdjęciem i słowem wstępnym – rzeczywiście mogą przynieść dzieciom więcej szkody niż pożytku. Pamiętajmy o wyzwaniu – po pierwsze nie szkodzić, które obowiązuje wychowawcę dziecka. On ma ukazywać właściwy przykład i zapobiegać czemuś, co może być dla dziecka niebezpieczne, a nie przygotowywać je do niewłaściwych zachowań seksualnych.

Mam nadzieję, że wiele osób jeszcze będzie się temu w Polsce sprzeciwiać. I że nie uda się to, co niektórzy widzieli w wizji badań Kinseya – nauczanie społeczeństwa aprobaty dla niewłaściwych zachowań seksualnych, nawet dla pedofilii.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



prof. Urszula Dudziak

– pracownik naukowy KUL, ekspertka MEN współtworząca nową podstawę programową wychowania do życia w rodzinie.

Pojedynyk jedynynek



Wojciech Wybranowski

Na wynik wyborów wpłynie nie tylko prestiżowe starcie w Warszawie, lecz także pojedynek ikon zwaśnionych obozów politycznych w całym kraju

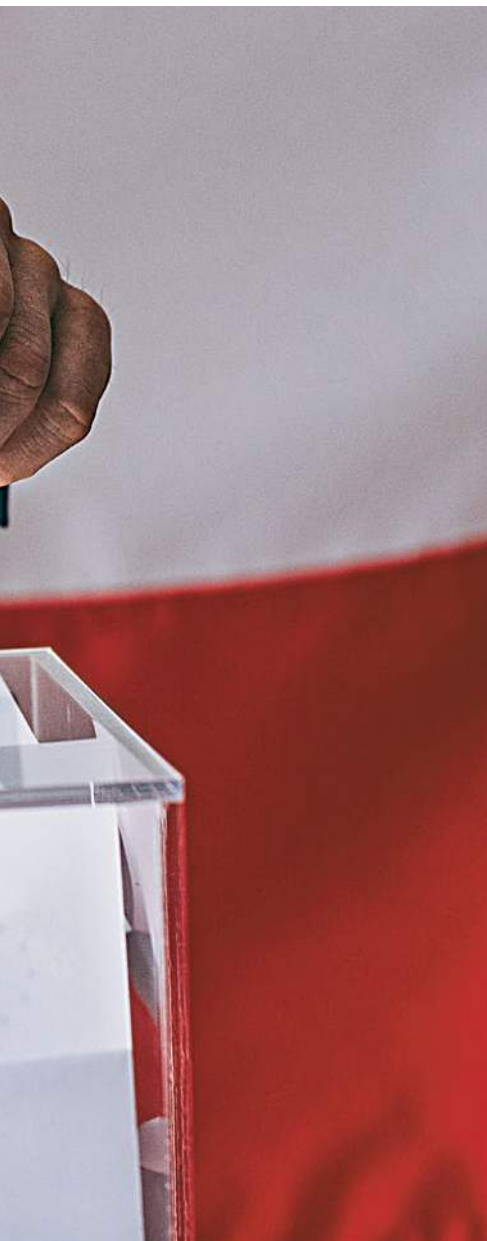
Rzadko się zdarza, by liderzy obozu rządzącego i szeroko pojętej opozycji byli tak zgodni – nadchodzące wybory (13 października) będą najważniejsze od lat, a ich wynik zdecydować może o Polsce na dłużej niż jedną kadencję. Prawo i Sprawiedliwość

już finiszuje z kampanią wyborczą. A obozy Koalicji Obywatelskiej (PO wraz z przystawkami), Lewicy (SLD, Wiosna, Razem), Koalicji Polskiej (PSL i Kukiz'15) oraz Konfederacji po tygodniach wewnętrznych konfliktów, sojuszy i rozłamów, personalnych transferów

zarejestrowały listy i dopiero zaczynają swoje kampanie. W kilkunastu okręgach dojdzie do ciekawych pojedynków czołowych fighterów ugrupowań. To będzie miało duże znaczenie dla ogólnego wyniku wyborów.

WARSZAWSKA NIESPODZIANKA

W stolicy z liderem PiS Jarosławem Kaczyńskim niespodziewanie zmierzy się nie Grzegorz Schetyna, lecz Małgorzata Kidawa-Błońska. Decyzję władz PO ogłoszono zaledwie kilka godzin przed rejestracją list wyborczych. Sondaż pracowni Pollster dla „Super Expressu” wskazał, że zdaniem ankietowanych (43 proc.) w przypadku wygrania wy-



ma znaczenie. – Wygranie wyborów w Polsce i porażka głównego kandydata w stolicy sprawiłyby, że partia, która zajęła drugie miejsce w wyścigu ogólnokrajowym, będzie podkreślać, iż w stolicy to oni wygrywają. Ma to znaczenie wizerunkowe – mówi prof. Drzonek w rozmowie z „Do Rzeczy”. – W tym konkretnym przypadku mamy do czynienia z ciekawą zagrywką opozycji. Gdyby Kaczyński dostał mniej głosów od Kidawy-Błońskiej, bardzo silnie eksponowano by, że jako lider swojej partii nie potrafi wygrać z Platformą, bo wcześniej przegrał też z Donaldem Tuskiem i Ewą Kopacz. A pani Kidawa-Błońska nie jest nawet politykiem tej rangi co byli premierzy.

Z Warszawy wystartuje też kilka osób uważanych za liderów konkurencyjnych ugrupowań: Adrian Zandberg (Lewica), który w 2015 r. bezskutecznie startował do Sejmu także z Warszawy (zdobywając 49,7 tys. głosów), i Janusz Korwin-Mikke z Konfederacji – w 2015 r. w stolicy oddało na niego głos 56,9 tys. wyborców. Tylko Koalicja Polska zdominowana przez PSL w Warszawie na pierwszym miejscu umieściła szerzej nieznanego kandydata – Władysława T. Bartoszewskiego, syna dziennikarza i historyka Władysława Bartoszewskiego. Kandydat PSL pierwszy raz poddał się ocenie wyborców w tegorocznych wyborach do PE, zdobywając w stolicy 35 tys. głosów.

DEBIUTANT KONTRA WYGA

Debiutantem w wyborach parlamentarnych jest premier Mateusz Morawiecki, który w październiku wystartuje z pierwszego miejsca listy PiS w Katowicach. Jego rywalem będzie czołowy polityk Platformy Obywatelskiej, uważany też za jej skutecznego medialnego fightera – Borys Budka. Były minister sprawiedliwości w rządzie Ewy Kopacz jest dzisiaj też jednym z czołowych krytyków PiS. Do pierwszego pojedynku między nimi doszło już kilka dni temu. Szef rządu ironicznie skomentował obietnice wyborcze Platformy Obywatelskiej, porównując je do zdjęcia Borysa Budki, na którym polityk PO udzielał wywiadu telewizji TVN odziany w marynarkę, koszulę i krawat, ale poza kadrem było widać, że zamiast spodni miał założone tylko kąpielówki.

– Przecierałem oczy ze zdumienia, bo jeden z liderów partii pana Grzegorza Schetny występował przed kamerą, miał marynarkę, koszulę, krawat, a na dole miał klapki i kąpielówki. Serio,

serio tak było. Tak wygląda ich oferta programowa – mówił podczas konwencji wyborczej Morawiecki.

– Wypowiedź premiera świadczy, że jest on nadętym sztywniakiem w garniturze. Jeśli ktoś nie ma dystansu do siebie i poczucia humoru, to sili się na takie złośliwości. Może niech premier opublikuje swoje zdjęcie, równie fajne, które polubi 17 tys. osób. Podkreślam 17 tys. zwykłych osób, a nie PiS-owskich trolli – ripostował w rozmowie z Wirtualną Polską Borys Budka. Polityk PO w wyborach w 2015 r. zdobył mandat z Gliwic, uzyskując w tym okręgu 37,7 tys. głosów.

– Mam hipotezę, że start premiera Morawieckiego akurat w Katowicach, w tym niełatwym jednak okręgu, być może jest długoterminową strategią podkreślającą związek Śląska z Polską – uważa prof. Drzonek. Przypomina, że 15 sierpnia to właśnie w Katowicach odbyła się uroczysta parada wojskowa, co większość komentatorów uznała za element kampanii wyborczej szefa rządu. – Z drugiej strony kilka miesięcy temu dało się słyszeć o tworzeniu się „ponadpartyjnego ruchu”, który chciałby doprowadzić do decentralizacji Polski. Z potrzebą decentralizacji w zasadzie się nie dyskutuje, ale jeśli pojawiały się tam hasła autonomii Śląska, to już była kwestia autonomizacji regionu, na co Warszawa przecież zgodzić się nie może – twierdzi politolog.

STARCIE SYMBOLI

Ciekawie zapowiada się również starcie w Kielcach, gdzie zmierzą się reprezentujący Zjednoczoną Prawicę Zbigniew Ziobro oraz kandydujący z list KO były minister spraw wewnętrznych w rządzie Donalda Tuska – Bartłomiej Sienkiewicz. Dla wyborców Platformy Ziobro jest symbolem krytykowanej przez nich „rewolucji w sądach”, z kolei wyborcy prawicy uważają Sienkiewicza za jedną z ikon patologii rządów Donalda Tuska: nadużywania służb specjalnych do inwigilacji obywateli czy słynnej „afery taśmowej”. To właśnie Sienkiewicza wskazywał Paweł Wojtunik, były szef CBA, w ujawnionej przez tygodnik „Do Rzeczy” rozmowie z komisarz Elżbietą Bieńkowską (PO), jako inspiratora podpalenia budki pod ambasadą rosyjską w Warszawie podczas jednego z Marszów Niepodległości, co dało później pretekst do represji wobec środowisk narodowych.

Wynik tej rywalizacji może się okazać dużo ważniejszy dla Ziobry, którego

borów przez opozycję to właśnie była marszałek Sejmu powinna otrzymać misję stworzenia nowego rządu. A 44 proc. badanych uznało, że powinna zastąpić Grzegorza Schetnę na stanowisku przewodniczącego Platformy.

Kandydatka PO w wyborach w 2015 r. startowała z okręgu podwarszawskiego, tzw. obwarzanka, i otrzymała 80,8 tys. głosów. Lider PiS w tych samych wyborach zdobył mandat w Warszawie wynikiem 202,4 tys. głosów, przegrał jednak rywalizację ze startującą wówczas również ze stolicy byłą premier Ewą Kopacz (230,8 tys. głosów).

Zdaniem politologa prof. Macieja Drzonka wynik rywalizacji tej dwójki

FOT. ADRIAN STOK

pozycja w obozie PiS jest mocno zachwiana po wybuchu afery zwanej „farmą trolli w Ministerstwie Sprawiedliwości”. Spektakularne zwycięstwo i znokautowanie nie lubianego przez PiS Sienkiewicza mogłyby dostarczyć obecnemu ministrowi sprawiedliwości argumentów broniących jego własnej pozycji i kierowanej przez niego Solidarnej Polski. Ma o tyle łatwiejsze od rywala zadanie, że województwo świętokrzyskie od dawna jest jednym z najtrudniejszych terenów wyborczych dla Platformy Obywatelskiej. – Pamiętajmy, że start Grzegorza Schetyny w poprzednich wyborach w tym okręgu uważany był w samej PO jako kara i „zesłanie” – mówi „Do Rzeczy” prof. Rafał Chwedoruk, politolog. – Wynik Sienkiewicza, jednego z najbardziej zaufanych ludzi Donalda Tuska, może być pewnego rodzaju wyznacznikiem tego, jaki jeszcze tkwi potencjał w Tusku i jego zapleczu – dodaje.

W Wałbrzychu mierzą się Dworczyk (PiS) i Siemoniak (KO) prezentujący odmienne podejście do spraw związanych z obronnością

Zbigniew Ziobro w wyborach w 2015 r. w okręgu kieleckim zdobył 67,2 tys. głosów, dla Sienkiewicza będzie to pierwsza rywalizacja w wyborach.

Do pojedynku ikon dojdzie również w Wałbrzychu, gdzie mierzą się dwaj politycy reprezentujący całkowicie odmienne podejście do spraw związanych ze strategią obronną, rozwojem i modernizacją polskiego wojska. Listę PiS otwierają tam będzie bowiem minister Michał Dworczyk, jeden z najbliższych współpracowników premiera Morawieckiego i były wiceminister obrony narodowej, odpowiedzialny w tym resorcie m.in. za budowę Wojsk Obrony Terytorialnej. A jedynek Koalicji Obywatelskiej jest tam były minister obrony narodowej Tomasz Siemoniak (PO), który za swojej kadencji bez większych sukcesów próbował zbudować poprzedniczkę WOT – Narodowe Siły Rezerwowe. Jak wynika z zapowiedzi polityków PO, jeśli wygrają wybory, zamierzają oni zlikwidować, oprócz CBA i IPN, także stworzone przez duet Macierewicz-Dworczyk brygady Wojsk Obrony Terytorialnej.

Siemoniak i Dworczyk w wyborach 2015 r. zmierzali się już w okręgu wałbrzyjskim. Kandydat PO zdobył tam wówczas ok. 30,7 tys. głosów, zaś polityk PiS – ok. 25 tys. W tym roku po pięć lat może deptać im kandydat Lewicy – Marek Dyduch, były działacz PZPR i były sekretarz generalny SLD. Za rządów Leszka Millera pełnił funkcję wiceministra Skarbu Państwa. Dyduch ostatni raz zasiadał w Sejmie w latach 2001–2005.

I PO „ROZWODZIE”

Pojedynek w niedawnej politycznej „rodzinie” kandydaci stoczą w Krakowie, gdzie jedyneką z list PiS jest młoda gwiazda partii Kaczyńskiego – Małgorzata Wassermann, szefowa komisji śledczej ds. Amber Gold, a na pierwszym miejscu listy Koalicji Obywatelskiej znalazł się wieloletni polityk PiS prof. Paweł Kowal, wiceminister spraw zagranicznych w rządzie Jarosława Kaczyńskiego i były poseł PiS do Parlamentu Europejskiego.

Kowal w 2015 r. w rozmowie z „Rzeczpospolitą” ogłosił, że wycofuje się z polityki. – Mam świetną rodzinę, ciekawą pracę, dużo aktywności naukowej. Polityka rozumiana jako pełnienie funkcji państwowej czy parlamentarnej nie musi być sensem życia, tym bardziej że od półtora roku żadnej publicznej funkcji nie pełniłem – mówił wówczas. I deklarował, że będzie popierał rządy prawicy. Po czterech latach zmienił zdanie. W kampanii wspiera go prezydent Gdańska Aleksandra Dulkiewicz.

Paweł Kowal walczył w Krakowie w wyborach do PE w 2009 r., zdobywając tam wówczas 18,6 tys. głosów. W 2015 r. nie startował w wyborach parlamentarnych. Z kolei Małgorzata Wassermann, córka zmarłego w katastrofie smoleńskiej Zbigniewa Wassermanna, w wyborach w 2015 r. startowała w okręgu krakowskim, zdobywając 81,3 tys. głosów – najwięcej w tym okręgu. W 2018 r. była kandydatką PiS na prezydenta Krakowa, ale przegrała w drugiej turze z Jackiem Majchrowskim (zdobyła 38 proc. głosów).

Wojna w niedawnej „rodzinie” będzie też w Rzeszowie, gdzie zetrą się: Krzysztof Sobolewski, szef komitetu wykonawczego PiS, dla którego będzie to pierwszy wyścig parlamentarny, i Paweł Poncyłjusz, były wiceminister gospodarki w rządzie Kaczyńskiego (po rozłamie w PiS polityk partii Polska Jest Najważniejsza). Poncyłjusz ostatni raz do Sejmu

startował w 2007 r. z okręgu warszawskiego. Zdobyl wówczas 4,6 tys. głosów.

W Rzeszowie o mandat z pierwszego miejsca list Koalicji Polskiej ubiegać się będzie także Stanisław Tyszką, obecny wice-marszałek Sejmu i polityk ruchu Kukiz'15, oraz Grzegorz Braun, lider Konfederacji.

Rejterada czy strategiczny odwrót?

– Gdy usłyszałem, że poseł Kidawa-Błońska będzie startował z Warszawy, a Schetyna nie ze stolicy, ale z Wrocławia, wydawało mi się, że jest to element ciekawej, przemyślanej, długoterminowej strategii Platformy Obywatelskiej, którą udało im się ukrywać przez ostatnie kilka tygodni – mówi prof. Maciej Drzonek. – Jednak gdy zobaczyłem ostatnią konwencję PO, to stwierdziłem, że tu nie ma żadnego planu, żadnej tajnej broni, a tylko chwilowy zwrot obliczony na przejęcie narracji w kampanii wyborczej, ale też będący efektem pewnej logiki, a mianowicie spadku poparcia dla Schetyny w rozmaitych rankingach zaufania – twierdzi.

W kuluarach PO mówi się, że wewnętrzne badania wskazują na mocno krytyczny odbiór polityki Grzegorza Schetyny i jego wystąpień także przez tzw. twardy elektorat Platformy. To miało ponoć mieć wpływ na decyzję o rezygnacji ze startu w Warszawie i powrocie do „matecznika” Schetyny, jak określany bywał Wrocław. Z kolei ostatni sondaż CBOS „Stosunek do polityków w sierpniu 2019” wskazuje, że Schetyna jest politykiem cieszącym się najniższym zaufaniem opinii publicznej. Nie ufa mu aż 50 proc. respondentów. Identyczne wskazania dotyczą Janusza Korwin-Mikkego.

We Wrocławiu lider PO mierzy się z jedyneką PiS Mirosławą Stachowiak-Różecką i politykiem Wiosny, prywatnie partnerem Roberta Biedronia – Krzysztofem Śmiszkiem, a także swoim niedawnym partyjnym kolegą – Jackiem Protasiewiczem, obecnie reprezentującym Koalicję Polską.

W wyborach w 2015 r. Schetyna startował z okręgu obejmującego województwo świętokrzyskie, zdobywając tam 42 tys. głosów. Wcześniej startował z Legnicy, gdzie uzyskał 67,6 tys. głosów. Mirosława Stachowiak-Różecka w 2015 r., startując we Wrocławiu, zdobyła 41,2 tys. głosów, a Jacek Protasiewicz, wówczas jeszcze reprezentujący PO – 28,8 tys. głosów. Krzysztof Śmiszek ma za sobą do tej pory tylko nieudany start w tegorocznych wyborach do PE.



Fundacja
im. Przemysława
Gintrowskiego

ZA WOLNOŚĆ W KULTURZE

NAGRODA IM. PRZEMYSŁAWA GINTROWSKIEGO

Nagroda dla twórców kultury
stojących na straży prawdy i umiłowania
wolności. Jej laureatem może zostać osoba,
której działalność wpisuje się w hasło:
„A jednak coś po nas zostanie”.

IV EDYCJA NAGRODY

Laureaci NAGRODY
poprzednich edycji:

III EDYCJA 2018
FRANCISZEK PIECZKA
/NA ZDJĘCIU/

II EDYCJA 2017
EWA BŁASZCZYK

I EDYCJA 2016
STANISŁAWA CELIŃSKA
JAN POLKOWSKI
ANTONINA KRZYSZTOŃ



NA ZGŁOSZENIA KANDYDATÓW CZEKAMY DO 30 WRZEŚNIA

SZCZEGÓŁY NA WWW.GINTROWSKI.PL
LUB FUNDACJA@GINTROWSKI.PL

MECENASI KONCERTU:



PARTNERZY:



Od czterech lat Polska poddawana jest ciekawemu eksperymentowi politycznemu. Siły polityczne, które przegrały wybory w 2015 r., w połączeniu z liberalno-lewicową opinią publiczną przedstawiają stan życia politycznego w Polsce jako bezpośrednie zagrożenie i zanegowanie demokracji. Rządząca partia w odpowiedzi prowadzi politykę, która musi łączyć zmiany wynikające z jej planu politycznego z dużą dozą zręczności i wyczucia. PiS dba, aby nie dopuścić do bardziej masowych protestów społecznych. Warto pokusić się o analizę tej przedziwnej rywalizacji. Z jednej strony taniec na linii PiS, a z drugiej – kolejne próby Platformy, by przekonać Polaków, ale i polityków europejskich w Brukseli, że w Polsce niszczone jest demokracja.

KAŻDY DZIEŃ TO KOSZMAR

Metodę obozu liberalno-lewicowego, wcielaną w życie przynajmniej od 2005 r., w największym skrócie można zdefiniować jako taktykę minimalizowania strat politycznych, gdy obóz liberalny nie jest u władzy. W dawnej starożytnej epoce niekorzystny werdykt wyborczy w dojrziałych demokracjach przyjmowano jako czas przejścia do spokojnej opozycji, krytykowano i punktowano błędne posunięcia adwersarzy, ale nie wytwarzano aury zagrożenia demokracji. Sytuacja zmieniła się wraz z pojawieniem się partii tożsamościowych, którym obóz liberalny nadał pejoratywną etykietkę populistów. To określenie przypisywano każdej sile z prawej strony, która w opinii lewicy przekraczała wyznaczone przez nią granice. Jako sposób na jak najszybsze zniwelowanie wygranej prawicy uznano rozhuśtanie nastrojów zagrożenia i lęku w elitach i elektoracie liberalnym.

Zjawisko to nazwać możemy zarządzaniem strachem. Chodzi o tak intensywne rozkręcenie nastrojów obawy o stan demokracji, że gabinet „populistyczny” ma ograniczone pole do działania w kraju i musi się zmagać z ciągłymi oskarżeniami o zagrożenie demokracji na forum międzynarodowym. W każdym wypadku lewicy takie działanie się opłaca. Wytwarza ono tak nerwową atmosferę, że prawicowe gabinety mające słabą większość mogą łatwo się wywrócić. W wypadku rządów posiadających solidną większość ciągłe tyrady o końcu demokracji też mają sens. Dana władza musi tyle wysiłku wkładać w zmaganie się z demonstracjami ulicznymi i krytyką na forum zagranicznym, że



Sztuka zarządzania strachem



Piotr Semka

Można odnieść wrażenie, że gra władzy i opozycji o akceptację wyborców to najbardziej skrywana przed cudzoziemcami tajemnica Polaków. To fascynujący pojedynek, którego ostateczne efekty będziemy w stanie ocenić w dzień wyborów

musi znacznie ograniczyć liczbę zmian, bo każda może wywoływać minikryzys.

Na polskim podwórku pierwszą próbą zarządzania strachem był okres rządów Prawa i Sprawiedliwości w latach 2005–2007. Wówczas opozycja skupiała się na działaniach na krajowym podwórku. Ich symbolem były dramatyczne tzw. żółte paski w TVN. W kwietniu 2008 r. autor „Tygodnika Powszechnego” Marek Bieńczyk, wspominając minioną epokę „IV RP”, wspominał, że zgroza, że nie jest w stanie zapomnieć „TVN24 włączonego w domach i redakcjach cały dzień, tego skakania po programach radiowych, tego rzucania się od świtu na gazety, by czytać równie

nerwowe co my komentarze i felietony, tego wyczekiwania na kolejne skandaliczne słowa”.

Gdy w 2015 r. PiS wrócił do władzy, na dodatek uzyskując samodzielną większość parlamentarną – opozycja postawiła wpięrow na „ulicę”, a potem na „zagranicę”. Aby być zupełnie ścisłym – najpierw próbowano wariantu straszenia w celu uzyskania obniżki wiarygodności gospodarczej. Kto dziś pamięta, że w pierwszych miesiącach po objęciu władzy przez PiS jedna z agencji ratingowych obniżyła klasyfikację wiarygodności ekonomicznej Polski. Gdy potem posprawdzano, na jakiej podstawie nastąpiła taka zmiana, pojawiło się wytłumaczenie,

że skoro istnieje zagrożenie dla demokracji, to siłą rzeczy musi się to odbić na gospodarce. W kolejnych miesiącach opozycyjne media oczekiwały z mściwą satysfakcją na obniżki kategorii ratingowych w innych agencjach. Na szczęście ten trend nie trwał długo. Agencje wróciły do oceny wyłącznie ekonomicznej i nie dały się wciągnąć w operacje „zarządzania strachem”.

Kolejne miesiące to nadzieja na duże demonstracje uliczne, które miały wywrócić władzę na wzór „kolorowych rewolucji” z krajów Europy Wschodniej w latach 2004–2009. Gdy ta faza nie poskutkowała, ciężar nacisku na rząd PiS przeniósł się do Brukseli. Kto dziś pamięta, jak Donald Tusk czy Frans Timmermans przyjmowali w unijnej stolicy Mateusza Kijowskiego jako wysłannika wolnej opinii publicznej z Polski? Wywołaniu zająć z policją służyły próby zablokowania miesięcznic smoleńskich przez Obywateli RP.

PiS nie był w tych konfliktach bez winy, ale jego działania nie układały się w konsekwentną politykę faktycznego nieuznawania wyniku wyborów.

Przesileniem w całym ciągu tych prób „rozhuśtania łodzi” był kryzys wokół okupacji sali Sejmu i demonstracje wokół parlamentu w grudniu 2016. Później już tylko raz poważne i masowe akcje uliczne wybuchły w reakcji na ustawy o zmianach w sądownictwie, który to proces rozładował Andrzej Duda, wetując ustawę.

KACZYŃSKI W ROLI SAPERA

Dopiero dziś z perspektywy czterech lat możemy uznać, że PiS wszystkie te próby przechodził z dużą dozą wyczucia. Jeśli partia rządząca przeszła te próby, to tylko dlatego, że Jarosław Kaczyński potrafił wycofywać się z błędnych decyzji. Za każdym razem też musiał oceniać, który protest może wywołać masowe efekty, a w których sytuacjach warto pozostać niewzruszonym.

W rezultacie PiS uzyskał sytuację, w której kluczowa „milcząca większość” nie zaakceptowała też o zagrożeniu demokracji. PiS wbrew nadziejom opozycji nie tracił w sondażach, a demonstracji, które miałyby naprawdę masowy charakter, nie było wiele. Miało to swoją cenę. Rządząca partia musiała ogromną ilość energii kierować na łagodzenie powstających co rusz konfliktów i skupiać swoją uwagę na tym, gdzie wycofywać się z decyzji mogących wywołać społeczne niezadowolenie, np. z premii dla członków rządu, które przeszły do historii z racji słów Beaty Szydło, że „te pieniądze się należały”.

W tym sensie akcja zarządzania strachem na polu krajowym wykazała limity wiarygodności. Notabene często najbardziej demaskowało ten styl wielkich słów o końcu demokracji samo zachowanie jej „obrońców”. Było to widać, gdy w czasie okupacji sali Sejmu przez Platformę w grudniu 2016 r. Ryszard Petru śmigał „na Maderę”, a Grzegorz Schetyna szusował na nartach w górskim kurorcie.

O ile większość Polaków nie dała się przekonać o jakimś nowym antydemokratycznym okresie w historii Polski, o tyle obóz opozycyjny doskonale lansował swoją opowieść na forum międzynarodowym. Można było odkryć przy okazji rzeczy, które wcześniej nie były tak widoczne. To na przykład absolutne zunifikowanie relacji o wydarzeniach w Polsce w najważniejszych zachodnich mediach. Trudno zliczyć, ile wątpliwych albo stronniczych opinii przedstawiano jako stwierdzone fakty. Powodowało to swoiste sprzężenie zwrotne. Zachodni politycy czy unijni komisarze wypowiadający się na temat zagrożenia demokracji w Polsce pytani, na jakiej podstawie formułują swoje opinie, mówili, że czerpią informacje z mediów. A te były w zatrważającej liczbie wypadków stronnicze.

I tu znów można zauważyć, że Polacy szybko immunizowali się na ten stan rzeczy. Argumenty na forum krajowym w stylu: „Czy »New York Times«, »Le Monde« i »Der Spiegel« zmówiły się, aby oczerniać Kaczyńskiego?” szybko przestały robić wrażenie. Jednak na forum brukselskim zwolennicy opozycji triumfowali. Paradoksalnie najsukuteczniejsze były działania opozycji w krajach, gdzie istnieje duża kultura polityczna. Przykładowo w Niemczech, gdzie partie nie dopuszczają do tak ostrych sporów jak w Polsce, ze względu na odpowiedzialność za państwo, wizyta i publiczna skarga kogoś takiego jak Małgorzata Gersdorf robiły wielkie wrażenie. Ale tylko dlatego, że przykładano do niej niemieckie schematy. Wielu sędziów niemieckich rozumowało w następujący sposób: sytuacja musi być bezprecedensowa. Przecież polska I prezes SN nie przerysowywałaby sytuacji, gdyż nie pozwalałaby jej na to powaga jej stanowiska. O wiele trudniej było zrozumieć, że sama prezes Gersdorf ochnocho zaangażowała się w konflikt i nie zrobiła nic, by rozładować spór.

KWAŚNY BILANS

Zarządzanie strachem przyniosło bardzo zróżnicowane efekty. Na politykę

sensu stricto wpłynęło w małym stopniu. PiS zachował przez ostatnie cztery lata prowadzenie w sondażach. Nie udało się doprowadzić do destabilizacji rządu – czy to poprzez próbę okupacji Sejmu, czy wywołanie jakichś wielodniowych masowych strajków. W sensie dialogu politycznego przyniosło ono zaś niszczący efekt. W normalnej demokracji spór konstytucyjny wokół sędziów Trybunału Konstytucyjnego można byłoby już dawno rozwiązać przy mediacji autoritetów z dziedziny prawa. Skala nienawiści zatruła życie publiczne i zniszczyła wiele instytucji. Jednak wyniszczyła też opozycję, która przez ostatnie cztery lata wykrzyczała już tyle dramatycznych haseł, że teraz, gdy toczyć się winna kampania wyborcza o wszystko – nie ma już zbyt wiele do powiedzenia.

„Gazeta Wyborcza” przesadziła już z tyloma pseudodramatycznymi historiami, że dziś jej czołówki na nikim nie robią wrażenia. Taktyka zarządzania strachem skłoniła jednak także PiS do odpowiadania pięknym za nadobne. Wiele razy demonizowano zagrożenie ze strony opozycji. Przykładem sytuacji, gdy przejęcie przez PiS metod adwersarza zaszkodziło tej partii, był dramatyzujący klip na temat groźby nawrotu fali uchodźców w ostatnim tygodniu kampanii wyborczej w październiku 2018 r. Klip był tak „przegrzany”, że zmobilizował proplatformerski elektorat w dużych miastach. Innym przykładem notorycznego, przesadnego straszenia Platformą są „Wiadomości” TVP.

W tym wszystkim Polacy kolejny raz pozytywnie zaskakują, umiając odróżniać przesadę propagandową od rzeczywistości. Pod tym względem zarządzanie strachem wykazało limity swojej skuteczności. Chociaż nie mamy też złudzeń. Gdyby równowaga medialna była mniejsza i gdyby nie media społecznościowe, obóz liberalny byłby w stanie znacznie skuteczniej sterować zbiorową świadomością.

W starej bajce mały pastuszek, który dla zabawy krzyczał, że zagrażają mu wilki, został zjedzony, gdy już wilki naprawdę się pojawiły, bo nadużywał ludzkiej łatwowierności. Jednak dzisiejsze czasy przyniosły nam pastuszków, którzy potrafili skutecznie wmawiać, że wilki są stałym zagrożeniem, i budować na tym władzę nad wspólnotą. I w tej mierze liberalna lewica wciąż jest nieporównanie sprawniejsza i skuteczniejsza niż konserwatyści.

Eminizacja „Gazety Wyborczej”



Rafał A. Ziemkiewicz

Sprawa „Małej Emi” dowodzi kompletnej degeneracji i zidiocenia w antypisie, a szczególnie w jego mediach

Raz i drugi dostałem dziwny SMS. Nieznana mi kobieta informowała, że jakiś sędzia gwałci własną córkę i że okradł żonę – coś w tym stylu. Wiadomości były napisane w bardzo charakterystyczny sposób: psychiatrzy nazywają takie formułowanie wypowiedzi sałatką słowną i uważają za objaw kliniczny poważnych zaburzeń. Oznaczyłem więc sobie w telefonie numer jako „nie odbierać”. Teraz wiem, że straciłem w ten sposób szansę na wielokrotne pojawienie się, a może nawet na jedną z głównych ról, w trwającym już od dwóch tygodni „aferalnym” serialu „Gazety Wyborczej”.

SŁUŻBY? NIE, ŻONA

Wbrew przekonaniu wspomnianej gazety większość Polaków zapewne tej afery nie zauważyła, więc potrzeba streszczenia. Niejaka Emilia Szmydt, występująca w Internecie jako „Mała Emi”, rozpowszechniała w sieci, a także rozsyłała zwykłą pocztą plotki kompromitujące sędziów angażujących się politycznie przeciwko PiS. Chociaż jestem dziennikarzem, i to mocno aktywnym w Internecie, to o istnieniu i działalności takiej osoby dowiedziałem się dopiero z gazet – nie wydaje się więc, żeby hejt „Małej Emi” miał wielkie skutki (ona sama się chwaliła, że niektóre jej posty osiągnęły 80 tys. odsłon, co – powiedzmy uprzejmie – głowy nie urywa). Trudno się jednak dzi-

wić, bo osoby, które atakowała Emi, nie są publicznie rozpoznawalne. Kto, poza tzw. środowiskiem i „coverującymi” je dziennikarzami, wie, jak nazywa się szef stowarzyszenia Iustitia – a co dopiero jego niżsi rangą działacze? To samo zresztą dotyczy wiceministra i pomniejszych urzędników Ministerstwa Sprawiedliwości.

Zresztą wszyscy zaangażowani w sprawę, po obu stronach, okazali się blisko ze sobą powiązani. „Mała Emi” była żoną sędziego, z którym obecnie jest w trakcie rozwodu, i kochanką innego sędziego, z którym się pokłóciła i którego gołe zdjęcia w zemście wrzuciła do sieci. Na ten „stalking” kochanek zareagował uruchomieniem przeciwko niej machiny prawnej i „Mała Emi”, jak przyznała otwarcie, zaferowała swe hejterskie usługi sędziom delegowanym przez PiS do ministerstwa, licząc z ich strony na osłonę. Niestety, za upowszechnianie z konta na Twitterze dostarczanych przez nich plotek i „danych wrażliwych” o politycznych przeciwnikach mieli jej dać tylko figurkę husarza z niesmaczną w tym kontekście inskrypcją, nawiązującą do sławnych słów „Inki” Siedzikówny (w trzykolumnowej „spowiedzi” żali się między innymi, że nawet za koperty i znaczki płaciła sama). Obrażona więc poszła do „Gazety Wyborczej” z wyznaniem, że chciała dobrze, ale teraz już zrozumiała, że to było bardzo złe, i w ramach ekspiacji gotowa jest „ponadawać” z kolei na „PiS-owców”.

Jeśli czytelnikowi nie przyszło jeszcze do głowy słowo „magiel”, dodajmy, że mąż (można już chyba mówić „były?”), „Małej Emi” w reakcji na oskarżenia opowiedział ich burzliwy związek, opisując swą byłą jako kompletną wariatkę, alkoholicką i puszczalską – a przy okazji samego siebie, choć to zapewne nie było zamierzone, jako skończonego idiotę. Sama Emi z kolei przyznała się, że „PiS-owcy” prosili ją, aby

nie wyciągała publicznie szefowi „Iustycji” zasponsorowanej przez niego aborcji (co jednak zrobiła), bo rykoszetem uderza to we wspólną znajomą, która obecnie gra po ich stronie. Skądinąd strona przeciwna też w aferze nie próżnowała: były kochanek nękający Emi i nękany przez nią ogłosił publicznie, że za jej wolą stoi jeszcze inny sędzia, który także jego chciał przeciągnąć na stronę „anty-PiS” – dlatego, nachodzony w tej sprawie, wołał on na kilka dni „zniknąć”. To zniknięcie, tak jak poszukiwania, zostało bardzo przez „Gazetę Wyborczą” nagłośnione, budowała ona dzień po dniu „suspens”, sugerując najgorsze, w końcu jednak się okazało, że zaginionemu tylko „zabrano telefon”. Kto zabrał? Ziobro? Kaczyński? Służby? Odpowiedzi doczytali się jedynie najuważniejsi: żona.

CZYSTA GROTESKA

Mówiąc krótko, „Wyborcza”, a w ślad za nią cała propagandowa orkiestra „opozycji totalnej”, nagłośniły z groteskowym zadęciem opowieści pani, którą w swych lepszych czasach odesłałaby do Urbana, jeśli nie do zakładu zamkniętego. Gdybyż jeszcze użyła jej rewelacji do stworzenia szyderczej opowieści o „PiS-owcach” pobożnych na zewnątrz, a w istocie uprawiających „porubstwo”, albo o beznadziejnej nieporadności awansowanych przez PiS urzędników, całkiem możliwe, że osiągnęłaby upragniony cel: odebrać zienawidzonej partii rządzącej choć kilka punktów procentowych.

Jednak gazeta liberalnego salonu postanowiła nadać sprawie internetowej hejterki powagę porównywalną z Wattergate, a co najmniej z „afarą Rywina”. Krzykliwe tytuły mówiły o „zorganizowanej grupie przestępczej w ministerstwie”, „farmie trolli” czy „ministerstwie hejtu”, co zostało natychmiast podchwyczone przez medialne „autorytety” opozycji. Jej

„Farma trolli” to określenie, które coś
znaczy, i przeciętny Polak
mniej więcej wie

„Gazeta Wyborcza” jest wprawdzie macierzystą redakcją Tomasza Piątka, „dziennikarza śledczego”, którego metoda łączenia strzałeczkami wszystkich ze wszystkimi od kilku lat stanowi powszechne pośmiewisko, ale wielu czytelników wciąż kojarzy ją z czasami.

Gdy kolejne odpalane z wielką pompą i hukiem „afery” okazują się nie tylko spływać po znienawidzonym PIS bez szkody, lecz także wręcz podnosić jego notowania, trudno oczywiście nie rozumieć frustracji zarówno wpływowej kiedys michnikowszczyzny, jak i tego, że frustracja ta stopniowo odbiera jej liderom rozum. Jeśli jednak proces nadal będzie postępował w takim tempie, to do wyborów nie uda się donieść nawet resztek reputacji poważnej kiedys gazety.



W badaniach przeprowadzonych w połowie roku przez Europejską Radę Spraw Zagranicznych obywatele Unii Europejskiej zostali zapytani o to, którą stronę konfliktu poparliby w przypadku wojny między USA a Rosją. Polska okazała się najbardziej proamerykańska z państw członkowskich. Po stronie Amerykanów opowiedziało się 33 proc. ankietowanych, Rosję poparło 6 proc., żadnego z graczy – 45 proc. Wystarczy spojrzeć na południe, aby uzmysłowić sobie, jak bardzo jesteśmy w tej sympatii osamotnieni. Dla przykładu na Słowacji statystyki odpowiedzi wyglądały następująco: 6 proc., 20 proc., 65 proc.; w Grecji 5 proc., 7 proc., 81 proc., a w Austrii 4 proc., 6 proc., 85 proc. Gdy pytano: „Komu ufasz bardziej” – Ameryce, Unii Europejskiej czy nikomu – Polacy ponownie okazali się, w porównaniu z innymi nacjami, amerykańofilami. Transatlantyckim sojusznikom wierzy 19 proc. ankietowanych, Brukseli – 41 proc., a nikomu – 26 proc. W Danii proporcje są odwrotne: 6 proc., 60 proc., 26 proc. I tak – poza Węgrami – właściwie wszędzie.

Coraz częściej, również w Polsce, rodzi się jednak pytanie: Co z tymi uczuciami idzie w parze? Czy Amerykanie naprawdę przeorientowali swoją politykę zagraniczną i jak przekonywał w Warszawie wiceprezydent Mike Pence – „jesteśmy i pozostaniemy rodziną”?

JASTRZĘBIE ODLATUJĄ

Donald Trump 10 września zwolnił Johna R. Boltona – trzeciego w ciągu trzech lat doradcę ds. bezpieczeństwa narodowego. Jak stwierdził prezydent, on sam oraz kilka osób w administracji „silnie nie zgadzało się z jego wieloma sugestiami”, dlatego „nie będzie już potrzebny w Białym Domu”. Wiadomo, że chodziło zwłaszcza o rozbieżności na temat podejścia do Korei Północnej, Iranu i Rosji, które zamiast łagodzenia były doradca chciał „urealnić”. Dla krytyków poczynił Boltona znaczyło to tyle, co „rozpętać kolejną po Iraku i Afganistanie niepotrzebną Ameryce wojnę”. A Donald Trump wygrał wybory m.in. dzięki nieortodoksyjnej wobec ówczesnych republikanów, totalnej krytyce drenujących budżet interwencji zbrojnych epoki George’a W. Busha.

Zanim doszło do dymisji, niespełna dwa tygodnie wcześniej John Bolton odwiedził jednak Kijów, Kiszyniów i Mińsk. Nie przez

Sojusz urealniony



Marcin Makowski

Dopiero pracowaliśmy nad lepszą pozycją Polski w relacji z supermocarstwem. A roszady w otoczeniu prezydenta USA sprawiają nam dodatkowe kłopoty

przypadek jego środkowoeuropejska podróż zakończyła się w Warszawie, gdzie wraz z białoruskim sekretarzem Rady Bezpieczeństwa, wiceministrem spraw zagranicznych oraz partnerami ze strony Polski i Ukrainy przy okazji 80. rocznicy wybuchu II wojny rozmawiano na temat architektury bezpieczeństwa regionu. Równolegle zaniepokojone rosyjskie media donosiły o najważniejszym amerykańskim polityku na Białorusi od czasu wizyty Billa Clintona w 1994 r. Bolton powiedział Aleksandrowi Łukaszence, że nie będzie unormowania relacji handlowych i energetycznych z USA, zanim on sam nie ustabilizuje kontaktów z zachodnim sąsiadem. – Dyskutowaliśmy

o kolejnej lokalizacji dla amerykańskich żołnierzy w Polsce. Sześć mamy już ustalonych, debatujemy nad siódmą – relacjonował z kolei na poprzedzającej rocznicę konferencji prasowej z Boltonem minister Mariusz Błaszczak.

Właśnie na takich „jastrzębiach” – którzy zamiast mówić o potencjalnym włączeniu Rosji do państw grupy G7, z niepokojem spoglądali na Władimira Putina naruszającego traktat INF – polska dyplomacja oraz przedstawiciele MON opierali swoje wpływy, budując osobiste relacje.

„Szkoda, źle się stało” – napisał mi po ogłoszeniu decyzji jeden z polityków,



Prezydent USA Donald Trump odwołał niedawno planowaną wizytę w Polsce, ale zapewnił prezydenta Andrzeja Dudę, że tylko trochę odkłada ją w czasie. FOT. POLARIS IMAGES/EAST NEWS

swego czasu regularnie negocjujący z Amerykanami. „Intrygująca i zastanawiająca decyzja prezydenta Trumpa” – dodał na Twitterze Witold Waszczykowski. Wcześniej w podobny sposób prezydent USA pożegnał się z początkowo sceptycznym, ale z czasem przekonującym się do zwiększania obecności wojskowej w Polsce sekretarzem obrony, gen. Jamesem Mattisem. Pomimo bezprecedensowej skali relacji bilateralnych między naszymi państwami, zwiększenia obecności militarnej US Army w Polsce i miliardowych kontraktów na zakup gazu skroplonego oraz uzbrojenia każda z takich osób była dla nas na wagę złota. Wbrew pozorom, poza kilkoma think

tankami, Waszyngton nie jest miejscem, gdzie byłoby wielu ekspertów do spraw polskich. A w epoce polityki „America First” – o czym przekonał się, gdy Donald Trump odwołał wizytę w Warszawie ze względu na nadciągający nad ważną wybrzeż Florydy huragan – niczego nie można być do końca pewnym.

ZNACZENIE ASERTYWNOŚCI

– To jest dzisiaj kluczowe zadanie dla MON i MSZ. Uwzględniając strategiczny wymiar sojuszu z Amerykanami, zachować wobec nich asertywność. Pamięając równocześnie, że krajem rządzi chimeryczny miliarder. Jego celem nie jest zbudowanie

silnej Polski, tylko silnych Stanów Zjednoczonych. My na tym skorzystamy wtedy, gdy będziemy umieli podtrzymać „Pax Americana” w Europie Środkowej, będąc rynkiem zbytu dla ich zbrojeniówki i korporacji – mówi „Do Rzeczy” jeden z wieloletnich polskich dyplomatów. Podobny ton coraz częściej przebija z rozmów ze zorientowanymi w sprawach międzynarodowych przedstawicielami rządu. Oficjalnie relacje dwustronne są najlepsze w historii, nieoficjalnie nadal musimy znaleźć dla nich korzystniejszy dla Polski model, pomagający wyjść z roli petenta „starszego brata”.

Dobrym przykładem na potwierdzenie tej teorii są trwające do tej pory negocjacje na temat lokalizacji wspomnianej już kolejnej bazy wojsk amerykańskich. Jak udało mi się ustalić (i o czym pisałem na WP.pl w połowie lipca), pomiędzy wojskowymi obydwu państw toczy się debata na temat miejsca budowy kompleksu. – Nasi wojskowi optują za lokalizacją infrastruktury tam, gdzie już są. Pod tym względem najwygodniejszy wydaje się Żagań, gdzie znajduje się brygada ze sprzętem pancernym. To rodzaj konformizmu Departamentu Obrony i dowództwa US Army – twierdzi rozmówca związany z Departamentem Stanu. Dodaje, że za lubuskim Żaganiem przemawia również bliskość granicy z Niemcami oraz bazy Ramstein. W Żaganiu funkcjonują obecnie nie tylko elementy dowodzenia kilkunastu jednostek polskich sił zbrojnych, lecz także Pancernej Brygadowej Grupy Bojowej (ABCT) armii USA.

W kontrze do tego wariantu strona polska, która bierze na swoje barki koszty budowy (czym chwali się w wystąpieniach w USA Donald Trump), zaproponowała korzystniejsze z naszej perspektywy rozwiązanie. Chodzi o Nową Dębę, 11-tysięczne miasteczko w województwie podkarpackim, położone pomiędzy lasami Puszczy Sandomierskiej. To, co dla amerykańskich wojskowych jest końcem świata, dla MON ma przynajmniej cztery istotne zalety, które trzeba umieć wyartykułować. Po pierwsze, jeśli flanką wschodnią ma skutecznie odstraszać potencjalnego rosyjskiego agresora, musi być bliżej jego terytorium oraz granicy ewentualnych krajów tranzytowych – Ukrainy i Białorusi. Po drugie, Nowa Dęba posiada już funkcjonujący od lat Ośrodek Szkolenia Poligonowego Wojsk Lądowych, wynajmowany wcześniej na ćwiczenia NATO. W miejscowości znajdują się również zakłady zbrojeniowe wchodzące w skład Grupy Kapitałowej Bumar. Po trzecie,

nieopodal tej miejscowości planowana jest budowa szlaku Via Carpatia, który znacznie ułatwi transport wojsk amerykańskich. Po czwarte – z punktu widzenia rządu być może najistotniejsze – zlokalizowanie na Podkarpaciu siedziby dowództwa dywizji flanki wschodniej pomogłoby rozwinąć logistycznie oraz przemysłowo cały region, który zyskałby na znaczeniu.

INWESTYCJE „NIEZBYT ISTOTNE”

Pytanie – jak przekonać do takich argumentów naszego największego sojusznika, kiedy z Białego Domy płyną niepokojące sygnały o cięciach, które uderzą również w rozwój infrastruktury w Polsce? Na początku września ogłoszono bowiem, że z liczącego 716,3 mld dol. budżetu Pentagonu 3,6 mld zostanie przeznaczonych w nadzwyczajnym trybie na konstrukcję obiecanego w kampanii Donalda Trumpa muru, dzielącego granicę USA i Meksyku. Prezydent, korzystając ze zgody Kongresu, Sądu Najwyższego (po burzliwym głosowaniu pięć „za”, cztery „przeciw”) oraz powołując się na ustawę z 1976 r. – definiującą zasady wprowadzania stanu wyjątkowego – anulował 127 zaplanowanych już projektów. Zarówno czekających na realizację w Ameryce, jak i 19 innych państwach. Jednym z nich okazała się Polska, gdzie zamrożono inwestycje warte 96,4 mln dol. To m.in. nowe koszary, skład amunicji, tory kolejowe i hangary na paliwo na lotnisku w Powidzu.

Wydaje się, że na priorytecie chwilowo straciła również Europejska Inicjatywa Odstraszenia (EDI), stworzona po tym, gdy Rosja zaanektowała Krym i rozpoczęła wojnę hybrydową z Ukrainą. Ze względu na cięcia z budżetu obronnego USA zniknęły bowiem plany budowy bazy treningowej dla wojsk specjalnych w Estonii, lotniska oraz komponentów paliwowych na Węgrzech i Słowacji oraz modernizacja systemu wczesnego wykrywania samolotów wroga we Włoszech.

„Dla niewyćwiczonego oka 127 projektów wojskowych odłożonych na później ze względu na budowę muru granicznego może się wydawać mało istotne, ale jako były dowódca wojsk USA w Europie wiem, że wiele z nich to duże sprawy” – napisał na Twitterze emerytowany gen. Mark Hertling, sprawujący w latach 2011–2012 zwierzchnictwo nad amerykańskimi oddziałami w naszej części świata. Na pytania dziennikarzy, czy tak duża ingerencja w wydatki Pen-

tagonu nie odbija się na bezpieczeństwie USA oraz sojuszników, prezydent Trump odpowiedział w lutym 2019 r., że „niektórzy generałowie uważają, że mur jest istotniejszy” od tych inwestycji oraz że nie chce wchodzić w szczegóły, ale odłożone w czasie projekty „nie brzmiały dla niego zbyt istotnie”.

Równocześnie poza sprawami militarnymi, zwłaszcza „na prawo od PiS”, wątpliwości budzi określany jako jednostronny model wymiany gospodarczej między państwami. – Relacje polsko-amerykańskie to dzisiaj wasalizm bez potrzebnej asertywności. Rezygnujemy z repolonizacji mediów, ustępujemy w przypadku nowelizacji ustawy o IPN, organizujemy konferencję, która psuje nam opinię na Bliskim Wschodzie i zaprzestajemy prac nad podatkiem cyfrowym, który może kosztować budżet miliard złotych straty – mówi „Do Rzeczy” Robert Winnicki z Konfederacji. Jego zdaniem obecna sytuacja jest dużo gorsza niż za pierwszych rządów Prawa

Jak przekonać do naszych argumentów największego sojusznika, gdy z Białego Domy płyną niepokojące sygnały o cięciach budżetu?

i Sprawiedliwości, gdy – wg niego – partia potrafiła się czasami Amerykanom postawić. Uważa, że dziś Polska uzależnia się od jednego supermocarstwa, dla którego Europa nie jest najważniejszym teatrem działań. – Założmy, że rywalizacja Chin z Rosją w rejonie Arktyki i Syberii posunie się tak daleko, że Moskwa będzie się starała przeorientować na lepsze stosunki z Waszyngtonem, dla którego Chiny są największym wyzwaniem geopolitycznym. Co wtedy? Jako pierwsze zostaną poświęcone interesy Polski i naszego regionu – twierdzi Winnicki.

PODATEK CYFROWY

Wątpliwości w tych sprawach wzbudził sam wiceprezydent USA Mike Pence, który podczas konferencji z prezydentem Andrzejem Dudą 2 września powiedział, że Stany Zjednoczone „z głęboką wdzięcznością przyjęły odrzucenie” przez Polskę propozycji podatku od

usług cyfrowych, „która utrudniłaby wymianę handlową pomiędzy naszymi krajami”. Tymczasem ewentualne wpływy z takiej daniny wobec największych korporacji IT w Polsce ujęte zostały w Aktualizacji Planu Konwergencji (APK), jako część przyjętego przez rząd w kwietniu Wieloletniego Planu Finansowego Państwa na lata 2019–2022. – Wycofaliśmy się z tego w imię dobrych relacji z innym państwem – tłumaczył decyzję rządu na antenie RMF FM minister Jan Dziędziczak. – Podatki powinny być sprawiedliwe i uczciwie płacone tam, gdzie robiony jest biznes – powiedział zaś w rozmowie z „Rzeczpospolitą” na Forum Ekonomicznym w Krynicy-Zdroju premier Mateusz Morawiecki. – Ale my jako państwo członkowskie w bardzo dobrej harmonii z Unią Europejską czekamy, zgodnie z ustaleniami z Komisją Europejską, na propozycje KE wsparte przez OECD. Takie są nasze ustalenia – dodał.

Tymczasem jeszcze w marcu Filip Światała, podsekretarz stanu w Ministerstwie Finansów, odpowiadając na interpelację poselską Mirosławy Nykiel z PO, tłumaczył, że ze względu na opóźnienia legislacyjne na forum Unii Europejskiej „rząd RP podjął decyzję, by, tak jak nasi partnerzy w Unii, tj.: Francja, Hiszpania, Włochy, Wielka Brytania, Austria czy Czechy, rozpocząć prace nad wprowadzeniem tzw. rozwiązania tymczasowego w prawie krajowym”. Obecnie wiemy już, że ta koncepcja została odrzucona. Czy ze względu na naciski Amerykanów? I co za zmianę postawy otrzymaliśmy? O tym politycy milczą.

– To rządy decydują o przepisach podatkowych, a Google się do tych przepisów stosuje i płaci wszystkie wymagane prawem podatki – mówi „Do Rzeczy” Adam Malczak, rzecznik prasowy Google w Polsce.

– Nie ma w stosunkach z Amerykanami wielkich problemów, ale jest problem odpowiedniego rozłożenia akcentów – mówi polityk Zjednoczonej Prawicy. – Czasami musimy z czegoś zrezygnować, innym razem postawić na swoim. Uczmy się tej asertywności od Trumpa. Silne państwa szanują tylko silnych sojuszników – dodaje. I o to chyba dzisiaj przede wszystkim chodzi. Emocje, podobnie jak Amerykanom, nie powinny przesłaniać Polsce realnych interesów. Tylko wtedy nasz sojusz będzie miał fundamenty, na które zasługuje.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

PRENUMERATA 2019

TYGODNIK LIŚCICKIEGO

**DO
RZECZY**

ROCZNA PRENUMERATA



**TYGODNIK „DO RZECZY”
I MIESIĘCZNIK
„HISTORIA DO RZECZY”**

WERSJE PAPIEROWE TYGODNIKA
I MIESIĘCZNIKA ORAZ DOSTĘP
DO E-WYDAŃ W APLIKACJI



**W PREZENCIE
KSIĄŻKA:**

ANDRZEJ FLONT
„GRA CIENI.
21 NAJBARDZIEJ
Tajemniczych
POSTACI W HISTORII
CYWILIZACJI”

~~731~~ zł



280,00 zł



**OSZCZĘDNOŚĆ
451 zł**

ZOBACZ NASZE OFERTY: **PRENUMERATA.DORZECZY.PL**

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania w aplikacji, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA PRENUMERATA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 22 529 12 10 INTERNET: prenumerata.dorzeczy.pl

Cieszy mnie wiara Marka Jurka w zasięg tygodnika „Do Rzeczy”. Domyślałem się bowiem, że zamieszczając na naszych łamach swój protest przeciw dziennikarzom „dyscyplinującym partię”, miał na myśli tych dziennikarzy, którzy nasze pismo czytają. Dziennikarzy i publicystów „Do Rzeczy” na myśli nie mógł mieć, bo takich cerberów tu nie ma.

Wbrew twierdzeniu europośła Ryszarda Czarneckiego (wygłoszonemu zresztą na łamach „Do Rzeczy”), że na froncie nie zakłada się klubów dyskusyjnych, „Do Rzeczy” takim klubem dyskusyjnym jest. Czego dowodem między innymi jest to, że Marek Jurek mógł wziąć udział w dyskusji o groźbie nowej monowładzy, rozpoczętej w „Do Rzeczy” przez Rafała A. Ziemkiewicza. Postawił on tezę, że Jarosław Kaczyński sam bliski jest stworzenia systemu, który kiedyś zwalczał – „monowładzy” właśnie. Teza efektowna, ale moim zdaniem niesprawiedliwa, podobieństwa zaś naciągane. Gdy najpierw Porozumienie Centrum, a potem Prawo i Sprawiedliwość walczyły przeciw patologii III RP (pamiętają państwo tytuł politycznych wspomnień Kaczyńskiego o latach 90. – „Porozumienie przeciw monowładzy”), był to bój przeciw państwu „jednej partii i jednej gazety”.

Przeciwko systemowi, w którym choć u władzy zmieniają się ugrupowania (KLD, a potem PO, UD, a potem UW, SLD, PSL), nie zmienia się zbytnio prowadzona przez nie polityka, bo wszyscy są tak naprawdę beneficjentami systemu stworzonego przy Okrągłym Stole. Wsparciem dla tej hybrydy wielopartyjnej, w istocie stanowiącej jedną partię – „żeby było, jak jest” – były potężny konglomerat medialny i liczne wpływowe grupy interesu, dla których III RP była wygodnym polem ekspansji. Z prawdziwym kapitalizmem (czy jak czasem wmawiano – liberalizmem) nie miało to wiele wspólnego. Bo jak mówić o uczciwej grze wolnorynkowej, kiedy grę ustawiają właściciele kasyna?

MECHANIKA WŁADZY

Dzisiaj PiS jest u władzy (uściślając: Zjednoczona Prawica), ale o monopolu w stylu lat 90. mowy być nie może. Wielkim osiągnięciem (może największym) rywalizacji w duopolu PiS-PO po roku 2005 jest to, że poglądy wcześniej



Piotr Gociek

Żeby władzę skutecznie sprawować, trzeba mieć do tego sprawne instrumenty. Żeby demokracja działała, potrzebna jest wielość poglądów. Nie ma sprzeczności między tymi stwierdzeniami

uważane za antysystemowe, skrajne, nieakceptowane przez salon III RP stały się niezmiennym elementem publicznej debaty. Konserwatyści nie są dziś egzotycznymi stworzeniami egzystującymi jedynie w przykościelnych salkach (jak chciałyby „Wyborcza”). Można też prowadzić – i to czyni rząd PiS – politykę odmienną od tej narzuconej przez naszą okrągłostołową bandę czworga. Jednak poza tą nową przestrzenią deba-

ty wciąż nienaruszone zostają maszyny medialne, grupy interesów i wpływów, korporacje itp., które były fundamentem monowładzy III RP. One dysponują ciągle przewagą medialną i materialną, one są dla olbrzymiej części elit głównym dystrybutorem prestiżu i apanaży. Nad tą maszyną Jarosław Kaczyński kontroli nie ma i mieć nie będzie. Stąd teza o powrocie monowładzy jest chybiona, a porównanie nieuprawnione,



podobało mu się, że zaoferowano mu stanowisko mniej ważne niż poprzednio. A prasa brytyjska (głównie ta lewicowa) pełna jest jeremiad o tym, jak to Johnson gwałci demokrację, bo stworzył rząd, do którego dobierał zwolenników brexitu i własnej polityki. A cóż w tym dziwnego? Miał stworzyć gabinet składający się z ludzi, którzy polityki nowego premiera realizować nie chcą?

Brutalnie mówiąc: właściciel fabryki samochodów ma prawo nie tylko wymagać od swoich pracowników, by znali się na produkcji samochodów, lecz także i tego, by produkowali takie pojazdy, na których dostawę zawarł kontrakt właśnie. Oczywiście polityka to nie produkcja samochodów, ale chodzi o zasadę. Partia przejmująca władzę dzięki obietnicom złożonym w kampanii wyborczej zawiera ze swoimi wyborcami kontrakt. Jeśli jego warunków nie wypełni, to zostanie przez rozczarowanego nabywcę rozliczona w następnych wyborach. Czy można mieć pretensje do szefa partii czy do premiera rządu, który wyciąga konsekwencje, gdy jego współpracownik lub podwładny nie zamierza kontraktu realizować?

W USA, gdy jest czas praw wyborów i wyłaniania kandydatów na kandydatów, ścierają się rozmaite opinie, ale gdy przychodzi czas wyboru prezydenta, to do urn stawiają się ramię w ramię ci sami, którzy wewnątrz tego samego obozu jeszcze kilka miesięcy wcześniej toczyli najsrozsze batalie. Niestety, dla części z nich głos na tego, kto ostatecznie uzyskał prezydencką nominację, jest wyborem mniejszego zła. To także uroki demokracji. Uroki mechaniki władzy zaś są takie, że żeby władzę skutecznie sprawować, trzeba mieć odpowiednie do zadania instrumenty.

KIBOLE NIE TUTAJ

Oczywiście problem zaczyna się, gdy dyscyplina wchodzi w konflikt z wolnością i różnorodnością poglądów, z ich ścieraniem się w dyskusji. Tylko że gdy mówimy o dyscyplinie partyjnej i sposobie układania list wyborczych, nie rozmawiamy o jakimś osobnym wynalazku Jarosława Kaczyńskiego zbudowanym specjalnie do kontroli nad Zjednoczoną Prawicą. Taką jest praktyka we wszystkich polskich partiach czy koalicjach. Czy to dobrze, jak mogłoby to wyglądać inaczej, jak powinno wyglądać – dyskutujemy (zresztą przecież nie tylko w „Do Rze-

czy”), ale nie sięgamy po sformułowania nijak do sedna sprawy niepasujące.

„Prawdziwą jednak osobliwością jest nie tyle stan życia politycznego, ile niektóre odruchy polskiego dziennikarstwa. Dziennikarze z zasady powinni być rzecznikami poglądów i nonkonformizmu. Dziennikarze dyscyplinujący partię, będący rzecznikami »ściślej kontroli nad partią«, broniący, a przynajmniej ignorujący, tłumienie opinii publicznej – to fenomen charakterystyczny dla (parafrazując Tyrmanda) cywilizacji postkomunizmu” – twierdzi pod koniec swego wywodu Marek Jurek. I ja się z nim w pełnej rozciągłości zgadzam, nie rozumiejąc, dlaczego powyższy akapit trafił do jego tekstu, bo ani ja nie powinienem być jego adresatem, ani w swoim tekście dziennikarzy do takich zachowań nie wzywałem. Wręcz przeciwnie, gdyby Marek Jurek przeczytał choćby mój „Analfabet III RP”, to wiedziałby, jak bardzo martwią mnie dziennikarze czy internetowi liderzy opinii publicznej, którzy myślą rolę obserwatora z kibolem, którzy są w stanie z dnia na dzień o 180 stopni zmienić poglądy i dalej uzasadniać je z tym samym rewolucyjnym zapalem, bo tak bardzo chcą nadążać za przekazem dnia partii rządzącej.

Doceniając osiągnięcia Kaczyńskiego, pisze Marek Jurek, że „najbardziej jednak szkodzi mu zapaleniu zwolennicy, owi polityczni i medialni »żołnierze«, powtarzający lub milcząco zakładający, że »Prezes ma zawsze rację«. To oczywista oczywistość, której jednak nie rozumieją nie autorzy „Do Rzeczy”, lecz rozmaici czynownicy, których miejsca działalności Jurkowi podpowiadał nie będę, bo sam wie, gdzie ich znaleźć. „Racja stanu jest bowiem niezależna od opinii każdego z nas, nawet od prezesów. Definiować ją codziennie musimy wszyscy. I wszyscy musimy walczyć o to, by była polityką państwa” – argumentuje dalej. Znow – zgoda. Jednak by państwo prowadziło jakąkolwiek politykę, to ci, którzy kierunek tej polityki wyznaczają, muszą dysponować sprawnym instrumentem. Sprawnym – nie znaczy tępym. O taki instrument się upominam.

„Biada narodom, w których nawet dziennikarze rację stanu sprowadzają do gry partyjnej” – przetrzęga na koniec Marek Jurek. Odpowiem: biada narodom, których wybrańcy nie zauważają, że wieczna dekonstrukcja niekoniecznie musi oznaczać automatycznie budowę nowego.

Wysoka cena fanaberii ekologów



FOT. ŁUKASZ DEJANOWICZ/FOXPIC



Łukasz Warzecha

Czeka nas wysoka fala podwyżek opłat i podatków w imię ochrony środowiska naturalnego

Gdy działacze Greenpeace'u (znanego też jako Grinpic) próbowali w ubiegłym tygodniu zablokować statek, który miał przybić do gdańskiego nabrzeża, robili to pod hasłem „Polska bez węgla 2030”. Oczywiście grinpicy aktywiści, podobnie jak większość organizacji stawiających radykalne żądania w kwestiach ekologii, nie próbują nawet szacować kosztów swych postulatów. A szkoda, bo ekologiczne fanaberie to dzisiaj dla obywateli konkretne pieniądze.

Kilka dni temu brałem udział w konferencji zorganizowanej przez rzecznika praw obywatelskich, dotyczącej różnych aspektów ochrony środowiska. Poproszono mnie o wystąpienie w panelu, który miał się zająć pogodzeniem dbania o przyrodę z potrzebami biznesu. Prowadząca dyskusję zaczęła od pytania, czy rozwój gospodarczy i technologiczny

musi oznaczać szkody dla środowiska i czy da się go jakoś pogodzić z ekologicznym podejściem. W odpowiedzi stwierdziłem, że dzisiaj pytanie należałoby raczej odwrócić i zastanowić się, czy da się jeszcze prowadzić biznes i trwać na drodze rozwoju technologicznego wobec rosnącej histerii oraz ograniczeń wymuszanych przez lobby ekologiczne, kompletnie bez liczenia się z kosztami i dla biznesu, i dla obywateli.

W codziennym życiu jesteśmy zmuszani do płacenia coraz większych pieniędzy w związku z ochroną środowiska, przy czym znaczna część tych kosztów nie ma sensu albo jest wymuszana wzbudzaną sztucznie przez ekologiczne organizacje histerią. Można podejrzewać, że wzbudzaną nie za darmo. Na ekobzdurach ktoś zwykle zarabia. Charakterystyczne, że rzadko kiedy prezentowane są jakiejkolwiek wyliczenia, pokazujące, że dana danina albo uciążliwość mają ekonomiczny sens. Ekonomiczny – czyli że ponoszone koszty dają jakikolwiek wymierny zysk, uwzględniając korzyść dla środowiska. Oraz że pożądanego efektu nie dałoby się osiągnąć w inny sposób.

Jednym z większych rozczarowań, których dostarczyły rządy PiS, jest to, że zamiast ograniczyć wpływ takich organi-

zacji i skończyć z przerzucaniem na obywateli kolejnych danin, których sens jest nikły i którego nikt nie przekalkulował, podążają kursem początkowo wytyczonym przez poprzedników, ale czynią to nawet bardziej ochotczo i gorliwiej. Tak jakby miał to być sposób na pokazanie, że jest się władzą nowoczesną.

Bombą z nieco opóźnionym zapłonem jest koszt wywozu śmieci. Pierwsza przy wcześniejszym systemie majstrowała jeszcze PO, ale w ciągu ostatnich czterech lat ustawę śmieciową zaostrzała już obecna władza. Sprawa jest dla wielu o tyle niejednoznaczna, że przeprowadzenie przetargu na wywóz śmieci to sprawa poszczególnych gmin. Tyle że gminy działają w ramach wyznaczonych przez ustawę i rozporządzenia. Nie mogą więc na przykład do wywozu śmieci dopłacać (całość wartości kontraktu musi być rozłożona na mieszkańców) i nie od nich zależy wysokość tzw. opłaty środowiskowej. To decyzje władzy centralnej. Przede wszystkim zaś to rozporządzenie ministra środowiska z 2016 r. obarczyło nas – pod sankcją horrendalnego wzrostu ceny odbioru odpadów – obowiązkiem segregowania ich na absurdalnie pięć frakcji. Internet roi się od pytań zadawanych przez wściekłych ludzi, zastanawiających się, gdzie mają postawić

w mieszkaniu pięć pojemników. To non-sens tym większy, że istnieją sortownie, do których wystarczy przywieźć odpady w dwóch frakcjach, a one wykonają resztę roboty. Złość jest tym większa, że w niektórych miejscowościach koszt wywozu odpadów, i to po segregacji, wzrósł gigantycznie – nie dość więc, że obywatele obarczono nowym obowiązkiem, to jeszcze każe się im płacić o wiele więcej niż przedtem. W podwarszawskiej Lesznowoli nastąpiła podwyżka o 200 proc., w Józefowie, Markach i Otwocku opłata za śmieci segregowane to aż 32 zł miesięcznie. W Piasecznie cena za osobę w przypadku śmieci segregowanych wzrosła z 9 do 27 zł. To rocznie o 216 zł więcej niż dotąd na osobę!

Nie jest to bynajmniej bezpośredni skutek prawodawstwa unijnego. Ono bowiem wyznacza jedynie wymagany poziom odzysku odpadów, zaś sposób jego osiągnięcia jest sprawą poszczególnych państw członkowskich. Polski rząd wybrał sposób najgorszy dla obywateli, czyli całkowite przerzucenie na nich wszystkich kosztów i uciążliwości.

REGULACJE, OPŁATY I CENY

Prawdopodobnie w ciągu roku odczujemy potężne podwyżki cen energii elektrycznej. Jak stwierdził prezes Urzędu Regulacji Energetyki – jest to nieuniknione. Mowa tu oczywiście nie tylko o przedsiębiorcach, którzy będą musieli większe koszty działalności przerzucić na klientów, podnosząc ceny, a więc napędzając inflację, lecz także o klientach indywidualnych. Skala podwyżek jest na razie trudna do oszacowania, natomiast wynikają one wprost z unijnej polityki energetyczno-klimatycznej. Wraz z kosztem odbioru śmieci rocznie koszt życia przeciętnej polskiej rodziny może wzrosnąć o ponad tysiąc złotych. Nietrudno zauważyć, że podwyżki tej skali zjadają całkowicie obniżkę PIT w pierwszej stawce o 1 pkt, z 18 do 17 proc., z której zysk nie przekroczy 800 zł na rok.

O programie budowy polskiego samochodu elektrycznego nikt już nie mówi i rządzący chcieliby zapewne, aby o tym jak najprędzej zapomniano. To jednak nie przeszkadzało narzucić na obywateli od stycznia opłaty emisyjnej, wynoszącej ok. 10 gr od litra paliwa. Opłata w 85 proc. idzie na Fundusz Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej, a w 15 proc. – na Fundusz Niskoemisyjnego Transportu. Z tego ostatniego mają być finansowane

zakupy aut elektrycznych dla urzędów i dla obywateli (czyli rządowe dopłaty). Wszystkie te pieniądze trafiają oczywiście do zagranicznych koncernów motoryzacyjnych, bo przecież polskiego auta elektrycznego nie ma i nie będzie.

Wbrew początkowym zapowiedziom Orlenu i Lotosu opłata emisyjna została wliczona do ceny paliwa. Założmy ostrożnie, że przejeżdżamy tysiąc kilometrów miesięcznie samochodem, który pali przeciętnie 8 litrów benzyny na 100 km. Miesięcznie tankujemy więc 80 litrów, a to oznacza, że dodatkowo (nie licząc oczywiście innych podatków, które nawet bez opłaty emisyjnej stanowią około połowy ceny benzyny w Polsce) płacimy miesięcznie 8 zł, rocznie zaś – 96 zł. Dla jednych dużo, dla innych nie, ale rząd zgarnia do kieszeni ponad półtora miliarda złotych rocznie. Ulokowanie tych pieniędzy we wspomnianych funduszach to oczywiście fikcja – kreatywna księgowość zawsze pozwalała czerpać z tego typu pul w razie budżetowych potrzeb.

Kierowcy dostali zresztą w kość nie tylko w ten sposób. Pomijając możliwość tworzenia stref niskoemisyjnego transportu w centrach miast (czego szczególnie na razie żadne duże miasto na większą skalę nie spróbowało), ustawą o partnerstwie publiczno-prywatnym stworzono samorządom możliwość drastycznego podnoszenia cen za parkowanie. Również tutaj uzasadnieniem była ekologia.

Dodatkowo, za sprawą śrubowanych do absurdu przez UE norm emisji, które muszą spełnić producenci aut, nowe samochody na naszym kontynencie mogą, według ekspertów, podrożeć w przyszłym roku nawet o 20 proc. Przecież za rozwiązania techniczne, pozwalające spełniać wymogi, zawsze płaci konsument. Tutaj dodatkowo mamy do czynienia ze skrajnym pogwałceniem praw rynku, bo skutkiem wymuszania norm, liczonych jako średnia gamy danego producenta, jest tworzenie kolejnych modeli na prąd, które w normalnych warunkach za sprawą swojej ceny i niepraktyczności byłyby absolutnym marginesem.

Rząd, idąc bezwzględnie za modnym ekotrendem, wprowadził też odpłatność za jednorazowe reklamówki, po czym ostatnio ją uszczelnił. Uszczelnienie było z punktu widzenia władzy konieczne, ponieważ poprzedni kształt przepisu sprawiał, że sprzedawcy mieli w ofercie reklamówki grubsze, niż określał przepis,

za które, owszem, pobierali opłatę, ale dla siebie, a nie dla budżetu. Nowe przepisy tę możliwość kasują, pozostawiając jedyny wyjątek w postaci najcieńszych bezpłatnych torebek. Za wszystkie pozostałe trzeba zapłacić 25 gr. Ministerstwo Środowiska liczy, że zgarnie rocznie z tego de facto podatku dobrze ponad miliard złotych. Nikt nie przedstawił oczywiście żadnych wyliczeń pokazujących, że podobna sankcja ma jakiegokolwiek sens i że efekt w postaci wymuszenia na ludziach stosowania toreb wielorazowych globalnie cokolwiek daje. Ale kasa leci.

Kolejne regulacje, które będą nas nieuchronnie kosztować, a także okazać się zwyczajnie uciążliwe, zostały uchwalone na poziomie UE. To zakaz używania jednorazowych plastikowych utensyliów (m.in. słomek do napojów czy sztućców), począwszy od 2021 r. Histeria wokół plastiku została nakręcona w podobny sposób jak ta wokół klimatycznego armagedonu. Chociaż udział Europy w ilości plastikowych odpadków, które mają zaśmiecać oceany, jest minimalny, to Europa z powodów ideologicznych uznała, że musi być w awangardzie ekologicznego postępu. Konkretnych wyliczeń zabrakło, było za to mnóstwo chwytających za serce zdjęć żółwików z wbitymi w nos plastikowymi słomkami.

Co jest nie tak ze słomkami czy sztućcami na przykład z drewna lub metalu zamiast z plastiku? Plastik jest smakowo znacznie bardziej neutralny. Kartonowa słomka, gdy rozmięknie w płynie, sprawia, że napój staje się wprost obrzydliwy. A jeśli ktoś miał okazję jeść „ekologicznymi” sztućcami jednorazowymi, ten wie, że łamią się przy byle nacisku. Metal jest z kolei oczywiście droższy i mniej higieniczny.

To tylko pobieżny przegląd ekologicznych udręceń, za które już musimy lub zaraz będziemy musieli płacić i które sprawią nam problem. W kolejce czekają kolejne, w tym obowiązkowy skup plastikowych butelek, którego skutkiem będzie oczywiście podniesienie ceny napojów (czyli znów – wzrost inflacji) czy podatek od mięsa, wspomniany przez Sylwię Spurek, godną następczynię Ryszarda Petru w dziedzinie kabaretu politycznego. To może się dzisiaj wydawać absurdem, ale Francja już całkiem serio rozważa antymięsny podatek. Ciekawe, czy obłoży nim również baraninę, jedzoną przez muzułmanów.

Będzie ekshumacja ciała milionera?



Piotra Woźniaka-Staraka nie pochowano na cmentarzu, ale na terenie prywatnej posiadłości na Mazurach

FOT. PAWEŁ SKRABA/AGENCJA SE/EAST NEWS

wać na cmentarzu. W sprawie lokalizacji katakumb ustawa milczy i – jak słyszymy od kilku osób – właśnie to może być prawną furtką do tworzenia katakumb na prywatnych terenach – jak ma to miejsce w przypadku pochówku w Fuledzie.

Państwowy Inspektorat Sanitarny w Giżycku odmówił nam udzielenia jakichkolwiek informacji w sprawie czynności, które prowadzi odnośnie do grobowca w posiadłości Staraków w Fuledzie.

Janusz Dzisko, dyrektor wojewódzkiej stacji sanitarno-epidemiologicznej w Olsztynie, powiedział portalowi wp.pl, że urzędnicy stacji będą sprawdzać, czy nadzór budowlany wydał zgodę na wybudowanie katakumb w posiadłości Staraków. – Zapoznajemy się ze złożonymi dokumentami. Weryfikujemy, czy przeprowadzono badania geologiczne w tej sprawie. Ponadto katakumby muszą spełniać określone normy. To nie może być zwykły rów wykopany łopatą w ziemi. Muszą być murowane co najmniej z trzech stron, mieć specjalną niszę – powiedział Dzisko.

Dopiero jeśli okazałoby się, że rodzina nie dopełniła formalności, a katakumby nie spełniają norm, wówczas mogłaby zostać podjęta decyzja o ekshumacji i przeniesieniu zwłok na cmentarz.

KAMIEŃ Z WŁOSÓW VIOLETY VILLAS

Krzysztof Wolicki, prezes Polskiego Stowarzyszenia Pogrzebowego, zwraca uwagę, że w Polsce rodziny zmarłego nieczęsto mają jakieś nadzwyczajne życzenia, jeśli chodzi o pochówek.

– Jeśli już, to najczęściej pytań dotyczy możliwości rozsypania prochów osoby zmarłej, ale od 2007 r. jest to zabronione. Chociaż kremacji przybywa, to nie we wszystkich częściach Polski. Mieszkańcy ściany wschodniej niechętnie się na nią decydują. Polacy wybierają raczej tradycyjne, chrześcijańskie pogrzeby – mówi prezes Polskiego Stowarzyszenia Pogrzebowego.

Dodaje, że za granicą pojawiają się różne nowe sposoby chowania zmarłych. – W Anglii ostatnio przybywa pochówków, w których zmarły grzebany jest w pozycji embrionalnej, a nad nim sadzone jest drzewo. Między innymi w Austrii czy krajach Beneluksu wytwarza się syntetyczne kamienie z prochów zmarłych, ale w tej chwili nieliczni się na to decydują – takie upamiętnienie dotyczy ok. 1 proc. zmarłych. W Polsce wiem o dwóch przypadkach wytworzenia takiego rodzaju kamienia – jeden powstał z prochów zmarłego, inny



Agnieszka Niewińska

Zmarły producent filmowy Piotr Woźniak-Starak zaledwie pod koniec sierpnia spoczął na terenie rodzinnej posiadłości na Mazurach, a tabloidy już donoszą o możliwej ekshumacji

Piotr Woźniak-Starak pochowany nielegalnie?, „Będzie ekshumacja?” – krzyczą nagłówki plotkarskich portali. Chociaż zmarły tragicznie producent filmowy Piotr Woźniak-Starak na terenie rodzinnej posiadłości spoczął 30 sierpnia, to o jego pogrzebie wciąż jest głośno. Tabloidy już po tym, jak ujawniono, że zostanie pochowany w mazurskiej Fuledzie na terenie należącym do rodziny Staraków, roztrząsały, czy taki pochówek jest legalny. Teraz spekulują na temat tego, że może nawet dojść do przeniesienia zmarłego na cmentarz.

GDZIE GRÓB, GDZIE KATAKUMBA?

Polskie uregulowania dotyczące grzebania zmarłych są restrykcyjne. – W świetle obecnych przepisów nie ma możliwości, by bliską osobę pochować we własnym ogro-

dzie czy innym miejscu, które lubił zmarły. Nie można też prochów zmarłego rozsypać w dowolnym miejscu ani przechowywać w mieszkaniu na kominku czy telewizorze – wyjaśnia Jan Bondar, rzecznik Głównego Inspektoratu Sanitarnego. – Obowiązująca obecnie ustawa o chowaniu zmarłych jest archaiczna i nie przystaje do współczesnych oczekiwań społecznych. Uchwalono ją w latach 50., ale w zasadzie przepisano przedwojenne przepisy. Nie jest jednak rolą GIS, by decydować o kształcie przepisów. My tylko je egzekwujemy. Zmiany w prawie to zadanie polityków – wyjaśnia Bondar.

Ustawa z 1959 r. precyzuje, że zmarłych można grzebać w grobach ziemnych lub murowanych albo w katakumbach. Zwłoki można też zatopić w morzu, a prochy przechowywać w kolumbariach. Kolumbaria i groby zgodnie z ustawą mają się znajdo-

z włosów Violetty Villas – mówi Krzysztof Wolicki. Zwraca jednak uwagę, że nie jest to zgodne z polskimi przepisami, ale w tych jest wiele dziur. – To rodzina zmarłego odbiera prochy z krematorium i jeszcze przed pogrzebem może je rozdzielić, odsypać 100 g na sporządzenie takiego kamienia. Niektórzy przed pochowaniem prochów decydują się na zatrzymanie niewielkiej ich ilości w relikwiarzu przechowywanym w domu. W praktyce nikt nie kontroluje tego, co dzieje się z prochami, które rodzina odbiera z krematorium.

O tym, że powstanie nowa ustawa o cmentarzach i chowaniu zmarłych, głośno było przed przeszło dwoma laty. Powstał nawet międzyresortowy zespół, który miał ją opracować. Ministerstwo Zdrowia informowało opinię publiczną, że nowe przepisy będą odpowiedzią na intensywne zmiany społeczne, obyczajowe i techniczne. Miały zarówno regulować wiele kwestii związanych z pochówkiem, jak i zostać dostosowane do zmieniających się przepisów dotyczących międzynarodowego transportu zwłok. Ustawa miałaby ułatwić sprowadzanie ich do kraju.

Głośno było też o tym, że dopuszczone zostanie także rozsypywanie prochów

zmarłych na specjalnie wyznaczonych miejscach na cmentarzach. Od tej propozycji zdystansowało się jednak Ministerstwo Zdrowia. Biuro prasowe poinformowało, że resort „nie popiera zmian, które mogłyby dopuszczać funkcjonowanie tzw. ogrodów pamięci czy rozsypywanie prochów nad morzem”. Prace nad ustawą ostatecznie zarzucono.

WYJĄTKI OD PRZEPISÓW

Krzysztof Wolicki podkreśla, że Polskie Stowarzyszenie Pogrzebowe jeszcze przed jego formalnym powołaniem w 1998 r. zabiegało o przygotowanie nowych przepisów. – Ciągłe nie ma jednak woli politycznej, by zmian dokonać. Obowiązujące obecnie przepisy były tylko okazjonalnie nowelizowane. Brakuje w nich szczegółowych uregulowań dotyczących kremacji ani nawet tego, kto może być przedsiębiorcą pogrzebowym. Dzisiaj żeby prowadzić budkę z hot dogami, potrzeba wielu pozwoleń, spełnienia przepisów sanitarnych. Do otwarcia zakładu pogrzebowego wystarczy dowód osobisty. Powinniśmy też znieść ograniczenia dotyczące sposobów pochówku. Nasze życie jest obwarowane wieloma zakazami i nakazami. Jeśli zmarły

jeszcze za życia wyraził wolę, by być pochowanym w konkretnym miejscu albo by jego prochy zostały gdzieś rozsypane, to dlaczego nie uczynić zadość jego życzeniom? Zwłaszcza że i tak w stosunku do znaczących postaci robimy wyjątki, chowając je poza cmentarzami – mówi Wolicki.

Wskazuje także, że jednym z najbardziej liberalnych krajów, jeśli chodzi o pochówek, jest Wielka Brytania. Tam kwestii tej nie regulują żadne przepisy, a o tym, czy można kogoś pochować w jakimś miejscu – np. parku narodowym czy ogrodzie – decyduje administrator terenu.

Czy następny Sejm podejmie prace nad zmianami w ustawie o cmentarzach i chowaniu zmarłych? Branża pogrzebowa wciąż śle listy w tej sprawie do ministra zdrowia i kolejny szef tego resortu też zapewne będzie ich adresatem.

Nawet jeśli pomyślnie dla rodziny Staraków zakończy się procedura sprawdzania katakumby w Fuledzie, to temat przepisów dotyczących chowania zmarłych powróci w debacie publicznej. Wystarczy, że rodzina innego znanego czy zasłużonego zmarłego zdecyduje się na niecodzienne upamiętnienie.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

JEZIORO ŁABĘDZIE

THE ROYAL MOSCOW BALLET

JEDEN Z NAJLEPSZYCH ZESPOŁÓW BALETOWYCH NA ŚWIECIE

4 listopada - ICE Kraków
5 listopada - DMiT Zabrze
6 listopada - Hala Stulecia Wrocław
7 listopada - COS Torwar Warszawa

8 listopada - EXPO Mazury Ostróda
9 listopada - Gdynia Arena
10 listopada - Klub Wytwórnia Łódź
11 listopada - Sala Ziemi Poznań

BILETY: PRESTIGEMJM.COM

Prestige
MIM

wprost

Ruscy

GAZETA BANKOWA

WP

trojmiasto.pl

Multikino

STRÖER

VIDEON

PRESS SERVICE

pap



Andrzej Żuławski (1940–2016)
na fotografii z 2011 r. FOT. RAFAŁ GUZ/FORUM



**Z Aleksandrą Szarłat, dziennikarką i pisarką,
autorką biografii Andrzeja Żuławskiego**
rozmawiają Krzysztof Masłoń i Tomasz Zbigniew Zapert

Jak żyli nieśmiertelni

„DO RZECZY”: Biografią „Żuławski. Szaman” finalizuje pani swoją długą znajomość z jej bohaterem.

ALEKSANDRA SZARŁAT: Zaczęła się ona u progu III RP. Michał Komar, ówczesny redaktor naczelny „Sztandaru Młodych”, gdzie wtedy pracowałam, zlecił mi zrobienie wywiadu z Andrzejem Żuławskim na temat jego rodu, znaczącego dla polskiej kultury. Spotkał się w istniejącej do dziś kawiarni Mozaika. Reżyser był elegancki i czarujący. Barwnie i ciekawie opowiadał mi o swoim ojcu Mirosławie i artystycznych krewnych: pisarzu

Juliuszu, muzyku Wawrzyńcu oraz malarzu Marku. Na przestrzeni lat jeszcze czterokrotnie przeprowadzałam z nim wywiady i wszystkie ciepło wspominam. Myślałam, że czas na kolejną rozmowę, kiedy przeczytałam na Facebooku wpis Xawerego Żuławskiego, najstarszego syna Andrzeja, iż ojciec ciężko choruje. To właściwie były jego ostatnie dni. Po śmierci w mediach nastąpił okres milczenia. Nikt o nim nie pisał, nikt nie mówił. Pomyślałam, że szkoda, by tak oryginalny artysta odszedł w zapomnienie. Z propozycją napisania biografii

zgłosiłam się do Xawerego. Nie zdawałam sobie wówczas sprawy z tego, jak żmudnego i skomplikowanego zadania się podejmuję. Kosztowało mnie ono dwa i pół roku wytężonej pracy: przewertowania licznych dokumentów i archiwów, przeprowadzenia ponad 40 wywiadów – oczywiście autoryzowanych – z rodziną, przyjaciółmi i kobietami Żuławskiego.

Rezultat jest znakomity, ponad 600 stron, które czyta się jednym tchem, chociaż opisywany jawi się jako: mitoman, kabotyn, pyszałek, skandalista, erotoman...

No, ale chyba nie tylko. Miał wiele twarzy. Przede wszystkim był artystą kina, obdarzonym wielkim talentem. Prywatnie potrafił być cudownym kompanem. Uważam, że biograf powinien bronić swego bohatera, co nie oznacza, iż ma przemilczać jego słabości i wady. Był postacią niejednoznaczną, twórcą i niszczycielem zarazem, człowiekiem wielkiej wrażliwości, który potrafił celnie godzić w cudzą wrażliwość, a przy tym erudyta o niesłychanej wyobraźni, która nierzadko przerastała epokę.

Zależy, o której epoce mówimy, bo jeśli chodzi o czasy Bierutowskiego zamordyzmu oraz prząsnej gomułkowszczyzny, w których dorastał, to na pewno. Czy Andrzej Żuławski zdawał sobie sprawę ze swego uprzywilejowania? Bo – przypomnijmy – był synem Mirosława, wieloletniego dyplomaty w służbie Peerelu i prozaika hołdującego socrealizmowi.

Wadził się ze sobą w sprawie ojca. Kochał go, chciał w nim widzieć bohatera, a jednocześnie miał mu wiele do zarzucenia. W książce „Zaułek pokory” pisze o jego komunizowaniu i konformizmie. Z czasem coraz więcej mu wybaczają, a nawet buduje na jego temat bohater-skie mity. Powtarzane wielokrotnie zyskują wymiar prawdy. Jednak ból z powodu tak jawnego po wojnie przystania ojca do komunistów pozostał. W „Nocniku” pisze, że gdyby zapytano go o to, co by zmienił, gdyby miał żyć jeszcze raz, odpowiada: „Chciałbym mieć innych rodziców i żyć w innych czasach”. To wstrząsające.

W swoich książkach i wywiadach, mówiąc o rodzicach, często mijał się z prawdą. Tak było m.in. z okolicznościami poznania się jego rodziców na AK-owskim zebraniu czy z przechowywaniem Żydów w ich lwowskim domu podczas okupacji niemieckiej. Miało być ich troje.

Wilhelmina Skulska-Kruczkowska, owszem, znała Żuławskich i przyjaźniła

się z nimi, ale nie potrzebowała od nich schronienia, mając bardzo dobre papie-ry po zmarłej Polce, o czym mówiła mi jej córka Anna Bikont. Ojciec znanego dziennikarza Andrzeja Gelberga też nie mógł być ukrywany we Lwowie, gdyż w tym czasie był daleko, w Kazach- stanie. Poetka Ewa Fiszer, ta trzecia rzekomo ukrywana, w ogóle nie była Żydówką. A Żuławszy nie mieli domu w Lwowie.

Podobne przypadki konfabulacji czy – powiedzmy wprost – kłamstw Andrzeja Żuławskiego prostuje pani w swej książce. Jak tę nieprawdę, że to za jego filmy podał się do dymisji minister kultury Józef Teichma, podczas gdy powszechnie wiadomo, że powodem tego był „Człowiek z marmuru” Andrzeja Wajdy. Swoją drogą, z czego wynikały kłopoty Żuławskiego z peerelowską cenzurą?

W przypadku „Diabła”, zatrzymanego przez cenzurę w 1972 r., zadecydowały o tym polityczne aluzje do Marca '68 i komunistycznych służb. I nie pomógł historyczny kostium, że niby to film grozy, którego akcja toczy się w XVIII stuleciu, w przededniu rozbiorów Rzeczypospolitej, a bohaterami są Prusacy. Według oficjalnej wersji film skierowano na półkę, gdyż emanował wyuzdaną erotyką i okrucieństwem. Widzowie mogli go zobaczyć dopiero 16 lat później. Niektórzy do dziś pamiętają drastyczną scenę, w której Leszek Teleszyński cwałuje na zakrwawionym wierzchowcu. Zapytany przeze mnie aktor zaprzeczył, jakoby rumak ucierpiał podczas realizacji tej sekwencji. Nie jest to jednak takie pewne, w owych czasach nie dbano o zwierzęta na planie.

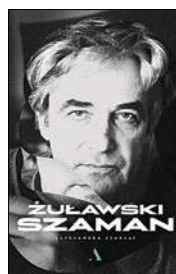
Podczas ekranizacji „Popiołów” Stefana Żeromskiego uśpionego konia przeznaczono

na rzeź zrzuciono – dla filmowego efektu – w przepaść właśnie na życzenie drugiego reżysera obrazu, czyli Andrzeja Żuławskiego. A czy o prze-rwaniu produkcji „Na srebrnym globie” zadecydowały wyłącznie względy ekonomiczne?

Andrzej Wajda, reżyser „Po- piołów”, mógł się przecież na tę scenę nie zgodzić. Co do budżetu „Na srebrnym globie”: rzeczy- wiście został przekroczony, ale z kolei przerwanie tej produkcji NIK uznała za marnotrawstwo – film był na ukończeniu. Decyzję o zamknięciu produkcji podjął świeżo mianowany szef kinematogra- fii Janusz Wilhelmi, który – jak sądzi Krzysztof Zanussi – chciał zainauguro- wać urzędowanie od jasnego pokazania środowisku filmowemu, kto tu jest naj- ważniejszy. Zatrzymanie superprodukcji fantastycznonaukowej, gatunku wtedy raczkującego w światowym kinie, było dla dygnitarza doskonałym pretekstem. Możemy tylko żałować, że film kręcony na podstawie pionierskiej w naszym piśmiennictwie powieści science fiction Jerzego Żuławskiego, stryjecznego dziadka Andrzeja, wtedy nie powstał. Kończony dekadę później stracił walor nowości.

I w ten sposób Żuławski zaczął pracować na planie filmowym we Francji. Jednak w USA nie poszło mu tak dobrze.

Świadomie odrzucał oferty ze Stanów, gdyż pieniądze nie były dlań tak istotne jak wolność wypowiedzi. Hollywood oferowało mu scenariusze, lecz odmawiał ich realizacji, ponieważ interesowało go kino artystyczne, a nie komercyjne. Chciał przenosić na ekran własne wizje – nie cudze. Był twórcą



ALEKSANDRA SZARŁAT „ŻUŁAWSKI. SZARŁAT” AGORA 2019

niepokornym. Niedawno – podczas festiwalu filmowego Era Nowe Horyzonty we Wrocławiu – miała miejsce niewielka retrospektywa twórczości Żuławskiego. Obejrzałam wtedy m.in. „Opę- tanie”, film, który na początku lat 80. uchodził za skanda- lizujący. Pokazany po latach nie oburza, lecz zachwyca emocjonalnością, obrazem, a Isabelle Adjani jest w nim po prostu genialna.

Za tę rolę uhonorowano ją w Cannes, pomijając reżysera, czego Żuławski nie mógł przeboleć. Skądinąd z aktorkami miewał niełatwe relacje.

Rozmawiałam z Valérie Kaprisky, Iwo- ną Petry i Joanną Kasperską. Twierdzą, że znakomicie je prowadził na planie, umie- jętnie nakierowując na to, czego oczekuje i co mają przekazać widzowi. W podob- nym tonie wypowiadała się Sophie Mar- ceau. Rola, którą zagrała u Żuławskiego Romy Schneider w „Najważniejsze to kochać”, uchodzi za najlepszą w jej przed- wześnie przerwanej karierze. Sophie Marceau w „Narwanej miłości” i „Wierno- ści” także stworzyła kreacje.

Podczas pracy Żuławski mocno wiązał się ze swymi aktorkami, czasem z nimi flirtował, a potem porzucał. Może stąd biorą się niemiłe wspomnienia niektórych?

Wiązał się z kobietami twórczymi. Długotrwałych związków – i małżeńskich, i partnerskich – nie miał wielu. Jego trzech synów, bo podobnie jak jego ojciec miał ich trzech, urodziły trzy matki: Xawerego – aktorka Małgorzata Braunek, Ignacego – malarka Hanna Wolska – i Vincenta – aktorka Sophie Marceau. Z każdą z nich

REKLAMA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

Największe kompendium wiedzy na temat ludzi i wydarzeń z lat 1976–1989

3 TOM JUŻ W SPRZEDAŻY!

- 1521 tekstów
- 1115 biogramów
- 406 haseł rzeczowych

Zapraszamy do księgarni IPN i punktów sprzedaży w całej Polsce!



ipn.poczytaj.pl

Łączyło go uczucie, a związek z Sophie przetrwał 17 lat.

Pani książka to nie tylko biografia znanego reżysera, lecz także – dużymi fragmentami – fascynująca opowieść o wielkim księstwie warszawskim, jak je nazywał Zbigniew Cybulski. Ten świat kolaborujących z komunistyczną władzą artystów, pisarzy, filmowców opisał Żuławski w książce „Lity bór”, na którą powszechnie się oburzano, głównie za bezceremonialne potraktowanie Andrzeja Wajdy, pod którego boki praktykował przecież w filmie, nim samodzielnie wystartował do wielkiej kariery „Trzecią częścią nocy”.

Beata Tyszkiewicz, którą prosiłam o chwilę wspomnień na temat Żuławskiego, nie dała się na to namówić. O zmarłych nie powinno się mówić źle, a dobrze nie potrafi, wyjaśniła. Dodała tylko, że najbardziej okrutny okazał się wobec tych, którzy zrobili dla niego coś dobrego.

Gwoli sprawiedliwości powiedzieć jednak trzeba, że i Wajda co nieco zawdzięczał Żuławskiemu: jego nowoczesnemu postrzeganiu sztuki filmowej, wizjonerstwu artystycznemu, obyciu z kulturą zachodnią, znakomitej znajomości epoki napoleońskiej. Wreszcie to ponoć on zwrócił uwagę Wajdy na młodziutkiego Daniela Olbrychskiego, późniejszego wieloletniego przyjaciela Żuławskiego. A wracając do wielkiego księstwa warszawskiego, innymi słowy – salonu warszawskiego, to dziwiło mnie zawsze, dlaczego autor „Litego boru” chciał się rozprawić z czymś, czego sam był klinicznym wręcz okazem.

Emilia Krakowska opowiadała mi, jak w sierpniowych latach socjalizmu Andrzej Żuławski z ojcem przyjechali do Domu Pracy Twórczej w Oborach. I tam Andrzej opowiadał zapatrzonym w niego słuchaczom o tym, które lokale w Paryżu są w tym sezonie najmodniejsze i które sosy dominują w restauracjach nad Sekwaną, a które nad Loarą. Aż w końcu Iredyński, klnąc, trzasnął drzwiami i wyszedł. W mojej książce tłumaczy Żuławskiego Andrzej Krakowski, mieszkający w Stanach producent filmowy, filmoznawca i autor książek: jego zdaniem młody Żuławski nie zdawał sobie sprawy z nietaktu – po prostu opowiadał, jak żyje, dla niego to była codzienność. A że słuchali go ludzie, którzy nie dojadali od trzech dni...

Bo, niestety, przepili, co mieli. Cytuje pani tę samą Emilię Krakowską, która o Andrzeju Żuławskim powiedziała: „To postać tragiczna. Urodził się jak książę, miał wszystko, o czym

można zamarzyć, talent, urodę, inteligencję, zagraniczne szkoły, znakomitych przodków. A czego dokonał?”.

O tym, czego dokonał, jest ta książka. Ilu polskich reżyserów miało szansę pracować z Romy Schneider, Isabelle Adjani, Klaussem Kinskim czy Sophie Marceau? Prócz reżyserowania filmów Żuławski napisał, o czym nie wszyscy wiedzą, 27 książek, w tym dwie po francusku. W Polsce ich nie recenzowano, w większości są niedostępne, nieznane...

Jego wydawczyni Katarzyna Merta robiła wszystko, by przekonać krytykę i czytelników do wielkości tego pisarstwa. To było jednak karkołomne zadanie.

Ta literatura ma też zwolenników. Jest np. grupa fanów – młodych ludzi – jego twórczości literackiej, którzy skrzyknęli się na jednym z portali społecznościowych. A czytaliście, panowie, „Moliwdę”? Rzecz na polskim rynku księgarskim wyjątkowa.

O bohaterze pani książki ktoś powiedział, że kłut się we własny ogon. A naturę miał, zgodnie z urodzeniem, skorpiona. Przywołuje pani na przykład kapitalną opowieść Zuzanny Łapickiej-Olbrychskiej o jej przyjeździe do Paryża z malutką córeczką.

Daniel Olbrychski akurat miał zdjęcia w Japonii, poprosił więc Andrzeja, by odebrał z lotniska jego rodzinę. Żuławski czekał na nich, stwierdził, że w Paryżu jest zimno i trzeba koniecznie kupić dziecku ciepłe buciki. Następnie uznał wynajęte przez Olbrychskiego mieszkanie za nieodpowiednie i zaproponował Zuzannie gościć u siebie. Pojechali do Andrzeja, przez cały czas był ujmujący, troskliwy, by przy kolacji nagle ją powiadomić, że Daniel ma romans z Anouk Aimée. Zuzanna się popłakała...

Trudno się dziwić, że przyjaciół nie miał zbyt wielu. Swoją drogą charakterystyczne, że z najstarszym swym druhem, szkolnym jeszcze kolegą, znanym kompozytorem Andrzejem Korzyńskim, pokłócili się jedyny raz, gdy tamten kupił sobie samochód, którego Żuławski wyraźnie mu zazdrościł. Z Olbrychskim też długo nie rozmawiał, gdy ten kupił dom w Kazimierzu.

No nie, samochód był powodem nie tyle kłótni, co raczej obrażenia się Żuławskiego. Dobre stosunki wróciły, gdy on także kupił auto. Prawdziwie pokłócili się, gdy pewna reżyserka dokumentu podłożyła muzykę Korzyńskiego z filmu Żuławskiego pod fragment opowiadający o Kieślowskim. Przy czym prawami do

muzyki dysponował kompozytor. Przyjaciele pogodzili się dopiero po kilku latach.

Z Danielem Olbrychskim zaś wymyślili sobie przed laty, że kupią ziemię w okolicach Drohiczyzna, pobudują domy i wraz z rodzinami będą tam spędzać wolny czas. Zapłacili miejscowym i Żuławski sprawą przestał się interesować dopóki, dopóty nie dowiedział się o domu Daniela w Kazimierzu. Poczuli się zdradzeni, a do tego zapomniał o tym, by swój akt kupna poświadczyć notarialnie. Ziemię kupił od dwóch sióstr, a kiedy tam pojechał, okazało się, że o transakcji nikt nic nie wie... To też pokazuje, jak żył. W przestrzeni sztuki poruszał się swobodnie, z realiami nie zawsze dawał sobie radę.

Zadziwiające, ale jak na twórcę tej rangi bardzo rzadko był Żuławski wyróżniany. Właściwie najważniejszą nagrodę otrzymał w Locarno, gdzie dostrzeżono ostatni jego film, „Kosmos” według Gombrowicza.

Są reżyserzy nagradzani za wszystko, czego się dotkną, i są tacy, którzy docenieni zostają po śmierci albo i nigdy. Za to nagrody dostawały jego aktorki. Żałuję bardzo, że nie doczekał realizacji swojego świetnego scenariusza według „Pracowników morza” Victora Hugo.

A dlaczego Żuławski tak rzadko pracował dla teatru? Jego doświadczenia z operą też nie były zachęcające, pamiętamy bowiem „Straszny dwór” Moniuszki, który w jego inscenizacji raczej bez powodzenia wystawił w 1998 r. Teatr Wielki w Warszawie.

Mam akurat inne zdanie. Andrzej Seweryn uważa, że Żuławskiego teatr nie interesował, chociaż kiedyś chciał wystawić sztukę złożoną z dramatów Szekspira „Ham-Rysz-Mak”, czyli „Hamlet”, Ryszard III” i „Makbet”, a potem samego „Makbeta”. Do żadnej realizacji nie doszło. Fascynował go za to Teatr Laboratorium, ale wyłącznie pod kątem technik, które stosował Grotowski w pracy z aktorami. To film był dla niego najważniejszy. Jako dziecko zapowiedział swojej babci, że zostanie reżyserem filmowym, będzie kręcił dla niej filmy i zbuduje kino, żeby miała gdzie je oglądać!

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Aleksandra Szarłat

– dziennikarka i pisarka, autorka książek: „Prezenterki. Tele PRL”, „Celebryci z tamtych lat”, „Pierwsze damy III RP”, „Świat według Fidyka”.

SEBASTIAN
FABIJAŃSKI

BARTOSZ
GELNER

WIKTORIA
WOLAŃSKA

MIROSLAW
BAKA

JAN
FRYCZ

ANTONI
PAWLICKI

44. FESTIWAL FILMOWY
GDAŃSK 2019
KONKURS
GŁÓWNY

LEGIONY

WARTO KOCHAĆ. WARTO MARZYĆ. WARTO WALCZYĆ.



PICARESQUE MACIEJ PAWLICKI POLCAR FUNDACJA OBCHODÓW 100. ROCZNICY OZDROKNIENIA PRZEZ POLSKĄ NIEPODLEGŁOŚĆ FILMOTEKA NARODOWA - INSTYTUT AUDIOWIZUALNY WYTWÓRNI FILMÓW DOKUMENTALNYCH I FABLARYNYCH TELEWIZJA POLSKA S.A. KINO ŚWIAT WYSTĘPIŁA SEBASTIAN FABIJAŃSKI BARTOSZ GELNER WIKTORIA WOLAŃSKA MIROSLAW BAKA JAN FRYCZ ANTONI PAWLICKI GRZEGORZ MAŁEJKI BERTYS SZCZĘ PIOTR CYRWIUS KAROL CZAJKOWSKI
REŻYSER JAROSŁAW SZODA SCENARIUSZ TOMASZ ŁYSIAK DARIUSZ GAJEWSKI MICHAŁ GUDZIŃ MACIEJ PAWLICKI WYTWÓRNI FILMÓW DOKUMENTALNYCH I FABLARYNYCH TELEWIZJA POLSKA S.A. KINO ŚWIAT
MONTAŻ JAROSŁAW SZODA SCENARIUSZ TOMASZ ŁYSIAK DARIUSZ GAJEWSKI MICHAŁ GUDZIŃ MACIEJ PAWLICKI WYTWÓRNI FILMÓW DOKUMENTALNYCH I FABLARYNYCH TELEWIZJA POLSKA S.A. KINO ŚWIAT
REDAKTOR MAREK KOT BASTKOWSKI PPM REŻYSER DARIUSZ GAJEWSKI

MECENAS GŁÓWNY

Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego

POLCAR

Polcar

WYTWÓRNI
FILMÓW
DOKUMENTALNYCH
I FABLARYNYCH

TELEWIZJA
POLSKA
S.A.

KINO ŚWIAT

LOTOS

FINA TWP

KINO ŚWIAT

TELEWIZJA
POLSKA
S.A.

POLCAR

WYTWÓRNI
FILMÓW
DOKUMENTALNYCH
I FABLARYNYCH

TELEWIZJA
POLSKA
S.A.

W KINACH OD 20 WRZEŚNIA

LOTOS

TOTALIZATOR

KINO ŚWIAT

POLCAR

PANI

telewizja

WP

LOGO

naszemlastr.

FREENOW

VIVA!pl

BIERNALLE

McFIT

RMF

TVP

SIECI

HISTORIA

wPolityce.pl

WYBORY

POLSKA
TĘCZA

GAZETA POLSKA

niezależna

PAŃSTWO

Kultura
Krytyka

WYBORY

EdukacjaFilmowa.pl

DEMOTWORY.PL

FILMWEB

PPF

eprasa.pl 16e1657e1e



FOT. MATERIAL PRASOWE

WIESŁAW
CZEŁMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Boże, chroń lorda Granthama!



★★★★★

**REŻ. MICHAEL
ENGLER**
„DOWNTON
ABBEY”
WIELKA
BRYTANIA 2019

wyst. Michelle
Dockery, Maggie
Smith, Hugh
Bonneville

Do Gwiazdki zostało jeszcze trochę czasu, lecz fani „Downton Abbey” mogą się już pofatygować do kin, by odebrać prezent: pełnometrażowe postscriptum do serialu, dzięki któremu cały świat pojął, czym się kamerdyner różni od lokaja.

Na początku było słowo, czyli depesza informująca, że w katastrofie „Titanica” zginął niedoszły spadkobierca lorda Granthama. Tym razem wiadomość jest znacznie bardziej wstrząsająca: do hrabstwa Yorkshire przybędzie z gospodarską wizytą sam król Jerzy V z małżonką. W Downton zamierza zjeść obiad, przenocować i przyjąć paradę huzarów.

Takiego trzęsienia ziemi wiktorianańska rezydencja nie przeżyła od czasu, gdy służyła jako wojskowy lazaret podczas I wojny światowej.

Z emerytury powraca pan Carson, jedyny człowiek zdolny sprostać wyzwaniu. Barrow dostaje urlop, który wykorzysta we właściwy sobie, bezpieczny sposób. Sympatyczni monarchowie mają własną służbę, która wcale sympatyczna nie jest. Konflikt wisi w powietrzu.

Sir Julian Fellowes popełnił niegdyś oscarowy scenariusz „Gosford Park”, w którym sportretował dwa światy: jaśniepanów i sług, skazane na wieczny konflikt, lecz nie mogące bez siebie istnieć. Wiwerek bywają pouczające, lecz publiczność woli bajki. Tworząc serial, Fellowes dokonał więc znaczącej korekty. Siedziba Crawleyów jest ostoją tradycji, esencją brytyjskości. Jego lokatorzy, niezależnie od pochodzenia i zamożności, są wielką rodziną, w której zdarzają się drobne nieporozumienia, lecz

wszystkim przyświeca jeden cel: zachować świetność Downton Abbey po wsze czasy.

Serial od początku płynął na fali odrodzonej popularności „royalsów” i razem z nią dryfował w stronę opery mydlanej. Film jest jego nieodrodnym dzieckiem. Czasem pobrzmiwają tu brexitowe nuty („będziemy nikim we własnym domu!”), częściej jednak scenarzysta daje upust osobliwie rozumianemu konserwyzmowi. Jest on niezniszczalny, gdyż absorbuje wszystkie nowinki. Przetrzyma bunt kobiet, marksistów, separatystów, homoseksualistów, rockmanów i kogo tylko ekscentryczny Bóg (ma się rozumieć Anglik z pochodzenia) raczy jeszcze stworzyć. Ladies and Gentlemen: przed wami Julian Fellowes – odkrywca politycznego perpetuum mobile. Oklaski!

Akcja rozgrywa się w roku 1927, a więc 15 lat po wydarzeniach pokazanych w premierowym odcinku. Po większości bohaterów nie widać jednak upływu czasu. Do wyjątków należy lady Violet – seniorka rodu, która w trosce o przyszłość dziedzictwa Granthamów knuje intrygę za intrygą. Ta rola sprawia wrażenie ostatniej w karierze Maggie Smith. Obym się mylił. ©©



KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „LEGIONY”

Jan Frycz jako Józef Piłsudski, a na pierwszym planie gromada młodych Polaków, którzy na dane przez niego hasło rzucili wyzwanie trzem cesarzom, trzem imperiom, trzem zaborcom. Pierwsze lata wojny światowej, czas od wymarszu z Oleandrów aż do bitwy pod Kostiułówną. Plus oczywiście epilog w roku 1918. Wśród

scenarzystów Tomasz Łysiak, za całość odpowiada Dariusz Gajewski, autor m.in. filmów „Warszawa”, „Lekcje pana Kuki” i „Obce niebo”. ©©

Piotr Gociek

• „Legiony”, reż. Dariusz Gajewski, wyst. Sebastian Fabijański, Bartosz Gelner, Mirosław Baka, Jan Frycz, Polska 2019

DO KIN WCHODZĄ TAKŻE:

- „Parasite”, reż. Joon-ho Bong, Korea Południowa 2019
- „Ad Astra”, reż. James Gray, USA 2019
- „Rambo: Ostatnia krew”, reż. Adrian Grunberg, USA 2019
- „Dzięki Bogu”, reż. François Ozon, Francja/Belgia 2019

Żonkile dla zazdrośnicy

Osiem lat temu z każdego głośnika dochodziły dźwięki szlagieru „Somebody That I Used To Know”. Teraz Kimbra, piękniejsza połowa duetu z antypodów, zapragnęła poszerzyć pole walki, występując w półtoragodzinnym teledysku wystylizowanym na melodramat. Aktorsko się nie przemęcza, gdyż powierzono jej rolę wokalistki, która podczas występu opowiada (a raczej wyśpiewuje) historię związku swoich rodziców. Libretto, jak to w musicalu, jest rachityczne. Twórcy „Kwiatów miłości” jednym utworem potrafią odfajkować całą dekadę. Mniemam, że nowozelandzcy widzowie, wdzięczni za przypomnienie ukończonych piosenek z czasów młodości, przymknęli oczy na

fabularne nonsensy. W roku 1966 dobrze wychowane panienki raczej nie wsiadały do samochodów obcych facetów i nie wręczały swoich zdjęć w strojach kąpielowych już po drugiej randce. Tytułowa miłość jest ślepa, gdyż Eric i Rose to najmniej zgrana para od czasu Zbyszka i Danuśki z „Krzyżaków”. On



★★★★★
REŻ. DAVID STUBBS
„KWIATY MIŁOŚCI”
NOWA ZELANDIA
2019

wyst. Rose McIver,
George Mason,
Kimbra

lubi podróżować, bawić się i grać na gitarze, ona pożąda stabilizacji i jest chorobliwie zazdrośna. Biada temu, kto w oparach nostalgii zachowa trzeźwość umysłu. Ostatnia scena po prostu niszczy system. Na tym skończę, bo nieładnie znęcać się nad ludźmi torturowanymi przez matkę naturę. Przecież oni w tym Hamilton chodzą do góry nogami! ©©

Wiesław Chełmniał



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

DETEKTYW I NIMFA

Kosztowna i prestiżowa produkcja studia Amazon to dzieło wielce nierówne. W pamięć zapadają niesamowite fantastyczne kadry tego połączenia fantasy, steampunku i wiktoriańskiej literatury, irytuje za to okrutnie łopatologia scenariusza. Akcja rozgrywa się w świecie, gdzie o panowanie nad królestwem magicznych istot rywalizują dwa ludzkie imperia. Gdy jedno wygrywa i zaczyna okrutną okupację, drugie staje się schronieniem dla uciekinierów. Którzy oczywiście są obiektem agresji, rasizmu, pogardy i staczają się w występki, gdyż z jakiegoś powodu magiczny kapitalizm serialu „Carnival Row” działa inaczej od zwykłego, który dawał imigrantom pracę i ścieżkę awansu. Wyszło z tego skrzyżowanie „Ripper Street”, powieści o Harrym Potterze, z wielką dozą przemocy i seksu. Dobre pomysły nikną pod warstwą kiepskich dialogów, a całość ratować próbuje parada niezłych aktorów: Orlando Bloom, Clara Delevingne czy Jared Harris. Wszystkich przyćmiewa Tamzin Merchant jako arystokratka-rasistka. ©©



wyst. Orlando Bloom, Clara Delevingne

★★★★★
SEZON 1
„CARNIVAL ROW”
USA 2019,
DYSTR. AMAZON
PRIME

KU CHWALE WIEJSKIEGO METALU

Czwórka sympatycznych amatorów z maleńkiego fińskiego miasteczka na końcu świata po 12 latach prób wyrusza na podbój świata (a właściwie festiwalu muzycznego w Norwegii) z autorską ofertą death-postapo-renifero-fińskiego metalu. Jeden z najzabawniejszych filmów roku, wartko opowiedziany, pełen



wyst. Johannes Holopainen,
Minka Kuustonen

★★★★★
REŻ. JUUSO
LAATTO
„HEAVY TRIP”
(„HEVI REISSU”)
FINLANDIA 2018,
DYSTR. MAYFLY

świeżych gagów (najmniej oryginalny jest tu wątek miłosny – ale za to wzruszający). Są żarty niepoprawne politycznie, są dowcipy mocno absurdałne, a kiedy humor robi się czarny, to mam na myśli „naprawdę czarny!”. Nie zmienia to faktu, że „Heavy Trip” jest opowieścią niesłychanie ciepłą i odpowiednio inteligentną, z nutką zadumy nad naszymi marzeniami i fascynacjami. Fiński eksperyment udał się nadspodziewanie dobrze. Głównie dlatego, że uniknął pułapki śmieszenia i moralizowania na siłę, co osłabiło wymowę polskiego, nieco podobnego w koncepcji „Exterminatora”. ©© recenzuje Piotr Gociak

GRA TYGODNIA: „CHILDREN OF MORTA”

Rodzina Bergsonów, od pokoleń strzegąca góry Morta, staje przed historycznym wyzwaniem. Ktoś lub coś zatruwa „źródło życia” wypływające z jej podnóża, tym samym zamieniając w krwiożercze bestie wyjące wokół istoty. Przywrócenie równowagi to cel, który czeka nas w tym retro-RPG,

utrzymanym w znanej z „Diablo” stylistyce hack’n’slash. Mamy zatem mnogość bohaterów oraz stylów walki (magów, łuczników, rycerzy itd.), a także zbieranie i modyfikowanie przedmiotów oraz umiejętności. Tytuł stworzony przy wsparciu graczy na platformie Kickstarter spełnia złożone



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

im obietnice. Pixel-artowa grafika i rozbudowana fabuła trzymają klimat. ©© Marcin Makowski
• Gatunek: RPG
• Platforma: PC/PS4/XONE/Switch
• Producent, dystrybutor: Dead Mage/11 bit studios
• Klasyfikacja PEGI: 16+

MOJA PÓŁKA

Zegarek litewskiej dziewczynki

KRZYSZTOF
MAŚLÓN

Przełożone nareszcie na polski i wydane wspomnienia Dalii Grinkevičiūtė, w ojczyźnie zmarłej w 1987 r. autorki uznawanej za jedną z najważniejszych księżek XX w., znajdujące się wśród obowiązkowych lektur szkolnych, uzupełnione są o trzy prozatorskie miniatury, bezpośrednio odnoszące się do treści „Litwinów nad Morzem Łąptiewów”. Jedną z nich zatytułowana jest „Zegarek”. Oto ona:

„Podarował mi go Ojciec na jedenaście urodziny. Dał mi wiele radości. Nocą 14 czerwca obudził mnie milicjant, Litwin, i nie pozwalając się ubrać, kazał iść do rodziców. W ich sypialni zobaczyłam wymierzony w Ojca rewolwer i pobladałą matkę. Czekała ze Smoleńska przeczytała: »W dalekie strony Syberii dożywotnio...«. Kiedy wróciłam do swojego pokoju, żeby ubrać się przed podróżą, nie znalazłam już zegarka na stoliku nocnym.

Gdzie teraz jesteś »rycerzu o chłodnym umyśle, gorącym sercu i czystych rękach«? Pierwszy przedstawiciel radzieckiej milicji, który okradł dziecko, w tamtej godzinie zabrał mu wszystko: Ojczyznę, Wolność, Ojca oraz dom rodzinny, i wysłał je samo na pewną zgubę.

Czy żyjesz? Czy nas pamiętasz, czy opowiedziałeś swoim wnukom, jak ładowałeś dzieci do bydłych wagonów i jak zesłałeś je na lodowce Arktyki?

Wiele z nich tam zostało. Mali mężczyźni. Ja jakoś przetrwałam. I nie zapominałam o tobie.

Czy mój zegarek przyniósł ci szczęście? Byłby dla mnie pamiątką po zamęczonym Ojcu. Mógł choć na krótko oddaćł męki głodu w straszną zimę 1942 roku.

Nie, nie jesteś złodziejem. Siedziałam w życiu w jedenastu więzieniach. Widziałam w nich złodziei, dla których więzienie to dom rodzinny. Ale oni nie okradali ska-



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

zanych na śmierć... Czyżby zatem moi rodzice, dla których uczciwość, pracowitość i moralność były życiowymi zasadami, musieli umrzeć tylko po to, żeby zwolnić miejsce dla takich jak ty? W czym tkwi istota waszej społecznej sprawiedliwości? W imię czego przyszedłeś do naszego mieszkania?”

Dziewczynka ojcowskim prezentem cieszyła się, jak można wyliczyć, przez trzy lata. Kiedy nocą 14 czerwca 1941 r. do jej kowieńskiego mieszkania załomotali czekaści, miała 14 lat. Jej ojca, nauczyciela matematyki, a wcześniej kierownika komisji walutowej banku Litwy, odłączono od rodziny i poddano odrębnemu śledztwu. Zmarł z głodu w łagrze na Uralu w październiku 1943 r. Dalia wraz ze starszym o trzy lata bratem i matką zesłana została na Sybir. Rok przeżyli w kołchozie na Ałtaju, następnie wywieziono ich dalej na północ, do Jakucji. W makabrycznych warunkach transportowano przez trzy miesiące, barkami, na wyspę Trofimowską, niedaleko ujścia Leny do Morza Łąptiewów.

W barakach wydzielono im po 50 cm przycy. W głębi tundry szukali kłód przyniesionych z górnego biegu rzeki i wyrąbywali je z lodu. Do baraku, gdzie ludzie marli z głodu, a także z zimna, nie wolno było im wziąć choćby kawałka drewna.

Dalia stanęła przed sądem, gdy zdecydowała się na kradzież desek, żeby chorej matce choć w Wigilię zapewnić odrobinę ciepła. Szczęśliwie wzięto pod uwagę jej niepełnoletność, ale dziewczynę przeniesiono do kopalni węgla.

W 1949 r. – niestety nie wiemy, w jakich okolicznościach – udało się Dalii Grinkevičiūtė uciec z matką na Litwę. Ukrywały się, zatajały swoje nazwisko; gdy matka umarła, córka pochowała ją w piwnicy. O tym, nielegalnym przecież, pochówku poinformuje władze dopiero po 12 latach. Okażą jej swoje niezadowolenie...

Dalia zostanie schwytana w Kownie i wysła ją znów do Jakucji, do Unżłagu. Ale szły już inne czasy, po śmierci Stalina zezwolono jej na studia medyczne w Omsku, a w 1957 r. wróciła na Litwę, kontynuując naukę. W chruszczowowskich latach 60., rzekomo „odwilżowych”, została lekarką w miasteczku Ławkowo (Laukuva) w rejonie szyłelskim. Inwigilowano ją, jakby nic się w kraju nie zmieniło, szykanowano, ostatecznie doprowadzono do zwolnienia z pracy w połowie lat 70. Wolności swojej ojczyzny nie doczekała, ale do samego końca sprzeciwiała się nieludzkiemu systemowi komunistycznemu, domagając się sprawiedliwych wyroków sądowych, niosąc pomoc krzywdzonym, uczestnicząc w ruchu dysydenckim.

Zaraz po aresztowaniu w 1941 r. zapisała: „Czuję w sobie rodzącą się zaciekłość, siłę, pragnienie życia, walki z nim i zwycięstwa. Pragnienie chwycenia go za pysk, żebym to ja mogła je okiełznać, zamiast żeby ono rzuciło mną. Jeszcze pożyjemy, Dalia, jeszcze powalcymy. Będziemy walczyć z tym okrutnym wrogiem – życiem – i się nie poddamy. To nic, że mam zaledwie piętnaście lat”. ©



★★★★★
**DALIA
GRINKEVIČIŪTĖ**
„LITWINI
NAD MORZEM
ŁĄPTIEWÓW”
WYDAWNICTWO
KEW 2019



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Poletko pana Milтона

Adwokat diabła” nie był szczególnie dobrym filmem, a powieść, na podstawie której powstał, nie jest szczególnie dobrą powieścią. Jednak przejść obok niej obojętnie nie można. Książka właśnie po raz pierwszy ukazuje się po polsku. Pieczętowanie opracowaną, graficznie wysmakowaną edycję wyszykowała oficyna Vesper, która specjalizuje się w eleganckich wznowieniach klasyki grozy i science fiction.

Historię znacie: początkujący prawnik bez skrupułów Kevin Taylor (w filmie zwał się Lomax i grał go Keanu Reeves) wzbudza zainteresowanie potężnej firmy prawniczej kierowanej przez Johna Milтона (Al Pacino). Nowe miejsce pracy wydaje się z początku rajem na ziemi. Świetne pensje, perspektywy na szybką karierę w sercu Nowego Jorku, obfite bonusy, uśmiechnięci koledzy w pracy, wszyscy co do jednego zachwyceni łaskawością, mądrością i przenikliwością pana Milтона.

Skoro jest tak dobrze, to dlaczego jeden z nich postanowił pewnego dnia skoczyć z 14. piętra i roztrzaskać się o bruk? Pytań przybywa. Firma pana Milтона specjalizuje się w reprezentowaniu ludzi oskarżanych o najokropniejsze występki. Szczęśliwie żony szczęśliwych kolegów są obiektem wielkiego zainteresowania Milтона i dziwne rzeczy dzieją

się z nimi, gdy przychodzi do rodzenia dzieci. Kevin rozpoczyna własne dochodzenie i trafia na trop przerażającej tajemnicy.

Tam, gdzie mamy do czynienia z sądowymi rozprawami, Andrew Neiderman idzie tropem prawniczych thrillerów Grishama, jednego z ulubionych przez Amerykanów podgatunków thrillerów. Tam, gdzie skupia się na tajemniczym Miltonie, rzecz zaczyna przypominać „Dziecko Rosemary” Iry Levina (powieść zekranizowaną przez Romana Polańskiego).

Te fragmenty są w powieści najlepsze – narastająca paranoja, szukanie sposobu na przeciwstawienie się Miltonowi. I oczywiście główny pomysł: szatan jako wpływowy prawnik. Zwłaszcza w USA, gdzie cwany adwokat plus ława przysięgłych są w stanie na sali sądowej każdego kota odkręcić ogonem. Książka jest lepiej skonstruowana niż film, ma mocniejsze zakończenie. Neiderman jest jednak ledwie przeciętnym pisarzem, nie ma swego

stylu, sadzi banał za banałem. To zwykły wyrobek pióra, który po śmierci V.C. Andrews (autorki „Kwiatów na poddaszu”) został najęty, by pod jej nazwiskiem publikować kolejne książki. Po jego oryginalne powieści często sięgali filmowcy, ale to średnia rekomendacja – im potrzebny jest pomysł, reszta nieważna. ©©



★★★★★
ANDREW NEIDERMAN
„ADWOKAT DIABŁA”
VESPER 2019

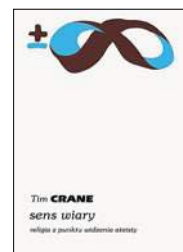
NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Zbiór pasjonujących opowieści popularnonaukowych, napisanych z ogromnym zapałem i miłością do tematu. Perspektywy podboju kosmosu, pytania o jego tajemnice, nędra futurologii – każdy znajdzie coś dla siebie.



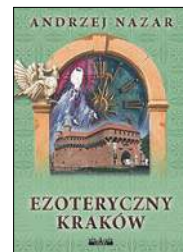
MAREK ORAMUS
„WSZECHŚWIAT JAKO NADMIAR”
ZYSK I S-KA

Ateista o ateizmie, ale z odmiennych pozycji niż bożyszcze lewicowych mediów Richard Dawkins. Brytyjski filozof zamiast wyszydząć i umniejszać, szuka korzyści z doświadczeń religijnych i wskazuje pola dialogu.



TIM CRANE
„SENS WIARY”
PIW

Wznowienie zbioru uroczych opowieści o duchach i zjawach Krakowa. Czytać koniecznie wraz z inną pracą autora, „Anielski Kraków”, która daje przegląd wizerunków aniołów (i związanych z nimi historii) z wawelskiego grodu.



ANDRZEJ NAZAR
„EZOTERYCZNY KRAKÓW”
VIS-À-VIS ETIUDA

Imperia często rozpadają się po śmierci swych twórców. Dzieje wojny o schedę po Aleksandrze Wielkim są szczególnie ciekawe. Pod piórem brytyjskiego filozofa i historyka mieszkającego w Grecji – wręcz pasjonujące.



ROBIN WATERFIELD
„DZIELENIE ŁUPÓW”
REBIS

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

- 1. Marek Jan Chodakiewicz „O cywilizacji śmierci” (3S Media)** – o antykulturze totalitarnych mniejszości, z marksizmem-lesbianizmem na czele.
- 2. Grzegorz Braun „System. Od Lenina do Putina” (Frona)** – wywiad rzeka o kluczowych wydarzeniach XX w. Brauna przepytuje Rafał Otoka-Frąckiewicz.
- 3. Grzegorz Kasjanik „Serce w serce” (Frona)** – rzecz o objawieniu Pana Jezusa i Matki Bożej w Ostroźnie i o siostrze Czesławie Polak.
- 4. ks. prof. Waldemar Chrostowski „Ojciec Nasz” (Biały Kruk)** – znakomity biblista o dziejach, przesłaniu i nowym tłumaczeniu Modlitwy Pańskiej.
- 5. Wincenty Łaszewski „Duchowa misja Polski” (Frona)** – jaką rolę zwiastują nam prorocтва i wizje, opisuje autor m.in. „Fatimy. Stuletniej tajemnicy”.

(Najchętniej kupowane książki w księgarni internetowej XLM.pl)



Suzia na dachu

FOT. MIKOŁAJ ZACHAROW/REPORTER

Wyszła sobie pewnego dnia Suzia na dach kamienicy we włoskim miasteczku Ostuni, zagrała tam na ukulele i zaśpiewała piosenkę „Mamy czas, by dorosnąć”. Wrzuciła na swój kanał na YouTube, zbierając bardzo dobre recenzje w komentarzach. Za głos, za wykonanie, za muzykę i za tekst. Bo Suzia to artystka, która tworzy swoje

piosenki od początku do końca – jej są teksty, jej muzyka, jej, rzecz jasna, wykonanie. Nagranie z Ostuni jest jednym z najpopularniejszych na jej kanale.

Pod mało poważnie brzmiącym pseudonimem kryje się Zuzanna Kłosińska, która Suzią została w 2012 r. Film z włoskiego dachu udo-

wtedy zaczęła nagrywać debiutancką epkę. O pomoc w jej wydaniu poprosiła wiosną ubiegłego roku swoich słuchaczy, których przez lata jej obecności na YouTube, w mediach społecznościowych i rzecz jasna występów na żywo Suzia zebrała już całkiem sporą grupkę. Poprosiła o 3,9 tys. zł, a dostała ponad 10 tys. Wyjście

z własnej kieszeni pieniędzy, by zapłacić artyście za jego twórczość, a właściwie dać na nią zaliczkę, to najlepsza z możliwych recenzji. Zwłaszcza w dobie serwisów streamingowych z legalną muzyką za grosze.

Zagranej na dachu „Mamy czas, by dorosnąć” na epce nie ma. Zapewne dlatego, że wydany w 2018 r. minialbum „Nie dzieje się nic” to złożona z pięciu utworów spójna opowieść dojrzałej już i ukształtowanej artystki. Pierwsza płyta Zuzy to naturalna, akustyczna, minimalistyczna, a przy tym bardzo przyjemna płyta z balladowymi utworami. Słucha się jej tak, jakby Suzia wyszła na ten dach we Włoszech z ukulele w rękę i zagrała specjalnie dla nas. Zuza podkreśla, że w muzyce ważne jest dla niej przekazanie emocji. I to się jej w debiucie udało. Oby została na tym dachu jak najdłużej. ©©

Radosław Wojtas



GRZEGORZ BRZozowicz

NA SŁUCH

Musisz coś zrobić

Po trasie promującej „Post Pop Depression”, najwyżej notowany album Popa (miejsce 17. w USA), Iggy oznajmił: „Czuję, że chcę odejść”.

Na szczęście 72-latkowi nie dane było pójście na emeryturę. Po trzech latach powrócił z płytą, na której w pierwszych słowach oznajmia: „Chcę być wolny”. On, najbardziej niepokorny z muzyków, nie jest wolny? Iggy’emu zapewne chodzi o uwolnienie się od wizerunku rockmana kroczącego cały czas po krawędzi.

Dlatego na płycie „Wolny” nie dominują gitarowe riffy. Instrumentem prowadzącym jest trąbka jazzmana Leron Thomasa, którą gitarzysta Noveller obudowuje dźwiękowymi pejzażami. Ich gra tworzy chłodny, gotycki akompa-

niament. Sam Iggy z rzadka podnosi głos, a w trzech ostatnich utworach wręcz deklamuje wiersze: Lou Reeda, Dylana Thomasa i własny.

To równie depresyjny album co „Avenue B” sprzed 20 lat. Bohaterowie piosenek są wyizolowani społecznie, bowiem otoczenie wymusza na nich inny rodzaj „wolności”. W „Page” Pop śpiewa: „Jesteśmy jedynymi ludźmi, którzy nie są ludzcy”. Nastroj osamotnienia podkreśla muzyka, która przechodzi od szemrzącej elektromusyki do odjechanego jazzowania. Tylko w „Love Missing” słyszymy konwencjonalny zespół rockowy. Niełatwo jest wkroczyć w ten świat. Na koniec płyty, w utworze „Świt”, Pop przyzywa nas, oznajmiając: „Odpoczynek oznacza poddanie się. Musisz coś zrobić”. ©©



★★★★★
IGGY POP
„FREE”
LOMA VISTA



★★★★★
MILES DAVIS
„RUBBERBAND”
RHINO

Miles słusznie zamknął w 1985 r. te nagrania w szufladzie. Plastikowy funk-pop z syntetycznymi bębnami i piszczącymi gitarami był ślepym zaułkiem. Materiałowi nie pomogło ponowne zmiksowanie, dogranie kilku ścieżek i dodanie, o zgrozo, wokali.



★★★★★
TINARIWEN
„AMAJDAR”
ANTI-

Tuaregowie po raz dziewiąty zachwycają pustynnym, transowym bluesem. Płyta nagrana wieczorami na mauretańskiej pustyni rozbrzmiewa naturalnym pięknem. Współpracownik Nicka Cave’a, Warren Ellis, gra w pięciu utworach. Poruszające. ©©

29. odsłona „polskiego Davos” w Krynicy-Zdroju dobiegła końca

XXIX Forum Ekonomiczne w Krynicy-Zdroju dobiegło końca. Wydarzenie okazało się rekordowe pod względem frekwencji oraz wiedzy, jaką można było osiągnąć podczas licznych paneli i dyskusji. Wśród gości Telewizji Republika znaleźli się najznamienitsze postaci ze świata polityki i biznesu.

Jak wskazują organizatorzy wydarzenia, impreza gościła w ciągu trzech dni około 5,3 tysięcy uczestników, najwięcej w historii Forum Ekonomicznego.

Jednym z czołowych wydarzeń podczas „polskiego Davos” była prezentacja „Raportu Forum Ekonomicznego: Europa Środkowo-Wschodnia wobec globalnych trendów: gospodarka, społeczeństwo i biznes raport” opracowanego wspólnie przez ISW oraz Szkołę Główną Handlową w Warszawie.

W raporcie przeanalizowano m.in. kwestie zamożności krajów Europy Środkowo-Wschodniej, zachodzące zmiany potrzeb transportowych, rozwój regionalnych innowacji ekologicznych, systemy opieki osób starszych, trendy w optymalizacji i uszczelnianiu systemów podatkowych, dynamikę rynku pracy oraz rozwój rolnictwa.

Wśród licznych wydarzeń, wysoce owocny w merytoryczne wnioski okazał się panel organizowany przez magazyn Forbes oraz KGHM „Silna Polska w turbulentnej Europie”. Prelegenci zastanawiali się, jakie cechy potrzebne są polskim przedsiębiorstwom w przypadku nadejścia spowolnienia gospodarczego, by te wciąż utrzymywały wysoką konkurencyjność. Prezes KGHM Marcin Chłudziński przekonywał, że „zmiennosc i turbulentność są stałymi cechami w biznesie” stąd wskazał, że tylko „zmiennosc jest niezmienna”. W kontekście Trójmorza tłumaczył, jak Polska powinna wykorzystywać swój potencjał.

-- Jako jedyna tak globalna polska firma, jesteśmy w pewnym stopniu odpowiedzialni za wizerunek Polski za granicą – mówił dyrektor Departamentu Komunikacji Korporacyjnej w KGHM Piotr Chęciński. Jak przekonywał na antenie Telewizji Republika, „KGHM to pierwsze spotkanie z Polską”. – Nie mamy znanej firmy, obecnej na całym świecie. Tutaj pojawia się my. Zapewne nasz obszar jest mało atrakcyjny. Można jednak na to spojrzeć z innej perspektywy. Co ósmy telefon, samochód czy telewizor posiada domieszkę miedzi, pochodzącą z KGHM-u – mówił w rozmowie z red. Krystianem Kaźmierczykiem. W środę odbył się panel „Wyzwania stojące przed sektorem wydobywczym – kierunki zmian”, której głównymi partnerami byli Polska Grupa Energetyczna, ENEA i Polska Grupa Górnicza. Uczestnicy konferencji rozmawiali m.in. o tym, jakie wyzwania stoją przed spółkami w kontekście utrzymania bezpieczeństwa dostaw energii i wykorzystania posiadanych w kraju zasobów.

W studiu Telewizji Republika znalazł się jeden z prelegentów ww. panelu, prezes Węgłokoks S.A. Tomasz Heryszek. – Trend dekarbonizacyjny, który dziś jest faktem w naszej części świata, to sytuacja, w której Węgłokoks musiał zastanowić się nad własną przyszłością. Stąd pomysł na budowę grupy kapitałowej, konsolidację z obszarami hutnictwa, energetyki, ciepłownictwa – tłumaczył Heryszek.

Niedługo później w studiu Telewizji Republika zasiadł wiceminister energii Adam Gawęda. W rozmowie z red. Tomaszem Sakiewiczem i red. Ryszardem Gromadzkim tłumaczył misję, jaką powierzono mu w ramach pełnomocnictwa. Na pytanie, czy Polska skazana jest na węgiel, odpowiedział: „jeszcze przez wiele lat będziemy wykorzystywać ten surowiec jako stabilizator, bezpiecznik energetyczny”. – W nowych elektrowniach to nadal węgiel odgrywa znaczącą rolę – tłumaczył senator Gawęda.

W środę wieczorem podczas uroczystej gali ogłoszono nagrody XXIX Forum Ekonomicznego w Krynicy-Zdroju. Nagrodę Człowieka Roku 2018 otrzymał premier Mateusz Morawiecki, który – jak akcentował w laudacji Berdychowski – przeniósł z biznesu do polityki m.in. sprawność, efektywność zarządzania i umiejętność kierowania dużymi zespołami ludzi. Szef polskiego rządu zaszczylił swoją obecnością również spotkanie Fundatorów i Sympatyków Fundacji Pomyśl o Przyszłości, którego jednym z fundatorów był Ryszard Florek, właściciel firmy FAKRO. Ten podczas forum udzielił wywiadu w studio Telewizji Republika.

XXIX Forum Ekonomiczne w Krynicy-Zdroju połączone było również z Forum Ochrony Zdrowia. Polski Związek Producentów Leków przeprowadzał na swoim stanowisku bezpłatne badania uczestników forum. W ich imieniu, na antenie Telewizji Republika, wypowiadała się wiceprezes Polskiego Związku Pracodawców Przemysłu Farmaceutycznego Barbara Misiewicz-Jagiela. Zainteresowaniem cieszyły się też stanowiska Ministerstwa Zdrowia. Tam odbyły się liczne panele dot. kondycji zdrowotnej Polaków.

Redaktorzy Telewizji Republika odbyli także wiele rozmów, m.in. z przedstawicielami polskiego rządu. Wśród rozmówców znalazł się minister rolnictwa i rozwoju wsi Jan Krzysztof Ardanowski. Tłumacząc swoją obecność na forum wskazał, że „jednym z najważniejszych polskich biznesów jest rolnictwo”. -- Dostarcza wysokiej jakości żywność, zapewniając całej Polsce bezpieczeństwo żywnościowe. O różnych formach bezpieczeństwa możemy dziś dyskutować dlatego, że nie jesteśmy głodni – mówił minister.

Wśród gości w studiu Telewizji Republika znaleźli się też minister edukacji narodowej Dariusz Piontowski, minister oraz wiceministrowie inwestycji i rozwoju Jerzy Kwieciński, Anna Gembicka, Artur Soboń oraz Waldemar Buda, minister energii Krzysztof Tchórzewski, wiceminister środowiska Michał Kurtyka, a także prezes Najwyższej Izby Kontroli Marian Banaś.



Trzeba zbudować nowe państwo



**Z Januszem
Korwin-Mikkem, jednym
z liderów Konfederacji
Wolność i Niepodległość
rozmawia Maciej Pieczyński**

MACIEJ PIECZYŃSKI: W niedawno opublikowanym rankingu zaufania do polityków zajął pan „zaszczytne” ostatnie miejsce. Według badania ufa panu jedynie 6,5 proc. Polaków. Znając pańską niechęć do demokratycznej większości, powinien pan być z siebie dumny.

JANUSZ KORWIN-MIKKE: A co to znaczy „brak zaufania do polityka”?

To znaczy, że potencjalni wyborcy nie ufają panu.

Ja jestem człowiek konkretny i chcę wiedzieć dokładnie, o co chodzi. Czy to znaczy, że nie podoba im się to, co głoszę, czy może nie wierzą, że to, co głoszę, wprowadzę w życie?

Chyba nawet najzagorzalsi pana krytycy nie mają wątpliwości – Janusz Korwin-Mikke tak kurczowo trzyma się swoich przekonań, że gdyby doszedł do władzy, swoje obietnice pewnie by spełnił. Jednak jest pan kojarzony z kontrowersyjnymi poglądami i wypowiedziami, więc jako ekscentryk nie budzi pan zaufania.

Zgadzam się – jestem kontrowersyjny. Kopernik też był.

Krytykuje pan PiS jako „socjalistów”. Jednak gospodarka jakoś się pod ich rządami nie załamuje. Za co pan pochwaliłby PiS?

Za to, że przywrócił poprzedni wiek emerytalny. Nie można zmieniać reguł gry w jej trakcie. Jeżeli, dajmy na to, kobiecie powiedziano 30 lat temu, że w wieku lat 60 pójdzie na emeryturę, a ona pod tym kątem zaplanowała całe swoje życie, po czym nagle się dowiaduje, że jednak musi pracować dłużej, to jest to zwykły bandytyzm. PiS powinien powsadzać za kratki bandytów odpowiedzialnych za rabunek, którym było podwyższenie wieku emerytalnego. Niestety, nie zrobił tego. Ale również PiS zmienił reguły w trakcie gry, bo młodzi ludzie, którzy zaczęli pracować już po podwyższeniu wieku emerytalnego, powinni pójść na emeryturę właśnie zgodnie z tymi,

wprowadzonymi przez PO, zasadami. Ciekawostka: pewna posłanka PiS na moje pytanie, czy zdaje sobie sprawę, jakie będą konsekwencje jakiejś ustawy za 30 lat, odpowiedziała: „A co mnie obchodzi, co będzie za 30 lat?!”. Właśnie – ich gówno obchodzi przyszłość!

Zerowy PIT dla młodych do 26. roku życia to nie jest dla pana wolnorynkowe świętełko w gospodarczym tunelu?

To jest kiełbasa wyborcza, ale wyjątkowo zatruta. Każdy normalny człowiek zdaje sobie z tego sprawę. Jeśli ktoś skończy 26 lat, to będzie już miał doświadczenie i tylko jedno wyjście – wyjechać za granicę. Dlatego że jego młodszy o kilka lat kolega, mając PIT zerowy, wyprze go z rynku. Idiocyzm kompletny.

To jednak jest wsparcie dla młodych, początkujących na rynku pracy. A obniżka PIT do 17 proc. – tego liberał Korwin-Mikke nie pochwali?

To słuszne – ale nie ma większego znaczenia. Obniżka ani na jotę nie umniejsza biurokracji, która musi pobór podatku obsługiwać. Trzeba po prostu zlikwidować podatki dochodowe.

Zarzuca pan PiS, że nie rozlicza aferzystów. Jednak przecież z raportu ds. wyłudzeń VAT wynika, że premierzy Tusk i Kopacz oraz ministrowie finansów Rostowski i Szczurek powinni stanąć przed Trybunałem Stanu.

To jest temat zastępczy. Media zajmują się bzdurami. Prawdziwych afer nie opisujecie!

To jaka jest „prawdziwa afera”?

Kiedy obecną kandydatkę KO na premiera zapytano, gdzie zginęło 19 mld zł z OFE, odparła: „To są na pewno jakieś kwoty, które wynikają z różnych takich działań, i nie chciałabym tutaj nikogo wprowadzać w błąd”. Po prostu przyznała, że nie ma pojęcia. PiS nie kiwnął nawet palcem w tej sprawie! Dlaczego? Bo sam pewnie wziął część z tych 19 mld! To jest jedyny powód, dla którego aferzyści wciąż są na wolności.

Bardzo poważne oskarżenie.

Platforma obrabowała OFE, a PiS przyłożył do tego oficjalnie rękę, głosując „za”! A to jeszcze większe przestępstwo niż te zaginione 19 mld zł.

Jednak uszczelnili VAT. Nawet część niechętnych PiS komentatorów przyznaje, że to wielka zasługa rządu.

Niekoniecznie. Ci, którzy wyłudzali VAT, mogli dzięki temu sprzedawać swoje towary po niższych cenach, więc ludzie na tym też zarobili.

Chwali pan przedsiębiorców oszustów?

Wyłudzenie VAT nie jest uczciwe w stosunku do rzetelnych przedsiębiorców, ale z punktu widzenia gospodarki nie jest szkodliwe. Szkodliwe jest nakładanie VAT!

Czyli Tusk, Kopacz, Rostowski i Szczurek nie powinni być pociągnięci do odpowiedzialności?

Ale przepraszam bardzo – za co?! Czy oni pozwalali na wyłudzenia? Czy świadomie dążyli do ułatwiania przestępczych praktyk?! Nie ma na to jednoznacznych dowodów. Niech to sąd rozstrzygnie. Trzeba by udowodnić, że robili to celowo.

Przejdźmy do Konfederacji. W wyborach do europarlamentu mieliście być czarnym koniem. Koń jednak zdechł. Jakie wnioski wyciągnęliście z tej porażki?

Takie, że powołał się Ruch Kontroli Wyborów. Jest statystycznie nieprawdopodobne, że przy wstępnych sondażach, dających nam 7 proc., we wszystkich okręgach spadliśmy nagle równo do poziomu 4,5 proc.

Czyli sugeruje pan wprost, że doszło do fałszerstw?

Sugeruję wprost, że nastąpiła jakaś operacja na poziomie między komisjami obwodowymi a komisjami wojewódzkimi.

Lubi pan konkrety. Sam pan powiedział przed chwilą, że trzeba mieć mocne dowody, by rzucić mocne oskarżenia.

Ma pan całkowitą rację.

Jak w takim razie udowodni pan, że wybory zostały sfałszowane na niekorzyść Konfederacji?

Proszę sobie przypomnieć wybory samorządowe w 2014 r. PSL miało tak wyjątkowe wyniki, że każdy statystyk powie panu, iż to musiało być oszustwo. Ale sądy orzekły, że statystyka nie może być dowodem!

Czy teraz, jeśli nie wejdziecie do Sejmu, znowu pan powie, że wybory zostały sfałszowane?

Zobaczmy. Nasz Ruch Kontroli Wyborów będzie porównywał zebrane wyniki z tymi podanymi oficjalnie.

Wszystkiemu winne są rzekome „cuda nad urną”? Wy, jako Konfederacja, nie popełniliście żadnych błędów?

Nie mam pojęcia.

A może zaszkodził wam radykalizm, przesadnie ostra retoryka? „Piątka Mentzena” z hasłami takimi jak „nie chcemy Żydów” czy niezbyt poważny happening Konrada Berkowicza, który działacze PiS założył jarmulkę na głowę?

A skąd pan wie? Może, gdybyśmy byli mniej radykalni, dostalibyśmy jeszcze mniej głosów?

Tego się nie dowiemy. A dlaczego nie może się pan dogadać z Pawłem Kukizem?

Ponieważ pan Paweł Kukiz dogadał się z PSL. Widać wyraźnie, że jego celem jest zaszkodzić Konfederacji. Tak jak pięć lat temu miał nie dopuścić, aby Wolność weszła do Sejmu.

Jednak Kukiz obraził się na pana, jeszcze zanim zawarł sojusz z PSL.

Ja nie wiem, czy to on się na mnie obraził, czy może ktoś mu zasugerował, że powinien się na mnie obrazić... Natomiast chciałbym zwrócić uwagę na fakt, że my, jako Konfederacja, oferowaliśmy panu Kukizowi znacznie więcej niż PSL, a on propozycji tej nie przyjął. Wynika z tego jasno, że jego celem nie jest wejście do Sejmu, ale zablokowanie Konfederacji. My jesteśmy formacją antypaństwową, nie antyrządową! My nie uważamy, że wszystkiemu winne są PiS albo PO. Każdy na ich miejscu by tak samo kradł. Trzeba zmienić ustrój, rozpieprzyć to państwo i na jego miejscu zbudować nowe!

Kukiz też chciał rozpieprzyć system.

Ale nie wiedział jak. Natomiast my dokładnie wiemy, co trzeba zrobić – odebrać państwu jak największą uprawnienie. Całkowicie uniezależnić gospodarkę od rządu – tylko wtedy politycy przestaną kraść. Tylko likwidacja koryta pomoże nam wygrać z „bandą czworoga” (PiS, PO, SLD, PSL), czyli tak naprawdę z agenturą gen. Kiszczaka.

Twierdzi pan, że Kukiz współpracuje z „agenturą gen. Kiszczaka”? Naprawdę?

Trudno powiedzieć. Mnie zawsze ostrzegano, by uważać na niego. Nie mówię, że świadomie działa na naszą niekorzyść, a w interesie „bandy czworoga”. Być może oni grają nim, używają go do swoich celów, podczas gdy sam

■ Kukiz jest święcie przekonany, że jest samodzielnym politykiem i wprowadza w życie swoje ideały.

Pana zdaniem Konfederacja jest celowo pomijana w mediach. Powiedział pan: „Na razie tylko nas nie pokazują, później może zaczną mordować”. Kto miałby was mordować i po co?

Przypominam, że jestem wrogiem tego ustroju, wrogiem tego państwa. Dlatego przez ostatnie pięć lat nie byłem gościem TVN, a od trzech lat nie ma mnie w TVP. Takie pomijanie jednej z sił politycznych jest oczywiście niezgodne z prawem.

Jednak pan twierdzi, że „reżim broni się rękami i nogami”, bo wie, że jeśli dojdziecie do władzy, to powsadzacie ich do więzień. Tymczasem chyba nikt nie wierzy na poważnie, że Janusz Korwin-Mikke będzie kiedyś rządził w Polsce. Może po prostu jesteście ignorowani, bo macie niskie sondaże?

Jak powiedział najwybitniejszy filozof XX w.: „Jeżeli człowiek głosi prawdę, to może żyć w demokracji dopóty, dopóki ludzie nie traktują go poważnie; potem: cykuta”...

Niektóre sondaże dają wam powyżej 5 proc. W takim układzie, jeśli PiS nie zdobędzie tym razem samodzielnej większości, to możecie odegrać rolę jęczyzka u wagi, która tak marzyła się zawsze Kukizowi...

Nie ma chyba takiej możliwości. Jestem przekonany, że PiS prędzej zawrze koalicję z PO przeciwko nam, niż podzieli się z nami władzą. To jest jedna klika, tak samo jak CDU i SPD w Niemczech.

Jednak gdyby się okazało, że jesteście PiS potrzebni, to jaki warunek byście postawili partii rządzącej w zamian za poparcie?

Gdyby to od nas zależało, poprosilibyśmy o dwie teki. Na pół roku objęlibyśmy Ministerstwo Edukacji Narodowej. Tylko po to, aby je zlikwidować, bo nie jest do niczego potrzebne. Wzięlibyśmy też Ministerstwo Zdrowia, w tym samym celu. Zdarza się, że chory człowiek wzywa lekarza czy pielęgniarkę. Nie widziałem jednak nikogo leżącego na ulicy i wołającego: „Służby zdrowia!”. To bardzo delikatna sprawa, dlatego likwidacja tego resortu zajęłaby więcej czasu niż likwidacja MEN – powiedziałem rok. Ale po roku Polska by wyzdrowiała. Psy nie mają ŻADNYCH problemów, bo nie ma dla nich służby zdrowia. Wie pan, dlaczego nikt nie umiera w Polsce

z głodu? Bo nie mamy Ministerstwa Apropozycji Narodowej!

To są jednak postulaty pana partii, która jest tylko częścią Konfederacji. Monolitem nie jesteście. Narodowcy raczej mają inne poglądy na gospodarkę. Tyle że, na wasze szczęście, mniej się nią interesują niż wy.

Narodowcy przy nas stają się coraz bardziej wolnorynkowi.

W wyborach do europarlamentu zdecydowanie największym poparciem spośród konfederatów cieszyli się korwiniści. Pojawiali się nawet głosy, że próbuje wejść do PE na plecach narodowców. Teraz nie będzie konfliktów?

W jednych okręgach listy ciągną narodowcy, w innych Wolność... Uzupełniamy się.

Z szerokiego frontu środowisk skrajnie prawicowych zostaliście tylko wy, narodowcy i Grzegorz Braun. Brak ludzi Liroya-Marca na listach to zapewne nie jest wielka strata dla waszych wyborców, ale już Kaja Godek to co innego. Wy jej zarzucacie, że kłóciła się o miejsce na liście, ona wam – że nie chcecie walczyć z aborcją. Tak czy siak, najbardziej znana działaczka pro-life opuściła wasze szeregi.

Gdybyśmy nie chcieli walczyć z aborcją, to byśmy pani Kai Godek nie wzięli wtedy do Konfederacji.

W poprzedniej kampanii straszycie wyborców ustawą 447. Nie zadziało. Sprawa ucihła. Mike Pence 1 września w Warszawie słowem nawet nie zasugerował, że jesteście coś winni organizacjom żydowskim. Czym teraz będziecie straszyć, przez te ostatnie tygodnie przed wyborami?

Jest umowa pomiędzy Warszawą a Waszyngtonem, żeby temat ustawy 447 poruszyć dopiero po zwycięskich dla PiS wyborach. To nie jest straszenie, tylko fakty. Przypominam o notatce WikiLeaks, zgodnie z którą Jarosław Kaczyński zgodził się w rozmowie z amerykańskim ambasadorem na wypłatę 20-procentowej rekompensaty dla środowisk żydowskich, a tak naprawdę – dla aferzystów kierujących „przedsiębiorstwem Holocaust”.

To nie jest takie oczywiste. Rozmowa odbyła się 10 lat temu, a Kaczyński tylko rozważał spłatę. Tak czy inaczej, chyba nie ma pań wątpliwości, że PiS, przy wszystkich swoich wadach, mocniej broni interesu narodowego niż Platforma?

Oni tylko mówią, że będą mocniej niż PO zabiegać o polski interes. Natomiast nie mam żadnych wątpliwości, że rosz-

czenia żydowskie zostaną wypłacone. Kaczyński powiedział, że „nikt poważny w polskiej polityce nie będzie tego kwestionował”. Ale... ja nie jestem „poważny”.

W naszej rozmowie nie mogło zabraknąć pańskiej ulubionej postaci historycznej... „Ten s...syn Hitler był większym liberałem od Tuska i Kaczyńskiego” – stwierdził pan ostatnio. Czy porównanie wodza III Rzeszy z polskimi politykami jest w jakiegokolwiek mierze zasadne?! Poza tym z reguły pan powtarza, że Hitler był s...synem, bo... był socjalistą. Mógłby pan go czasem skrzytykować też za to, że był jednym z największych zbrodniarzy w dziejach?

Nie rozumiem problemu. Wielokrotnie mówiłem wyraźnie, że – niezależnie od Holocaustu – Hitler powinien wisieć za zbrodnie na Polakach! A porównywanie go ze współczesnymi polskimi politykami jest o tyle zasadne, że oni również okupują nasz kraj. Zresztą każdy kraj okupowany jest przez jakieś państwo. A że PO i PiS to gorsi socjaliści niż Hitler, to akurat święta prawda. To samo dotyczy Unii Europejskiej. Gdyby porównał pan 20 postulatów gospodarczych UE i 20 postulatów gospodarczych III Rzeszy, okazałoby się, że to brukselscy biurokraci podzielają poglądy Hitlera – a nie ja!

Ciągle mówi pan o wsadzaniu do więzień. Kto poszedłby siedzieć w pierwszej kolejności, gdyby Janusz Korwin-Mikke został dyktatorem?

Do więzień wsadzają sądy, nie politycy. Nie będę wymieniał nazwisk. Nie chodzi o to nawet, by posadzić kogoś konkretnego, ale by ludzie wiedzieli, że za to, co ten ktoś zrobił, idzie się za kratki. Towarzysz Janosik został powieszony za zbrodnie, i słusznie, bo trzeba karać śmiercią bandytę, który kradnie: czy biednym, czy bogatym. Przypominam, że podatek jest formą rabunku. Rabuś powinien wisieć, nawet jeśli – tak jak towarzysz Janosik czy państwo – dzieli się łupem z innymi.

Kiedy odpali pan „protokół 1 proc.”?

Nie rozumiem, o co chodzi.

Część komentatorów zwraca uwagę, że co kampanię, gdy już pańskiej formacji zaczyna iść dobrze w sondażach, pan zawsze musi powiedzieć coś tak skandalicznego, że wyborcy się od was odwracają.

Czyli nie chciałbym wejść do Sejmu? To absurd. Po co mam komentować słowa idiotów?!



IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Sprawy męsko-damskie

Moja dorosła córka z licencjatem narzekała ostatnio, że zniknęła z felietonów ojca.

Tylko ten młody Tymon i Tymon, labiedziła, a o mnie nic. No dobra, Grzegorzu Dyndało, sam tego chciałeś. Czy raczej chciałaś.

Córka ma od pewnego czasu chłopaka. Takiego na poważnie. Może jeszcze nie narzeczonego, ale blisko. Spotykam się z nimi od czasu do czasu i oglądam zjawisko, w którym sam kiedyś uczestniczyłem.

Otóż, na samym początku ich związku ona była bardzo w niego zapatrzona, a on zdecydowanie dominujący. Jak coś powiedział, nawet głupiego, to ona spoglądała na niego z dumą, a chyba nawet z zachwytem. A wyraz jej twarzy wręcz krzychał: O jejku, ale ze mnie szczęściara, ależ mężczyzna mi się trafił!!! Jak on coś powie, to dopiero!

Zasadniczo miała rację, bo chłopak jest rzeczywiście w porządku. Nawet bardzo w porządku. On aż tak zapatrzony w nią nie był, a może z jego twarzy nie potrafię tak dobrze czytać. W efekcie miał więc lekką przewagę. Trenerzy mówią o swoich drużynach, że „kontrolowały mecz”, a on chyba kontrolował ten związek.

Jednak czas upływał. I przy każdym następnym spotkaniu miałem wrażenie, że ta przewaga topnieje, a jego kontrola nad meczem jest coraz mniejsza. Gra się wyrównywała coraz bardziej. To się dokonywało kroczykami. Dla nich niezauważenie. Ja to jednak widziałem,

tak jak się widzi, ile urosło dziecko, które wraca z obozu harcerskiego.

I wreszcie... Nastąpił klasyczny finał. Kobieta – trzymając się piłkarskiej metafory – przejęła kontrolę nad meczem. Co ciekawe, nie ma to najmniejszego związku z ich uczuciami. Nie jest tak, że ona się trochę odkochała, a on się bardziej zakochał, więc stracił przewagę.

Dlaczego zatem pierwsze skrzypce przeszły w inne ręce? Jako doświadczony żonkoś mam na ten temat pewną teorię. Otóż, kobiety upierają się przy wielu rzeczach, które nam, facetom, wydają się błahe. Czy narzuta powinna być błękitna czy kremowa? Wszystko jedno. To niech będzie kremowa. Czy kupimy żel pod prysznic o zapachu moreli? Wolę kokosowy. A ja morelowy. Dobrze, mnie tam wsio rawno, niech będzie morelowy. Czy kanapę postawimy pod oknem czy w kącie? Może w kącie. W kącie będzie ciemno, postawmy pod oknem. Dobra, nie będę się kłócił o taką pierdołę. Niech będzie pod oknem.

A ponieważ życie składa się głównie z takich pierdół, to w efekcie ciągle ulegamy. Oddajemy teren. Żyjemy w złudzeniu, że należy do nas decydujące zdanie w kwestiach fundamentalnych, takich jak system z Bretton Woods czy zasadność korzystania z energii jądrowej. W praktyce przytakujemy, ciągle przytakujemy i w końcu i nam, i im (kobietom) wchodzi to w krew. A kiedy zdajemy sobie z tego sprawę, jest już za późno.

Takie życie. ©©



MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

Koszmarne życie w dyktaturze

Czasami naprawdę chcemy się śmiać, kiedy słyszę, że żyjemy w dyktaturze. Mniej śmieszne jest szermowanie epitetem faszyzmu – kiedy używający tego słowa uwłaczają wszystkim ofiarom rzeczywistego faszyzmu. Oczywiście, że ci, którzy posługują się tymi epitetami, przeważnie nie mają pojęcia, o czym mówią. Ja jednak należę do pokolenia, któremu zdarzyło się żyć długie lata w dyktaturze (proletariatu), i coś niecoś na ten temat pamiętam.

Dyktatura to system, w którym nie tylko nie można swobodnie działać, wyrażać swoich przekonań, lecz także nawet myśleć. Kto nie miał styczności z cenzurą PRL, ten nie wie, że ta cenzurowała nie tylko teksty, lecz także podteksty. W dyktaturze krytykowanie władzy jest niemożliwe, bo nie ma na to miejsca, a wszystkie instytucje podlegają ścisłej kontroli. Sądy są ramieniem władzy (w stalinowskiej Rosji nawet nie represjonowano sędziów, bo bezbłędnie zgadywali, jakich wyroków pragnie władza), w półdyktaturze, którą jest współczesna Turcja, Erdoğan rozwiązał problem sądownictwa, wsadzając nieprzychylnych sędziów do więzienia lub wyrzucając ich z pracy, i ma spokój.

Jaka to dyktatura, w której większość mediów bije we władzę jak w bęben, w dodatku zazwyczaj bezpodstawnie? Jaka to dyktatura,

w której często za państwowe pieniądze robi się filmy jednostronnie przeciw władzy, a jak przypadkiem poстане coś innego, to strach to pokazać, a aktorzy boją się w tym grać przerażeni środowiskowym terrorem (moje przypadki z „Szopkami” są tego najlepszym dowodem!). Jaka to dyktatura, gdzie władze regionalne sabotują polecenia z góry, a szkolenie ludzi i rzeczy, które większość uważa za święte, za każdym razem uchodzi płazem? Jaka to dyktatura, w której władza pokornie koncelebruje pochówek przekręciarza w kościele, a łobuzeria zakłóca modlitewne skupienie upamiętniające narodową tragedię?

Oczywiście ci, którzy z narracji o dyktaturze i donoszeniu o niej za granicą uczynili chleb powszedni, są tego świadomi – nie można znaleźć żadnego konkretnego dowodu na dyktatorskie praktyki, ale argument mają jeden: dyktatury wprawdzie faktycznie nie ma, ale jeśli jesienią PiS utrzyma władzę, to będzie.

Przypomina to anegdotę o góralu podejrzanym o bimbrownictwo, u którego wprawdzie alkoholu nie znaleziono, ale skonfiskowano posiadany sprzęt do jego produkcji. Rozżalony baba stwierdził: „W takim razie proszę także skazać mnie za gwałt”. „A zgwałcił pan kogoś?” – pyta sąd. „Nikogo, ale narzędzia mam zawsze przy sobie!”. ©©

Czy Terlikowski zdradził



Robert Tekieli

Niemżliwe, by Tomasz Terlikowski mógł współpracować z pismem zwalczającym Kościół, krążownikiem imperium zła

Piszę wyjątkowo na tych łamach, ponieważ sędzę, że „Do Rzeczy” czyta więcej osób, które mogą czuć się dotknięte wywiadem udzielonym niedawno „Gazecie Wyborczej” przez Tomka Terlikowskiego, od oburzonych czytelników mojej macierzystej „Gazety Polskiej”.

DROGI TOMKU,

szanuję radykalne gesty, sensowne prowokacje oraz przekroczenia, które nie krzywdzą nikogo. Sam byłem długi

czas odbierany jako skandalista. Ze spokojem więc przyjmuję głosy oburzenia wywołane Twoim wywiadem z leadotytułem „Terlikowski: PiS to nie są konserwatyści. Grają rolę obyczajowej prawicy, ale grzeje ich tylko władza”. Nie zamierzam tutaj polemizować z Tobą, choć nie wiem na przykład, czy PiS-owców grzeje wyłącznie władza. Być może nie. Chcę jednak zwrócić Ci uwagę na dwie zasadnicze kwestie. Wspólnotową i cywilizacyjną.

Publicyście wolno wszystko. Wielokrotnie korzystałem z tego wilczego prawa. Czasami prowokacja jest jedyną skuteczną bronią w walce o wartości.

Skąd zatem uczucie zawodu, a czasami i artykułowane w prywatnych rozmowach twierdzenia o Twojej zdradzie?

Zrozum mnie dobrze, nie zachęcam do plemiennego konformizmu, jest mi rzeczą obmierzłą. Na 30-lecie „bruLionu”, którym zaczynałem swą rozmowę ze współczesną kulturą, przyznaliśmy nagrody Zbigniewowi Sajnogowi, Waldemarowi Fydrychowi i świętej pamięci Robertowi Brylewskiemu. Trudno o nich powiedzieć, aby mieli prawicowe poglądy. A właściwie „prawicowe”, bo dziś zanika rozróżnienie na prawicę i lewicę. Atakuje nas rewolucyjna antykultura, to jest główna linia frontu. Zachodni konserwatyści rozszerzają prawo do zabijania dzieci, pozwalają adoptować maluchy parom homoseksualnym. Są już poza zachodnią cywilizacją. Dzisiaj nie mamy konfliktu pomiędzy konserwatystami a progresywi-
stami. Świat Zachodu, oparty na monoteizmie i monogamicznym małżeństwie, wywiedziony z greckiej filozofii oraz z kartacyjnych poszukiwań prawdy greckiego dramatu, czerpiący z uniwersalistycznych idei rzymskiego prawa oraz nauki ojców Kościoła, ten świat atakowany jest przez rewolucję bezkształtu, desakralizacji i odczłowieczenia. Niszczącą pojęcie prawdy, chcącą odebrać pokoleniom łaskę wielkiej sztuki oraz rozbić tradycyjną rodzinę i państwa narodowe. Na ulice wylewa się dziś tęczowa zaraza, ale to tylko powierzchnia zdarzeń, antykultura w zachodniej cywilizacji zdobyła już dziś

GAZETA.PL WIADOMOŚCI

Polska Polityka Świat Opinie Nauka Edukacja Quiz Buzz Zdjęcia Pogoda

REKLAMA

Reklama zamknięta przez Google

Nie wyświetlaj tej reklamy

Dlaczego ta reklama? >

Wiadomości • Polska • Informacje • Terlikowski: PiS to nie są konserwatyści. Grają rolę obyczajowej prawicy, ale grzeje ich tylko...

Terlikowski: PiS to nie są konserwatyści. Grają rolę obyczajowej prawicy, ale grzeje ich tylko władza



Grzegorz Sroczynski
09.09.2019 11:53

- Zastanawiałeś się kiedyś, jaki jest główny mechanizm jednoczenia się ludzi w internecie? Poczucie krzywdy. Homoseksualiści są skrzywdzeni przez większość heteroseksualną, ojcowie są skrzywdzeni przez byłe żony, które zabierają im dzieci, a katolicy są skrzywdzeni przez LGBT. Wszyscy jesteśmy przez kogoś skrzywdzeni - z Tomaszem Terlikowskim rozmawia Grzegorz Sroczynski.



sądownictwo, uniwersytety i zaczyna wchodzić do polskich szkół.

Płasczyzną, na której musimy skupiać ludzi przeciwnych zagładzie rodziny, Kościoła, państw narodowych i zachodniej kultury, są patriotyzm oraz zdrowy rozsądek. Tu spotykają się ze mną Sajnog, Major i Brylu.

BÓJ O WIĘKSZĄ STAWKĘ

Publicyście wolno wszystko, zatem nie wzywam Cię, byś złagodził swoje tezy, dopasowując się do wspólnoty. Zastanów się jednak, czy rzeczywiście chcesz z niej wyjść. Krzyczącą przestrogą są losy kapłanów, którzy zaczęli na łamach „Gazety Wyborczej” atakować Kościół. Większość z nich już zdradziła swe powołanie, odrzucając kapłaństwo. Dla Norwida zerwanie komunikacji z polskim odbiorcą było początkiem degradacji jego geniuszu; oczywiście nie porównuję nikogo do tego XIX-wiecznego giganta, pokazuję go jedynie jako najlepszą ilustrację szkód, które wyrządza twórcy porzucenie swej wspólnoty.

Zwykło się mówić, że PiS jest partią konserwatywną obyczajowo, o programie socjalnym. Ty mówisz, że PiS nie jest

partią konserwatywną, i opowiadasz, jak zawiodłeś się na tej partii: „Przed wszystkim z powodu aborcji. I nie jest ważne, że tamci odrzucili projekt w pierwszym czytaniu, a ci łaskawie dopuścili do drugiego czytania i dopiero potem odrzucili. Obiecywali większą obronę życia i nie dotrzymali słowa”. Opisujesz fakty, trudno się z nimi nie zgodzić. Tyle że zderzenie PiS z PO nie jest pojedynkiem konserwatystów z progresistami. To bój o wiele większą stawkę.

Mówisz dalej: „Druga rzecz to reforma sądownictwa. Z punktu widzenia katolickiego konserwatysty pisowskie zmiany są szkodliwe. Mielśmy konserwatywny Trybunał Konstytucyjny, który pod przewodnictwem prof. Zolla zablokował aborcję z przyczyn społecznych. Kolejny konserwatywny Trybunał pod przewodnictwem prof. Rzeplińskiego – krótko przed rozwiązaniem go przez PiS – potwierdził prawo lekarzy do klauzuli sumienia. I to w bardzo mocnym orzeczeniu. Dzięki temu lekarz ma prawo odmówić aborcji albo przepisania tabletek antykoncepcyjnych i nie musi wskazywać pacjentowi innego lekarza, który to zrobi. To wszystko były świet-

ne orzeczenia. PiS to zepsuł”. I znów: wiele osób się z Tobą zgodzi. Jednak jeśli przyjrzeć się sprawie, trudno sprzeciwić się opinii, że PiS jest najbardziej konserwatywną partią z tych, które liczą się na polskiej scenie politycznej i mogą wpływać na prawodawstwo.

Oznacza to, że w imię swojego konserwatyzmu zrównujesz Platformę Obywatelską, partię głoszącą program skrajnie „lewicowy” (akceptację tzw. związków partnerskich czy wręcz „małżeństw homoseksualnych”), z partią powstrzymującą zalewające nas fale tęczowej rewolucji. Niedoskonałą, a czasami wręcz odpychającą. Jednak jedyną liczącą się po tej stronie barykady.

Masz prawo do każdej opinii. Pamiętaj jednak, że głosisz je w gazecie walczącej od 30 lat z Kościołem, pragnącej wprowadzić radykalnie rewolucyjny program w życie i promującej na swych łamach polityka, który publicznie przyznał się do molestowania pięcioletnich dziewczynek, traktując owo molestowanie jako wyraz zwycięstwa „wolnościowych” i postępowych idei „pokolenia '68”. „Gazeta Wyborcza” jest forpczą imperium zła. Tubą tęczowej rewolucji, a szerzej: instytucją

REKLAMA

Celtic Woman
ANCIENT LAND

GRAMMY AWARD NOMINEE

KONCERTY

4 LISTOPADA 2019 - SALA ZIEMI POZNAŃ CONGRESS CENTER
6 LISTOPADA 2019 - DOM MUZYKI I TAŃCA ZABRZE

BILETY: PRESTIGEMJM.COM

celticwoman.com

ALBUM JUŻ W SPRZEDAŻY

Prestige
MJM

wprost

DO RZECZY

WP

VIXON

PRESS SERVICE
monitoring media

pap

chopin

■ antykultury. Publikując w niej, stawiasz się po drugiej stronie najistotniejszego dziś frontu. Wojna o przyszłość świata toczy się bowiem pomiędzy kulturą a antykulturą, Kościołem i antykościołem, paradygmatem chrześcijańskim a nową globalną etyką, która przeniknęła już w struktury państw Zachodu i całkowicie zainfekowała kulturę. Stajesz po stronie cichej rewolucji.

Parę tygodni temu odniosłem się na Twitterze do zarzucanej PiS zdradzie wartości katolickich. I postawiłem rządzącym warunek (wiem, że to dość śmieszna sytuacja): zdelegalizowanie aborcji eugenicznej w trzy miesiące po wyborach oraz, w ciągu roku, zerwanie konwencji stambulskiej i usunięcie wszystkich implementowanych już w polskie struktury prawne, a zaczerpniętych z UE, ideologicznych pomysłów rozbijających fundamenty cywilizacji zachodniej.

Powstało imperium zła, a barbarzyńcy to nie tylko ci, którzy szturmują mury miasta, o wiele groźniejsi są barbarzyńcy wewnątrz. Zbudowali oni porządek społeczno-moralny świata alternatywny do dotychczas istniejącego, chrześcijańskiego. Według niego Kosmos pozbawiony jest Boga, człowiek zdegradowany został przez Herberta Marcuse’a do bytu zwierzęcego. To wszechświat „uwolniony” od uporządkowania, Arystotelesowej formy, będącej istotą porządku ontycznego. I wreszcie jest to świat „totalnej sekularyzacji” głoszonej przez Theodora Adorno.

W świecie ponowoczesnym wróg jest ulotny, ukryty, istnieje wewnątrz instytucji, przeddefiniował wszystkie pojęcia, ma „przyjazne” oblicze, jest rozproszony, niespójny, subtelny, cichy. Opiera się na miękkich strategiach, oddolnych, kulturowych, nieformalnych i wewnętrznych. Globalna dyktatura relatywizmu,

cywilizacji”. Nie zauważyłem u Ciebie cienia wątpliwości, że jest to śmiertelne zagrożenie dla cywilizacji miłości, którą każdy katolik jest zobowiązany na tym świecie budować.

Rozmowa z Tobą ukazała się równolegle z atakiem Szymona Hołowni na Kościół w Agorowym „Tygodniku Powszechnym”. Już od dłuższego czasu jesteś bohaterem „Gazety Wyborczej”: „Antyszczepionkowcy i Tomasz Terlikowski mogą się cieszyć. W polskich aptekach zabrakło szczepionek przeciwko wirusowi wywołującemu raka szyjki macicy...”, „Terlikowski: Igły w dłoń i dziurawimy prezerwatywy”, „Wierni są podzieleni, jak reszta społeczeństwa – Tomasz Terlikowski w Crash Teście zdradza, kogo popierają polscy biskupi”, „Czy pontyfikat Franciszka jest zagrożeniem dla wiary i Kościoła katolickiego? Tomasz Terlikowski o sytuacji Kościoła...”, „Prasowanie Wielowiejskiej: Muszę oddać sprawiedliwość Terlikowskiemu, o filmie Sekielskich miał zdanie jednoznaczne...”.

W swej inteligencji oczywiście wiesz, że to wieloletnie zainteresowanie wywołane jest nie tylko potrzebą wyrazistego wroga, to próba werbunku. Znana mi z własnego doświadczenia, a o podobnych próbach opowiadały mi dwie wiarygodne osoby, naprawdę znaczący publicysta oraz pisarz.

Ja jednak, wbrew obawom wielu, jestem całkowicie spokojny o Ciebie. Niemożliwe jest bowiem, abyś podjął jakąkolwiek formę współpracy ze wspólnotą strachu, w której hołubiony jest Lesław Maleszka, konfident i współpracownik zbrodniczej Służby Bezpieczeństwa. Jak sądzą ludzie pamiętający lata 70. w Krakowie, ma on najprawdopodobniej na rękach krew swojego przyjaciela. Niemożliwe jest, abyś mógł współpracować z redakcją, której członkowie uważają nie zdegradowanego wojskowego, Czesława Kiszcza, za człowieka honoru, podobnie jak niezdegradowanego Wojciecha Jaruzelskiego, mordercę walczącej o wolność Czechosłowacji, wykonawcę czystek w wojsku, które wyrzuciły poza Polskę wielu Żydów. Nie wyobrażam sobie Twojej współpracy z redakcją dopuszczającą się regularnych ataków na Polskę i polskość, opluwającą powstańców warszawskich i Żołnierzy Niezłomnych.

Po prostu.

Pozdrawiam Cię serdecznie.

„Gazeta Wyborcza” jest antykatolicka par excellence, od 30 lat dąży do rozbicia polskiej wspólnoty narodowej oraz Kościoła

Rachunek jest bowiem prosty. Jeśli PiS swą niekonserwatywną polityką obyczajową doprowadzi do powstania na prawo od siebie siły politycznej przekraczającej zdecydowanie próg wyborczy, straci zdolność do samodzielnych rządów. Skończy się też tym samym możliwość prowadzenia polityki powstrzymywania ideologicznej ofensywy z Zachodu i imperialnych nacisków ze Wschodu.

DYKTATURA DEKONSTRUKCJI

Frapująco w przywoływanym wywiadzie opowiadasz o opresji globalnych konsorcjów, o świetnych lewicowych rozwiązaniach związanych z ochroną małżeństwa w socjalistycznej Norwegii, zastanawiasz się jednak, i jest to dla Ciebie tajemnica, jak ci sami ludzie mogą to łączyć z usypianiem staruszków i zabijaniem dzieci nienarodzonych. Wy tłumaczenie jest proste. Sumienia ludzi Zachodu zostały już sformatowane według reguł innego paradygmatu niż uniwersalizm chrześcijański. Antykultura, która przeżarła jak pleśń zachodnią kulturę, unieważniła wszystkie dotychczasowe rozróżnienia. Formuje sumienia ludzi w taki sposób, że nie są w stanie rozróżnić dobra i zła.

antykultura, zdekonstruowała obraz człowieka, Boga i natury. Pozbawiła „gęstości” wszystkie pojęcia, którymi się posługujemy. Trzydzieści trzy lata temu nazwałem ten stan nibytem (bo nie jest to ani byt, ani niebyt). Antykultura, czyli dyktatura dekonstrukcji, została światu narzucona bez użycia przemocy, poprzez zmiany kulturowe. I świat jest wobec niej jak dotąd całkowicie bezbronny.

Wracając do Twojej rozmowy z Grzegorzem Sroczyńskim. Zastanawiałem się, skąd tak mocne oburzenie na ten wywiad wśród wielu porządnym ludzi. Sądzę, iż bierze się to stąd, że przez lata dla moich przyjaciół i wielu innych osób byłeś kimś w rodzaju intelektualnego repera, punktu odniesienia. I dlatego teraz tak wielu odbiera to, co mówisz, jako zdradę.

„Gazeta Wyborcza” jest antykatolicka par excellence, od 30 lat dąży do rozbicia polskiej wspólnoty narodowej oraz Kościoła. Promowane w niej ideologie gender, ruchu LGBT, trzeciej fali feminizmu uderzają w podstawowe dla wspólnoty Zachodu więzi. „Gazeta Wyborcza” jest krążownikiem tego imperium zła, o którym rozmawiamy co parę tygodni w Polskim Radiu 24, w audycji „Wojna

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Na tydzień odpowiedź
Tomasza P. Terlikowskiego.

Już 23 września w **DO RZECZY** dodatek



DODATEK SPECJALNY CZĘŚĆ II

Zbrodnie niemieckie

- Intelligenzaktion 1939, zagłada elit
- Generalplan Ost, eksterminacja narodu
- Krew i łzy Zamojszczyzny
- Powstanie '44 i rzeź Woli



Organizatorzy:



Współfinansowane ze środków Funduszu Sprawiedliwości, którego dysponentem jest Minister Sprawiedliwości

MINISTERSTWO
SPRAWIEDLIWOŚCI
www.ms.gov.pl



FUNDUSZ
SPRAWIEDLIWOŚCI



Ścieżka kariery dla jednomyślnych



Tomasz Rowiński

Razem z ogłoszeniem przez papieża Franciszka nominacji 13 nowych kardynałów doszło w Kościele katolickim do być może przełomowego momentu, w którym realnie waży się jego przyszłość

Od 5 października większość kolegium kardynalskiego, które spotka się w przyszłości na konklawe, będą tworzyć osoby wybrane przez obecnego papieża. Dla czego akurat za pontyfikatu Franciszka ten moment jest tak istotny, przecież Jan Paweł II nominował w czasie swojego długiego pontyfikatu aż 231 kardynałów? Głównie dlatego, że Franciszek, jak pisał w 2016 r. liberalny jezuicki komentator Thomas Reese, ze sposobu dobierania kardynałów uczynił jedno z najbardziej rewolucyjnych narzędzi zarządzania Kościołem. Reese dodawał wtedy jeszcze, że gdyby był konserwa-

tywnym katolikiem, zareagowałby na to oburzeniem.

Trudno się dziwić. Jan Paweł II dobiegał do kardynatu rozmaitych duchownych, byli wśród nich m.in. uchodzący za liberałów kardynałowie Bernardin, Danneels, Laghi, Martini, Mahony, Silvestrini, Turkson, Kasper, McCarrick, Maradiaga, Hummes, Lehmann i wreszcie Bergoglio. Tymczasem Franciszek działa według zasady, którą przekazał mediom o. Adolfo Nicolás, były generał jezuitów. Bergoglio miał powiedzieć, że ma nadzieję pozostać papieżem dopóty, dopóki „zmiany nie będą nieodwracalne”. Wypełnienie kolegium kardynałów podobnie myślącymi wyborcami jest oczywistym krokiem w tym kierunku. Sytuację tę potwierdza w swoim komentarzu do obecnych nominacji znany amerykański watykanista John Allen, który na portalu cruxnow.com napisał, że jest to konsystorz, na którym Franciszek podnosi grupę podobnie myślących duchownych, aby pomogli mu dalej rozwinąć swój plan, ale także by mieć pewność, że następny papież, ktokolwiek nim zostanie, nie będzie skłonny do wycofania się z wprowadzanych teraz zmian.

Być może najbardziej wymowną nominacją kardynalską z tych ostatnio ogłoszonych przez papieża Franciszka jest ta dla Matteo Zuppiego, w latach 2012–2015 biskupa pomocniczego diecezji rzymskiej, potem metropolity bolońskiego. Na jego temat można już przeczytać kilka hagiograficznych historii. Przede wszystkim, że jest biskupem ubogich i bezrobotnych, a także że zapytany kiedyś, gdy jeszcze był szeregowym księdzem, gdzie chciałby pracować, miał odpowiedzieć, iż interesuje go parafia możliwie marginalna i z możliwie dużymi problemami. Można też trafić na historię o tym, jak uciekł z domu, by zostać księdzem. Za tymi romantycznymi i wzruszającymi obrazkami stoją też jednak inne. Na wieść o nominacji dla Zuppiego ks. James Martin SJ, najbardziej wpływowy i aktywny obecnie lobbysta na rzecz wprowadzenia w Kościele nauczania na temat homoseksualizmu sprzecznego z Objawieniem Bożym, napisał w mediach społecznościowych: „Papież Franciszek mianował kardynałem również abp. Matteo Zuppiego z Bolonii! Jest wielkim zwolennikiem katolików LGBT i napisał przedmowę do włoskiej wersji mojej książki »Building a Bridge«”.

Współkonsekratorem przy sakrze biskupiej Zuppiego był abp Vincenzo Paglia, w przeszłości przewodniczący Papieskiej Rady ds. Rodziny (w latach 2012–2016), a obecnie od 2016 r. przewodniczący Papieskiej Akademii Życia, jednej z głównych instytucji rzymskich rozwijających i popularyzujących katolicką etykę. Sądząc po tym, co się dzieje w instytucie, Paglia został skierowany na ten odcinek przez papieża dla dewoizacji tej instytucji, a w praktyce dekatolizacji jej nauczania. Całkowicie jawnie niedawno tę koncepcję wyłożył na łamach „Tygodnika Powszechnego” Edward Augustyn, ogłaszając równocześnie wyższość decyzji papieża nad treściami katolickiego, a zatem i Chrystusowego nauczania. Dzisiaj wiadomo już o przynajmniej kilku nowo zatrudnionych w instytucie akademikach, że są zwolennikami aborcji, o innych zaś, że podążają za zrywającymi z katolicką tradycją interpretacjami adhortacji „Amoris laetitia”. Chodzi tu oczywiście o dopuszczenie do komunii świętej osób żyjących w ponownych związkach, które jednak wcześniej zawarły ważny związek małżeński. Paglia wezwał też ostatnio do redefinicji pojęcia życia. Arcybiskup Paglia jest znany z jeszcze jednego dokonania – w swoim katedralnym kościele zlecił stworzenie homoerotycznego muralu, na którym sam występuje jako półnagi mężczyzna. Widać zatem, że najbliższymi współpracownikami papieża zostają osoby o określonych poglądach, pozostające już wcześniej w pewnych wzajemnych relacjach.

„AMORIS LAETITIA” WEDŁUG WSPÓLNOTY ŚW. IDZIEGO

Jeśli chodzi o wagę relacji, to trzeba dodać, że sławę „biskupa ubogich” Zuppi zyskał dzięki związkom ze Wspólnotą św. Idziego (Sant’Egidio), znaną głównie z pracy charytatywnej, a znacznie mniej znaną – niesłusznie – z zaangażowania w politykę kościelną. Jej lider i założyciel Andrea Riccardi w 2014 r. na portalu Vatican Insider w radykalnym tonie nawoływał do zmian personalnych w kierownictwie Kurii Rzymskiej. Mówił on wtedy, że papież Franciszek odziedziczył kierownictwo Kurii Rzymskiej po Benedykcie XVI i że właśnie w tych szeregach napotyka on najsilniejszy opór wobec zmian. Podkreślał też, że reforma kurii nie może się ograniczyć do reorganizacji dykasterii, ale że papież Bergoglio potrzebuje współpracowników, którzy byłiby z nim w zgodzie.

Chociaż zmiany personalne w Kurii Rzymskiej są czymś naturalnym, to wręcz ciśnie się na usta pytanie, jakich to zmian tak poważnymi przeciwnikami mogli być „ludzie Benedykta XVI”, papieża, który wchodzi do historii jako być może największy współczesny obrońca wiary katolickiej i jej spójności z wiarą minionych wieków oraz Objawieniem.

Wspólnota św. Idziego stoi m.in. za tzw. międzyreligijnymi spotkaniami w Asyżu, pierwsze z nich odbyło się w roku 1986 z inicjatywą Jana Pawła II i było krytykowane szczególnie za synkretyzm religijny rozmywający granice pomiędzy katolicyzmem a religiami pogańskimi. Jednak Sant’Egidio kontynuuje aktywność „w duchu Asyżu”. Do tej krytyki dołączył się wówczas także ówczesny prefekt Kongregacji Nauki Wiary kard. Ratzinger, pisząc studium o niemożliwości modlitwy międzyreligijnej. Ta reakcja przyszłego papieża nie dziwi, skoro w jednym ze swoich najważniejszych artykułów z czasów prefektury to właśnie relatywizm religijny określił najpoważniejszym problemem współczesnej teologii. Tymczasem ten relatywizm wciąż pojawia się w działaniach i słowach bliskich współpracowników papieża Franciszka – czy to w sprawie nierozzerwalności małżeństwa, homoseksualizmu, dialogu ekumenicznego czy międzyreligijnego. Wspólnota Sant’Egidio, do której należy Zuppi, jest dobrym przykładem ducha obecnego pontyfikatu. Sam Franciszek chętnie mówi o trudnym do pogodzenia z Bogiem chrześcijan „bogu niespodzianek”. Także w Polsce Wspólnotą św. Idziego bardziej interesują się i promują ją osoby kojarzone z obroną niekatolickiej interpretacji „Amoris laetitia” czy ze wspieraniem politycznego ruchu homoseksualnego.

PRZETRWA KOŚCIÓŁ WIERZĄCY

Inni nominaci dobrani przez papieża Franciszka również nie odbiegają od klucza, który czasem bez związku z rzeczywistą treścią ostatniego soboru określa się chwytliwym hasłem „konieczności dokończenia reform Soboru Watykańskiego II”. Trzech z nich (Czerney, Hollerich i Tamkevičius) to liberalni jezuici. Hollerich i Zuppi są znanymi kościelnymi liberałami. Tolentino de Mendonça napisał pochwalne wprowadzenie do książki s. Marii Teresy Forcadę, która jest znana z tego, że popiera legalną aborcję i wyświęcanie kobiet

na księży. Ciekawym przypadkiem jest Fitzgerald, który swego czasu został usunięty ze swojego watykańskiego stanowiska przez papieża Benedykta; czerwony kapelusz jest znakiem, że jego poglądy – w tym linia pojednawcza w dialogu katolicko-islamskim – są teraz mile widziane w Rzymie. Warto również zauważyć, że obecny przewodniczący papieskiej Rady ds. Dialogu Międzyreligijnego (urząd, który niegdyś pełnił Fitzgerald), bp Miguel Ángel Ayuso Guixot, również otrzymał czerwony kapelusz, na znak wagi, jaką przywiązuje papież Franciszek do jego wysiłków.

O tym, że w Rzymie prowadzony jest bezwzględny marsz przez instytucje, świadczy także niedawne przywrócenie do łask ks. Daria Viganò, jakiś czas temu przyłapanego na manipulowaniu listem Benedykta XVI, który odmówił napisania refleksji na temat zbioru tekstów o teologii obecnego papieża, ponieważ jednym z autorów tego zbioru był Peter Hünermann znany z kontestacji nauczania dwóch poprzednich pontyfikatów.

Czy to wszystko oznacza, że Kościół czeka długie dziesięciolecia coraz większego zamętu w sprawach wiary i moralności? Bóg i historia zwykle uczą pokory człowieka w jego dalekosiężnych planach. Nie byłoby zatem dziwne, gdyby i wśród licznych już kardynałów z nadania papieża Franciszka byli cisi sceptycy. Samo umacnianie struktur nie zapobiegło ostatecznie upadkowi żadnej z dyktatur przeszłości. Być może też Franciszek ze swoimi następcami doprowadzą do upadku Kościoła, który znamy. Wtedy jednak upadnie przede wszystkim Kościół zbratany ze światem, ten, który teraz pod papieskim przewodem zdaje się triumfować, a przetrwa Kościół wierzący. Po co bowiem należeć do Kościoła, gdy nie wiadomo, w co on wierzy, lub gdy jego wiara nie różni się od opinii „tego świata”? A do takiej sytuacji prowadzi nas obecny „postęp”. Przykładem tej właśnie dynamiki jest znikanie zmodernizowanych żeńskich zgromadzeń zakonnych w Stanach Zjednoczonych i rozwój tych, które wybrały przywiązanie do duchowej tradycji katolicyzmu. Zatem brak kardynalskich kapeluszy dla polskich biskupów jest pod pewnymi względami dobrym znakiem, ważniejsze bowiem od posiadania oznak władzy kościelnej jest zachowanie depozytu wiary.



Okolicznościowy znaczek z obiegu podziemnego, lata 80.

FOT. OŚRODEK KARTA

Nielegalny 17 września



Grzegorz Majchrzak

Przed 1989 r. opozycja przypominała o tym, że Sowietci w 1939 r. wbili Polakom nóż w plecy

17 września nie był w Polsce Ludowej zwykłym dniem. I nie ma w tym nic dziwnego, jeśli uwzględnimy, że w 1939 r. właśnie tego dnia granicę II Rzeczypospolitej przekroczyła armia sowiecka. Stało się tak na podstawie paktu Ribbentrop-Mołotow z sierpnia 1939 r. Fakt ten popularnie określano – oczywi-

ście jedynie w rozmowach prywatnych – mianem noża w plecy. Nie było mowy o oficjalnych obchodach tej smutnej rocznicy, z wyjątkiem jednego miejsca – kościołów. Długo zatem msze święte ku czci ofiar kampanii wrześniowej czy pomordowanych na Wschodzie były jedyną okazją do rocznicowych obchodów. Zmieniło się to wraz z powstaniem w drugiej połowie lat 70. opozycji.

DZIEŃ PAMIĘCI NARODOWEJ

W maju 1979 r. jeden z czytelników bezdebitowej „Opinii” (ukrywający się pod inicjałami C.A.) zaproponował, aby dzień 17 września proklamować Dniem Pamięci Narodowej. Jak pisał: „Ofiarom faszyzmu poświęcamy miesiąc, miejmy choć dzień dla ofiar bolszewizmu”.

Niestety, jego wezwanie do środowisk kombatanckich oraz środowisk opozycyjnych ustanowienia takiego dnia nie doczekało się realizacji. Co nie oznacza, że działacze opozycji nie pamiętali o rocznicy sowieckiej inwazji na II RP. Sprzyjało temu to, że w 1979 r. przypadała jej okrągła 40. rocznica.

Największym chyba echem w kraju i na świecie odbiło się specjalne, okolicznościowe oświadczenie Komitetu Samoobrony Społecznej „KOR”. Przedrukowała je opozycyjna prasa, a – przede wszystkim – nagłośniły media zachodnie, w tym polskie stacje radiowe (na czele z Radiem Wolna Europa). Przypominano w nim, że II wojna światowa zaczęła się nie tylko od agresji hitlerowskich Niemiec na Polskę w dniu

1 września, lecz także od zaatakowania naszego kraju przez Związek Sowiecki 17 września. Wyliczano w nim zbrodnie sowieckie wobec Rzeczypospolitej i jej ludności. Przypominano, że „rząd ZSRS nie uznał stalinowskiego reżimu” winnym tych zbrodni, a tym bardziej nie podjął ścigania ich sprawców. Stwierdzano, że „zbrodnie ludobójstwa popełnione przez ZSRS muszą zostać wyświetlone i podane do wiadomości publicznej”. Jak przy tym dodawano: „Obowiązek ten spada także na władze PRL”. Na to jednak jeszcze przez wiele lat nie było szans. Dopiero 10 lat później minister Aleksander Hall, członek rządu, na którego czele stał pierwszy niekomunistyczny premier Tadeusz Mazowiecki, mógł stwierdzić: „Jutro mija 50. rocznica wkroczenia wojsk radzieckich do walczącej z hitlerowskim najeźdźcą Polski. Po latach milczenia w tym roku rocznica ta będzie obchodzona w Polsce, która się zmienia”.

„ELEMENTY ANTYSOCJALISTYCZNE”

W 1979 r. okolicznościowe oświadczenie wydał nie tylko KSS „KOR”;

Według działacza KOR Adama Michnika związkowcy mieli niepotrzebnie eksponować prawdę o 17 września i Katyniu

podobne oświadczenia i apele przygotowały również Konfederacja Polski Niepodległej, Komitet Porozumienia na rzecz Samostanowienia Narodu oraz Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela. Opozycja nie ograniczyła się do okolicznościowych oświadczeń, artykułów i dyskusji (w tym ostatnim przypadku warto wymienić polemikę wokół artykułu Jerzego Łojka na łamach „Głosu”), zorganizowała również niezależne i oczywiście nielegalne obchody 17 września. Jak stwierdzano później w MSW: „Elementy antysocjalistyczne, głównie ze środowiska nowo powołanej KPN oraz innych odłamów środowiska ROPCiO, przygotowywały spektakularne imprezy o wybitnie antyradzieckim charakterze w Warszawie, Gdańsku,

Łodzi i innych ośrodkach kraju, planując manifestacyjne przemarsze, składanie wieńców w miejscach pamięci narodowej, kolportaż okolicznościowych materiałów propagandowych”.

W 1980 r. kolejna rocznica sowieckiej inwazji na Polskę została zepchnięta w cień przez bieżące wydarzenia polityczne, głównie tworzenie się legalnie działającej Solidarności. Nie znaczy to, że rocznica „noża w plecy” była dla działaczy NSZZ „Solidarność” wydarzeniem nieważnym. Wręcz przeciwnie – według działacza KOR, a w latach 1980–1981 doradcy mazowieckiej Solidarności Adama Michnika – związkowcy mieli niepotrzebnie eksponować prawdę o 17 września i Katyniu. Rok 1981 był rzeczywiście pewnym wyłomem, bo związkowcy jawnie organizowali obchody rocznicowe. I tak np. w Bydgoszczy delegacja Solidarności złożyła na Starym Rynku wieńce pod pomnikiem Walki i Męczeństwa. W uroczystości brało udział ok. 300 osób, zgromadzeni odśpiewali „Rotę” i się rozeszli. W nocy „nieznani sprawcy”, czyli funkcjonariusze SB, usunęli kwiaty.

Z kolei działacze związku z Gorzowa Wielkopolskiego przygotowali

REKLAMA



Źródło: Radio Track, Kantar Polska, 04-06 2019, audytorium średniego kwadransu (kwadrans z audycją), dni powszednie.

ROBERT MAZUREK – zapraszam o 8:02

PORANNA ROZMOWA NR 1

■ i kolportowali (na terenie regionu oraz w Gdańsku podczas I Krajowego Zjazdu Delegatów) plakaty nawiązujące do 42. rocznicy wkroczenia wojsk sowieckich do Polski. Ich autorem był Jan Wielgosz, zresztą delegat na I KZD. Jeszcze inny pomysł mieli działacze Komisji Zakładowej Oświaty i Wychowania NSZZ „Solidarność” Regionu Bieszczadzkiego, którzy postanowili zorganizować specjalne lekcje w szkołach na temat agresji sowieckiej z 1939 r. Ponadto w Ustrzykach i okolicznych miejscowościach rozkolportowano znaczną liczbę materiałów dotyczących tych wydarzeń. Podobnie jak wcześniej odprawiane były również okolicznościowe nabożeństwa, np. w kościele św. Aleksandra na pl. Trzech Krzyży w Warszawie „za

uczestnicy tych uroczystości spokojnie się rozeszli, zatrzymano 13 „najbardziej aktywnych uczestników zgromadzenia”. Oczywiście o rocznicy pamiętano również w innych regionach kraju, np. na Górnym Śląsku. Na terenie Kopalni Węgla Kamiennego „Siersza”, Huty „Zygmunt” oraz KWK „Bobrek” rozrzucono ulotki nawiązujące do 17 września 1939 r.

Skromne były również kolejne obchody rocznicowe. I tak np. w 1984 r. ograniczono się praktycznie do złożenia kwiatów na cmentarzach. Doszło do tego w Warszawie i Płocku. W stolicy już tradycyjnie w tzw. dolince katyńskiej. Tym razem jednak – w wyniku interwencji „służb porządkowych” – nie wszystkim się to udało, wieniec

nych nie udało się nagrać jego kazania. Na zdecydowanie większą skalę księża do rocznicy 17 września nawiązywali w 1988 r. – w ich gronie znalazł się nawet sufragan tarnowski bp Władysław Bobowski, który odprawiał mszę w miejscowości Radłów. W tym samym roku w klasztorze Redemptorystów w Zamościu wykład na temat stosunków polsko-sowieckich, głównie w kontekście wydarzeń z 1920 i 1939 r., wygłosił historyk Zygmunt Łupina.

Przy okazji kolejnych rocznic 17 września pojawiały się również „wrogie napisy” na murach. I tak np. w nocy z 16 na 17 września 1979 r. nieznani sprawcy na murze sowieckiej misji wojskowej w Warszawie napisali: „Przypominamy rok 1939”. Z kolei od 1987 r. takie napisy na koszarach wojsk sowieckich w Szczecinie malowali działacze Federacji Młodzieży Walczącej. W pierwszym roku były to: „17.IX.1939 napad ZSRR na Polskę”, „Mord katyński pamiętamy” i „42 lata pod okupacją”.

Kolejne większe obchody rocznicy 17 września to dopiero rok 1989. Przed nimi namawiano w MSW założyciela i lidera Konfederacji Polski Niepodległej Leszka Moczulskiego do „pacyfikowania agresywności członków KPN” oraz zadbania o spokojny przebieg okolicznościowej demonstracji, zwłaszcza pod budynkami ambasad. Nietrudno się domyślić, że chodziło tak naprawdę o jedną z tych ambasad... Nie do końca się to zresztą udało, gdyż w kolejnych informacjach MSW pisano m.in.: „Negatywnie ocenia się manifestacje antyradyckie w kilku miastach organizowane przez radykalne organizacje młodzieżowe oraz ugrupowania pozaparlamentarne”, jako „nieodpowiedzialne i wymierzone w kształtowanie klimatu spokoju i porozumienia w kraju”. Jak nietrudno się domyślić, opinie te pochodziły zapewne z kręgów PZPR.

W związku z 50. rocznicą „noża w plecy” demonstrowano również 18 września 1989 r. I tak np. Konfederacja Polski Niepodległej zorganizowała wiec na rynku w Rybniku, w którym w ocenie SB miało uczestniczyć ok. 150 osób. Podobny miting – również zorganizowany przez KPN – miał miejsce w Bydgoszczy, przed Domem Handlowym „Rywał”. Po nim ok. 150 osób przeszło pod pomnik Walki i Męczeństwa, gdzie odśpiewało „Rotę”. Notabene w tych i innych przypadkach demonstracje zakończyły się spokojnie. © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest pracownikiem Biura Badań Historycznych IPN.

Przed obchodami w 1989 r. namawiano lidera KPN o zadbanie o spokojny przebieg demonstracji, zwłaszcza przed ambasadami

duże poległych i pomordowanych w obronie Ojczyzny”.

Wprowadzenie w nocy z 12 na 13 grudnia 1981 r. stanu wojennego spowodowało, że kolejne obchody rocznicowe znowu były nie tylko nielegalne, lecz także zdecydowanie zwalczane przez „organa porządkowe”.

OKOLICZNOŚCIOWE AUDYCJE

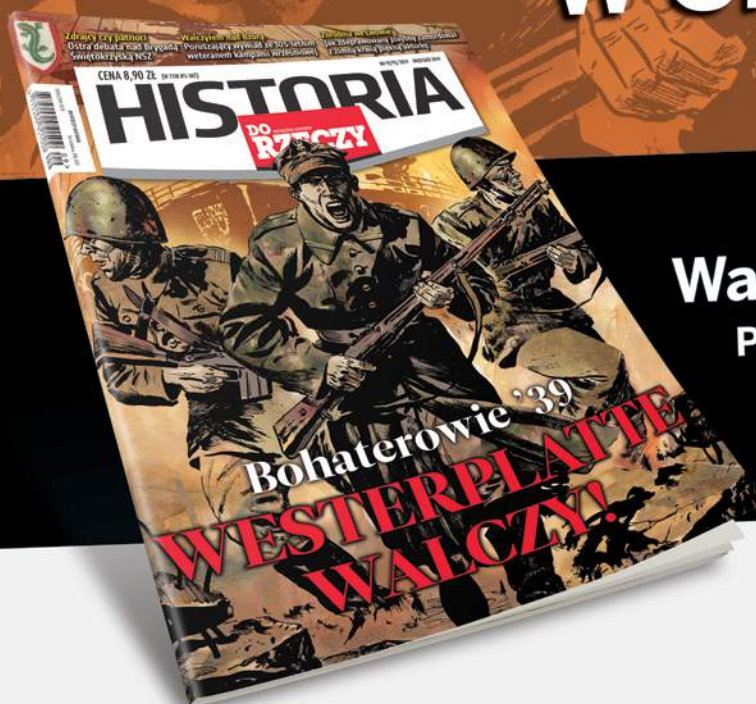
To wtedy zresztą, dokładnie w 1982 r., pojawiło się nowe zjawisko związane z 17 września 1939 r. – okolicznościowe audycje podziemnej radiofonii, głównie Radia „Solidarność”. Tak było np. w Poznaniu. W wyemitowanej dwukrotnie 16 września 1982 r. 10-minutowej audycji oprócz tej rocznicy pojawiły się również inne tematy związane z II wojną światową – Katyń, kwestia pomocy dla Powstania Warszawskiego.

W 1982 r. obchody rocznicowe były skromne. Według danych SB praktycznie miały one miejsce jedynie na cmentarzu Powązkowskim w Warszawie. Tam w tzw. dolince katyńskiej zebrało się – według funkcjonariuszy – 150 osób. Krótkie kazanie „o treści wspomnieniowo-religijnej” wygłosił ks. Antoni Czajkowski. Zgromadzeni złożyli kwiaty i zapalili znicze, a następnie odśpiewali „Boże, coś Polskę” oraz „hymn Solidarności”. Mimo że

odebrano działaczom Obywatelskiego Komitetu Budowy Pomnika Ofiar Zbrodni Katyńskiej. Pojawiła się też nowa forma uczczenia tej rocznicy: tzw. milczące przerwy zorganizowane m.in. w poznańskich szkołach. O 17 września 1939 r. przypominała też prasa podziemna.

Z czasem obchody kolejnych rocznic sowieckiej agresji na Polskę powróciły do kościołów. I tak np. 15 września 1985 r. w kościele pw. św. Karola Boromeusza w Warszawie okolicznościowe nabożeństwo w intencji poległych i pomordowanych na Wschodzie odprawił ks. Teofil Bogucki. Kazanie wygłosił ks. Stefan Niedzielak, który przypomniał, że 17 września jest rocznicą napadu ZSRR na Polskę. W trakcie mszy aktorka Hanna Skarżanka recytowała wiersz, w którym – jak stwierdzała potem SB – „oskarża się ZSRR o znęcanie się nad polskim narodem”. Po zakończeniu nabożeństwa grupa ok. 150 osób wyszła z kościoła i pod krzyżem „Poległym na Wschodzie” złożyła kwiaty. Dwa dni wcześniej w Nowym Targu w kościele św. Katarzyny w trakcie nabożeństwa w intencji ojczyzny kazanie wygłosił ks. Andrzej Zwoliński. Nawiązał w nim do napadu Sowietów na Polskę w 1939 r. Oskarżał ich o wymordowanie 2 mln Polaków i „porównywał komunizm do brunatnego faszystu”. Co ciekawe, esbekom z przyczyn technicz-

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



Walczyłem nad Bzurą!
Poruszający wywiad ze 105-letnim
weteranem kampanii 1939 r.

Maciej Rosalak – **Westerplatte walczy!**
Jacek Komuda – **Sucharski kontra Dąbrowski**
Roger Moorhouse – **Jak Anglia i Francja zdradziły Polskę**
Zaremba kontra Karbowski – **Debate nad Brygadą Świętokrzyską**
Krzysztof Masłoń – **Nowak-Jeziorański: mściwy i bezwzględny**
Sławomir Koper – **Miłosna zbrodnia we Lwowie**
Mikołaj Iwanow – **Sowiecki agent w powstańczej Warszawie**
Rafał A. Ziembkiewicz – **Chałat i pejsachówka**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**



PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Czerwone łgarstwo

Jak przybyszowi z innej planety wytłumaczyć w jednym zdaniu, czym był bolszewizm? Odpowiedź jest prosta. Był to system wszechobecnego, ordynarnego kłamstwa. System odwróconych znaczeń. Czarne jest białe, a białe jest czarne. Wymownym tego symbolem jest nazwa głównego organu prasowego bolszewików. Otóż najbardziej załgana, zakłamana gazeta w dziejach ludzkości została przez nich nazwana... „Prawdą”.

O wszystkich łgarstwach bolszewików można by napisać grube tomy. Znakomity znawca Związku Sowieckiego prof. Wojciech Materski postanowił zająć się pięcioma z nich. Pięcioma wielkimi kłamstwami Lenina, które utworzyły mu drogę do władzy:

1. pokój ludom,
2. samostanowienie narodom,
3. władza proletariatu,
4. ziemia chłopom,
5. równouprawnienie kobiet.

Profesor Materski słusznie wskazuje, że wszystkie te hasła pozostały na papierze. A raczej na krzykliwych, czerwonych płótnach wywieszanych w trakcie agitacyjnych wieców. Gdy tylko bolszewicy umocnili swoją władzę, wszystkie własne obietnice podesptali.

1. Żywiołem bolszewizmu była krwawa wojna.

2. Bolszewizm chciał ujarzmić wolne narody świata i narzucić im swój obłędny system.
3. W Sowietach nie rządził proletariatus, tylko wąska grupa aparaczków.
4. Bolszewicy brutalnie zagrabilili chłopom ziemię.
5. Równouprawnienie kobiet rzeczywiście wprowadzili, ale równouprawnienie w katorżniczej pracy i nędzy.

Władzy raz zdobytej bolszewicy nie oddali przez dziesięciolecia

Dzięki kłamliwym hasłom bolszewikom udało się zdobyć tyle społecznego poparcia, by przechwycić władzę. A gdy Rosjanie zorientowali się, że dali sobie na szyję kolczastą obrozę – było już za późno. „Jak zapowiedział wódz

– pisze prof. Materski – władzy raz zdobytej bolszewicy nie oddali przez dziesięciolecia, a nie zamierzali oddać nigdy”. Narzędziem do utrzymania się przy władzy był zaś terror, który pochłonął miliony ofiar. Profesor Materski napisał książkę, która może służyć za ostrzeżenie. Nie liczą się piękne hasła, liczą się praktyka. ©©



★★★★★
WOJCIECH MATERSKI
„PIĘĆ KŁAMSTW LENINA”
INSTYTUT STUDIÓW
POLITYCZNYCH
PAN



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Czy Lucyna to dziewczyna?

Nie jest prawdą, że wszystkie filmy z udziałem Eugeniusza Bodo odnoszą sukcesy, a jedną z największych porażek okazała się komedia „Kocha, lubi, szanuje”.

Chociaż wydawało się, że film, w którym w rolach głównych pojawili się Bodo i Loda Halama (ponadto Zula Pogorzelska na drugim planie), skazany był na sukces, to poniósł spektakularną klępkę. Recenzenci ograniczali się wyłącznie do nieśmiałych pochwał pod adresem Halamy, stwierdzając, że była „w doskonałej formie”, a do tego poprawiała dykcję, ale zauważano też, iż „nie wyzyskano należycie tej fenomenalnej tancerki”. Przy okazji dostało się reżyserowi (Michał Waszyński), że po raz kolejny nie potrafił pokazać na ekranie Zuli Pogorzelskiej, która „stała i niezmordowanie” prezentowała w filmach „irytujący typ koczokodanów”.

Niepowodzenie „Kocha, lubi, szanuje” nie załamało Bodo, on nigdy nie patrzył wstecz, dla niego liczyły się tylko dziś i plany na przyszłość. Jego kolejny obraz odniósł oszałamiający sukces, była to komedia „Czy Lucyna to dziewczyna?” (premiera 19 września 1934 r.) w reżyserii Juliusza Gardana. Scenariusz napisał Konrad Tom, muzykę skomponował Wars, a obraz wyprodukowała wytwórnia Blok-Muzafilm.

Bodo wcielił się w postać inżyniera Stefana Żarnowskiego, a partnerowała mu

(w męskim przebraniu) Jadwiga Smosarska. Znakomity, bardzo zabawny scenariusz dał im szerokie pole do popisu, toteż oboje zagrali znakomicie. Do tego doszła rewelacyjna, wykonywana przez Bodo piosenka Warsa, która natychmiast stała się przebojem dzięki udanemu i wpadającemu w ucho refrenowi („O’key”).

Z dużym uznaniem wypowiadano się o „pomysłowym i zręcznym” scenariuszu, a także o zakończeniu filmu, które wprawdzie było całkowicie przewidywalne, ale nie zawiodło oczekiwań widzów. Chwalono reżysera i Mieczysławę Ćwiklińską, która ze swojej roli „stworzyła małe arcydzieło”, jednak najwięcej ciepłych słów kierowano pod adresem głównych bohaterów:

„»Czy Lucyna to dziewczyna?« ma niewyszukaną, lecz zręcznie zarysowaną linię akcji [...] oraz żywo, z werwą i dowcipem poprowadzone dialogi [...]. Miłą niespodziankę sprawili Smosarska i Bodo – zwłaszcza ten ostatni – jakby odczarowani, [...] przekształceni z nieznośnych, napuszonych snobów w prostych, zabawnych, ale miłych ludzi”.

Wszystkie te pozytywne recenzje rozbrzmiewały w czasie, gdy Bodo przygotowywał się już do następnego filmu. Najnowszy obraz miał powstać w jego własnej wytwórni, a on sam planował po raz kolejny zaskoczyć publiczność.

Tahitanka Reri była już w Warszawie... ©©



DODATEK SPECJALNY CZĘŚĆ I

Zbrodnie sowieckie

- Operacja (anty)polska NKWD
- Deportacje Polaków na Syberię
- Zbrodnia katyńska
- Masakry więzienne '41



Partnerzy:

MINISTERSTWO
SPRAWIEDLIWOŚCI
www.ms.gov.pl



FUNDUSZ
SPRAWIEDLIWOŚCI

Organizatorzy:

DO
RZECZY

HISTORIA
RZECZY

FUNDACJA
STRAŻNIK PAMIĘCI

SPIS TREŚCI

70-72 OPERACJA ANTYPOLSKA

Piotr Zychowicz

Operacja polska NKWD była pierwszym ludobójstwem dokonanym na narodzie polskim. NKWD w bestialski sposób zgładziło 200 tys. Polaków

73-75 Z KRESÓW NA ZEŚLANIE

TOMASZ STAŃCZYK

Deportacja osadników i leśników wraz z całymi rodzinami odbyła się w nocy 10 lutego 1940 r., przy temperaturze minus 30–35 stopni

76-77 ZBRODNI KATYŃSKA

MACIEJ ROSALAK

W Katyniu ginął kwiat narodu: znakomici oficerowie służby czynnej i rezerwy. Wielu miało około 40 lat. W 1920 r. rozgromili bolszewików

78-80 1941. ZBRODNI „Z POTRZEBY CHWILI”

BOGDAN MUSIAŁ I PIOTR WŁOCZYK

Pospolitych przestępców zwolniono, natomiast więźniów politycznych NKWD masowo mordowało w więzieniach i „marszach śmierci”

81-83 CZERWONA ZARAŻA 1944–1945

MACIEJ ROSALAK

Bez pomocy sowieckiej PPR nie miała szans na zdobycie władzy, a nawet ujawnienie się w terenie w jakimkolwiek regionie Polski



REDAKCJA:
Redaktor: Maciej Rosalak

Z ZESPOŁEM:
Studio graficzne:
Wojciech Niedziółko (grafik prowadzący),
Anna Sobieska-Wójcisz (grafik),
Jacek Nadratowski (DTP)
Fotoredycja: Edyta Bortnowska,
Przemysław Traczyk
Korekta: Jadwiga Marculewicz-Olaś
Okładka: Muzeum Katyńskie



„Towarzysze broni” – karykatura z francuskiego pisma „Le Rire”, październik 1939 r. FOT. ARCHIWUM



Ludobójstwo z rąk Sowietów



Tym dodatkiem „Do Rzeczy” rozpoczynamy cykl poświęcony tragicznej sytuacji polskiego narodu w latach wojny i tuż po niej. Zagładzie Polaków – zwłaszcza polskich elit – z rąk niemieckich towarzyszyła równie okrutna zagłada elit z rąk sowieckich. Podobieństwo celu, metod i czasu jest uderzające. W żadnym kraju podbitej Europy nie doszło do takich zbrodniczych działań dwóch okupantów naraz i każdego z osobna, szczególnie właśnie w eksterminacji warstw przywódczych ujarzmianego narodu. Ludzie we Francji, w Belgii, Holandii, Norwegii czy Danii, ale też w Czechach, na Węgrzech czy w Rumunii, nie zdają sobie nawet sprawy z różnicy między obecnością niemiecką na ich terytoriach a podwójną, wyjątkowo ludobójczą okupacją na ziemiach polskich.

Nasi rodacy doświadczyli ludobójstwa z rąk Sowietów już w końcu lat 30., kiedy tzw. operację polską przeprowadziło NKWD, mordując na terytorium ZSRS niemal 200 tys. Polaków tylko dlatego, że byli Polakami. Po zdrazieckim wbiciu nam noża w plecy we wrześniu 1939 r. wywozili z kresów na niemal pewną śmierć wśród bezlitosnych kazachstańskich, syberyjskich i dalekowschodnich pustkowi setki tysięcy polskich mężczyzn, kobiet i dzieci. W tym samym czasie dokonali masowej zbrodni, rozstrzelując bezbronnych jeńców, do czego nie posunęli się nawet hitlerowcy. To oczywiście mord katyński. Gdy zaś zaatakował ich dotychczasowy sojusznik – Hitler – masowo mordowali więźniów politycznych w więzieniach oraz w marszach śmierci, gdy gnali nieszczęśników na wschód.

Polacy, którzy już tak dużo wycierpieli podczas wojny, poddani zostali przez Sowietów następnym okrutnym represjom w latach 1944–1945. W ciągu przynajmniej trzech kolejnych lat opierali się jednak narzuconej władzy, o czym świadczą prawdziwe wyniki referendum (1946) i wyborów parlamentarnych (1947). Było tak, choć Niemcy i Sowietci wybili w dużym stopniu polskie elity zarówno w największych miastach, jak i w środowiskach lokalnych. Zginęła trzecia część ludzi mających w 1939 r. wyższe wykształcenie, blisko 60 proc. prawników, 50 proc. lekarzy, ponad 30 proc. nauczycieli akademickich. Akces do jawnego oporu w 1945 r. obejmował około 200–250 tys. ludzi, którzy stanęli z bronią w rękę do narodowego powstania.

Za upiorną personifikację rosyjskiej zbrodni może uchodzić major NKWD Wasilij Błochin. Sam Stalin szczególnie lubił tego swego ochroniarza, bo własnoręcznie rozstrzelał podobno 50 tys. ludzi. A oto pierwsze wrażenie jego kolegi, Tokariewa, gdy wiosną 1940 r. ujrzał go po raz pierwszy w akcji: „Błochin włożył swoją odzież specjalną: brązową skórzaną czapkę, długi skórzany fartuch, skórzane brązowe rękawice z mankietami powyżej łokci. Wywarło to na mnie ogromne wrażenie – zobaczyłem katal!”. Po tym, gdy 4 kwietnia 1940 r. zgładzono w Twerze 343 Polaków, Błochin stwierdził, że w ciągu nocy jest w stanie rozstrzelać najwyżej 250. Od tej pory transporty ofiar do miejsca kaźni oscylowały wokół tej liczby. I tak to towarzysz Błochin ustalił sowiecką dzienną normę ludobójstwa. ©

Maciej Rosalak

Operacja (anty)polska



Piotr Zychowicz

Operacja polska NKWD była pierwszym ludobójstwem narodu polskiego. NKWD w bestialski sposób zgładziło 200 tys. Polaków

Liczba ofiar operacji polskiej jest szokująca, zważywszy na to, że w owym czasie w całym Związku Sowieckim mieszkało około 1,5 mln Polaków. Szokująca jest również proporcja wyroków śmierci i wyroków pozbawienia wolności, które wydano podczas operacji polskiej. Otóż zamordowano około 80 proc. spośród wszystkich

represjonowanych. Jak wyliczył amerykański historyk Terry Martin, Polacy byli wówczas 30,94 razy bardziej narażeni na rozstrzelanie niż członkowie innych grup etnicznych zamieszkujących ZSRS.

Rozkaz przeprowadzenia tej bezprecedensowej akcji eksterminacyjnej wydali sowiecki dyktator Józef Stalin i szef bezpieczeństwa Nikołaj Jeżow.

MORD

Nie ma wątpliwości, że operacja polska NKWD była ludobójstwem. Spełnia bowiem wszystkie kryteria definicji tego zjawiska stworzonej przez Raphaela Lemkina. Zgodnie z nią ludobójstwo jest bowiem czynem „dokonanym w zamiarze zniszczenia w całości lub części grup narodowych, etnicznych, rasowych lub religijnych jako takich”.

Jedynym kryterium, którym kierowali się NKWD-ziści podczas rzezi Polaków w latach 1937–1938, była zaś właśnie narodowość ofiar.

Zaczął się od krwawej wewnętrznej czystki, której ofiarą padli działacze komunistyczni polskiego pochodzenia, oficerowie Armii Czerwonej i czekiści. Na porachunkach czerwonych bandziorów się nie skończyło. Rozprawa z polskimi komunistami stała się katalizatorem zakrojonej na znacznie szerszą skalę ludobójczej operacji wymierzonej we wszystkich Polaków.

Impulsem do jej przeprowadzenia był słynny rozkaz nr 00485 wydany 11 sierpnia 1937 r. przez Nikołaja Jeżowa. Szef NKWD napisał w nim, że Polska Organizacja Wojskowa (POW) głęboko zinfiltrowała ZSRS, i wezwał do fizycznej eliminacji polskich agentów.

Kościół w Białymstoku na Syberii (obwód tomski), gdzie w 1938 r. zamordowano niemal wszystkich mężczyzn – Polaków

FOT. MARAT BAYMUKASHEV/MAPY GOOGLE



W rzeczywistości jednak żadna POW nie istniała. Była wytworem wyobraźni NKWD-zistów, a kryteria zawarte w rozkazie sprawiały, że na represje narażony był właściwie każdy Polak żyjący na terenie Związku Sowieckiego. Kary przewidziano dwie. Albo rozstrzelanie, albo – dla „mniej groźnych” – wysłanie do łagru na 5–10 lat, co często na jedno wychodziło. Warunki panujące w sowieckich obozach koncentracyjnych były bowiem straszliwe i ludzie padali w nich jak muchy.

MECHANIZM TERRORU

Dla Polaków wprowadzono specjalny sposób mordów, tak zwany tryb albumowy. Była to procedura pozasądowa. Nazwiska skazanych na śmierć wpisywano do specjalnego albumu, w którym

umieszczano krótki opis popełnionych przez nich „antysowieckich zbrodni”. Album taki był następnie przesyłany do Moskwy, gdzie Nikołaj Jeżow i złowrogi komunistyczny prokurator Andriej Wyszynski hurtowo podpisywali wyroki.

W założeniu operacja polska miała potrwać trzy miesiące. W rzeczywistości trwała półtora roku.

Straszliwy mechanizm, który doprowadził do tej wielkiej rzezi Polaków, przypominał kulę śniegową i był charakterystyczny dla całego wielkiego terroru. Śledczy NKWD podczas nocnych przesłuchań – za pomocą bestialskiego bicia i wyrafinowanych tortur – zmuszali aresztowanych Polaków do przyznania się, że byli członkami POW. Polskie pielęgniarki przyznawały się, że z polecenia tej organizacji trują sowieckie dzieci. Robotnicy, że niszczyli maszyny. Kołchoźnicy, że podpalali zagrody i stodoły.

Aby zmusić aresztowanych do przyznania się do udziału w spiskach, używano biczów, pałek, bagnetów, pistoletowych kolb, a nawet elektryczności. Stosowano cały wachlarz tortur, który kilka lat później – po roku 1944 – czekiści wprowadzili do okupowanej Polski. A więc: wyrywanie paznokci, gaszenie papierosów na dłoniach, odbijanie nerek, miażdżenie jąder w szufladach biurka.

W przypadku operacji polskiej dysponujemy dokładnymi opisami niektórych makabrycznych praktyk. W 1939 r., po zakończeniu tej fazy terroru, Stalin postanowił bowiem wymienić ekipę czekistów. Jeżow i jego ludzie zostali eksterminowani, a na ich miejsce przyszła nowa, nie mniej krwiożercza ekipa kierowana przez Ławrientija Berię.

W ramach rozprawy z jeżowszczyzną prowadzono wiele spraw karnych, podczas których odsłonięto kulisy operacji. I tak na przykład NKWD-zista Michaił Gluzman opowiadał: „Mańko nakazał wszystkim 15 aresztowanym zdjąć spodnie, a pierwszym trzem położyć się na podłodze. Trójka [funkcjonariuszy] biła przesłuchiwaną biczami. Pozostali 12 ludzi Mańko zmusił w tym czasie do wykrzykiwania: »Jestem hitlerowcem, faszystą, dostawałem 15 razy hitlerowskie marki«. Po zakończeniu bicia pierwszych trzech pytało aresztowanych: »Kto chce złożyć zeznanie?«. Wszyscy, jak jeden mąż, podnosili ręce”.

I dalej: „Kiedyś, w miesiącu czerwcu 1938, wszedłem przypadkowo do gabinetu Małuki i zastałem tam jednego

więźnia, którego Małuka i jeszcze dwóch ludzi zmuszali do trzymania w rękach przewodów elektrycznych bez izolacji. Człowiek ten był cały siny”. Więzienna felczerka z Żytomierza, Matriona Gnienna, opowiadała zaś, jak wielokrotnie wzywano ją do zakatowanych podczas śledztwa więźniów. NKWD-ziści za każdym razem zmuszali ją do wypisywania fałszywego zaświadczenia zgonu, w którym musiała pisać, że więzień zmarł na zawał lub inne schorzenie.

Dręczeni, złamani ludzie byli zmuszani do podawania nazwisk swoich rzekomych towarzyszy z nieistniejących siatek POW. Doprowadzeni do kresu wytrzymałości wymieniali nazwiska osób, które znali: znajomych, członków rodzin, kolegów z pracy. Osoby te natychmiast trafiały za kraty, gdzie cała procedura się powtarzała. Kolejne nocne przesłuchania, kolejne tortury i kolejne dziesiątki nazwisk. I tak w kółko. Liczba zamordowanych i „wykrytych polskich siatek szpiegowskich” rosła lawinowo.

Oficerowie NKWD, podobnie jak wszyscy inni ludzie sowieccy, musieli wyrobić normę. I tak na przykład w Żytomierzu każdy śledczy musiał uzyskać dziennie osiem „rozłamów” aresztowanych. Jeżeli jakiś oficer tej normy nie wyrabiał, to mógł zamienić się miejscami z oskarżonymi. Mógł zostać uznany za antysowieckiego sabotażystę, który torpeduje śledztwo i działa w porozumieniu ze spiskowcami.

Nietrudno sobie wyobrazić, jakie efekty przynosił taki szatański system. NKWD-ziści nie tylko wymyślali najbardziej niedorzeczne zarzuty, aby wymusić na aresztowanym przyznanie się do winy, lecz także stosowali bestialskie tortury. Były szybciej, były zdemaskować więcej polskich szpiegów i wykryć więcej komórek POW.

Do „wyteżonej pracy” zachęcał oprawców Józef Stalin, który osobiście nadzorował postępy operacji polskiej.

NOCNE EGZEKUCJE

W efekcie Polacy stali się zwierzyną łowną. Wyszukiwano ich w książkach telefonicznych (wystarczyło nazwisko kończące się na „-ski” lub „-wicz”), w kadrach zakładów pracy czy na listach lokatorów. W polskich miejscowościach przeprowadzano łapanki.

Wkrótce wszelkie podobne formalności przestały odgrywać jakąkolwiek rolę. Polaków mordowano na tak masową

■ skale, że nie przejmowano się aktami zgonu ani nawet... wyrokami. Jeden z oprawców Grigorij Wiatkin ujawnił, że w szczytowym okresie operacji polskiej czekał na łamali nawet zasady zbrodniczego bolszewickiego prawa.

W wielu przypadkach ludzi najpierw mordowano, a dopiero później zatwierdzano wyroki. Dochodziło do sytuacji, w których myliły się nazwiska, daty urodzenia i cele. W efekcie rozstrzeliwano zupełnie przypadkowych ludzi tylko dlatego, że nazywali się podobnie do tych skazanych.

Polaków mordowano na ogół tradycyjną sowiecką metodą, czyli pojedynczym strzałem w tył czaszki. Mordy przeprowadzane na Polakach przybrały formę sadystycznej orgii. Zabijano ich w więzieniach, lasach, we wsiach, a nawet w łagrach, do których wcześniej zostali wysłani. Oprócz strzału w tył

Zamęczonych Polaków chowano na cmentarzyskach używanych przez Czekę od czasów rewolucji. Grzebano ich na pustkowiach i wrzucano do rzek. Zdarzało się, że mordów dokonywano na terenie opuszczonych kościołów i klasztorów. Tam też chowano ofiary. Kierowca kijowskiego NKWD Musogorski zeznał: „Ludzi rozstrzeliwano w podziemiach więzienia, a w nocy specjalnymi kleszczami ładowano zwłoki na ciężarówki. Tymi kleszczami łapaliśmy ciała za szyję i nogi i rzucaliśmy je na przyczepę. Potem przykrywaliśmy je brezentem i wywoziliśmy do Bykowni. Ciała wrzucano jedno na drugie do dołów”.

ZEMSTA NA RODZINIE

Śmierć oskarżonego nie zamykała jednak wcale prowadzonej przeciwko niemu sprawy. Po wykonaniu egzekucji – zgodnie z osobistą instrukcją Jeżowa

rodzice straconego Polaka byli wypędzani na bruk. Pozbawieni majątku, dachu nad głową i możliwości zarobkowania na ogół nie przeżywali pierwszej zimy.

Do naszych strat osobowych z tego okresu należy również doliczyć sporą część spośród kilkudziesięciu tysięcy Polaków wysiedlonych do Kazachstanu. Bolszewicy podczas trwania operacji polskiej deportowali bowiem Polaków mieszkających w pobliżu granicy z Polską. Deportacja odbywała się w straszliwych warunkach, wielu ludzi – szczególnie dzieci – nie przetrwało drogi. Inni umarli w lepiankach na kazachstańskich stepach.

KONSEKWENCJE

Operacja polska NKWD z lat 1937–1938 jest jedną z największych zbrodni popełnionych na narodzie polskim w jego historii. Zginęło w niej 10 razy więcej Polaków niż w operacji katyńskiej oraz dwa razy więcej niż w Auschwitz i podczas ukraińskiego ludobójstwa na Wołyniu i w Galicji Wschodniej.

Mimo to informacje o rzezi lat 1937–1938 właściwie nie przebiły się do świadomości polskiej opinii publicznej. Zdecydowana większość Polaków nie ma pojęcia, że do takiego ludobójstwa doszło. A jego konsekwencje były olbrzymie.

Sowietom udało się niemal całkowicie wyrugować polskość na tak zwanych dalszych Kresach. Wymazać wszelki ślad, że ziemie te wchodziły niegdyś w skład Rzeczypospolitej Obojga Narodów.

„Słowo »ludobójstwo« – pisał Tomasz Sommer – najbardziej precyzyjnie oddaje esencję eksterminacji sowieckich Polaków. Nawet w porównaniu z innymi zbrodniami wielkiego terroru skala tych mordów robi szczególnie wrażenie. Pewne grupy demograficzne Polaków zostały bowiem wymordowane niemal w całości, co doprowadziło do dystrofii polskich rodzin, a to z kolei wpłynęło na załamanie się i doprowadziło do zaniknięcia polskości jako takiej. Władze sowieckie udowodniły, że aby zlikwidować jakąś narodowość, nie trzeba wybijać wszystkich jej członków, wystarczy wymordować osoby utrzymujące jej strukturę społeczną, czyli mężczyzn w sile wieku, oraz zabronić nawiązywania do ich etosu. A po usunięciu kręgosłupa reszta tkanki społecznej zapadnie się już sama”.

© Wszystkie prawa zastrzeżone

Wiele polskich sierot powiększyło milionowe rzesze bezdomnych dzieci, tzw. bieżprizornych FOT. ARCHIWUM



głowy stosowano masowe rozstrzelania, zdarzało się, że wyroki wykonywano kijami.

Znany jest przypadek wyjątkowo okrutnego oficera NKWD z Kujbyszewa Iwanowa. „Przeprowadzał on konkursy zabijania jednym kopnięciem – pisał w książce »Operacja antypolska« Tomasz Sommer. – Sam natomiast, chodząc w białym kitlu, przy pomocy specjalnego narzędzia, rozrywał ludziom gardła, dzięki czemu zyskał wśród swoich kompanów przydomek »Lekarz«. Iwanow domagał się współczucia z uwagi na stracone zdrowie w związku z intensywnym wykonywaniem wyroków śmierci”.

– represje spadały na rodziny zabitych. Natychmiast aresztowane były żony, które wysyłano na minimum pięć lat do obozu koncentracyjnego wśród śniegów. Rzadko która Polka stamtąd wróciła. Dzieci zabitego „wroga ludu” były zaś pakowane albo do łagru (powyżej 15. roku życia), albo do odległego od miejsca zamieszkania sierocińca, gdzie starano się z nich wyrugować polskość.

Konfiskacie ulegał również cały majątek represjonowanej rodziny. Po aresztowaniu żony na drzwi domu zakładane były specjalne plomby. Ponieważ obowiązywał wówczas model rodziny wielopokoleniowej, w praktyce oznaczało to, że



Polskie kobiety i dzieci na syberyjskim zesłaniu FOT. OŚRODEK KARTA

Z kresów na zesłanie



Tomasz Stańczyk

Setki tysięcy polskich obywateli skazano na wypędzenie z domów i niewolniczą pracę. Większość z nich stanowili Polacy

Osadnicy wojskowi wywodzili się z grup byłych żołnierzy, którym za zasługi podczas wojny z bolszewicką Rosją rząd nadawał ziemię we wschodnich województwach Rzeczypospolitej. Wielu z nich było kawalerami Orderu Virtuti Militari. Mieli wzmocnić polski żywioł na kresach i stać się ostoją państwa, szczególnie tam, gdzie Polaków było mało, m.in. na Wołyniu. Wysiedleni podlegali nie tylko osadnicy wojskowi, lecz także ci, którzy przyjechali na Kresy Wschodnie i kupili gospodarstwa rolne. Deportowani mieli zostać także nabywcy ziemi od osadników, leśnicy, gajowi i inni

zatrudnieni do wybuchu wojny w lasach państwowych i prywatnych. Sowietów obawiali się, że mogą się stać oparciem dla ewentualnej partyzantki.

W MROŹNY ZIMOWY ŚWIT

Niecały miesiąc po zajęciu wschodnich województw Rzeczypospolitej, 10 października 1939 r., Ławrientij Beria, szef NKWD, wydał dyrektywę ludowym komisarzom Białorusi i Ukrainy, nakazując przeprowadzenie ewidencji osadników, poddanie ich inwigilacji oraz aresztowanie tych, co do których istnieją dowody „wrogiej działalności”. Decyzję o deportacji podjęto na początku grudnia biuro polityczne partii bolszewickiej, a w ślad za tym odpowiednie rozporządzenia wydał sowiecki rząd.

Zima 1940 r. należała do najmroźniejszych w XX stuleciu. Deportacja osadników i leśników wraz z całymi rodzinami odbyła się w nocy 10 lutego 1940 r., przy temperaturze minus 30–35 stopni. Przed świtem do domów rodzin przeznaczonych do zsyłki wtargnęły grupy złożone z NKWD-zysty i towarzyszących mu żołnierzy lub

miejscowych białoruskich, ukraińskich i żydowskich milicjantów. Czas na spakowanie się i opuszczenie domu był krótki. Dawano na to najwyżej dwie godziny, choć częste były przypadki drastycznego postępowania: deportowani mieli być gotowi w 20 minut, maksymalnie dawano im pół godziny. Pozwalamo zabrać rzeczy, do 500 kg na rodzinę. Przypominano niekiedy, by nie zapomnieli pił ani siekier. Większość deportowanych miała bowiem pracować przy wyrębie lasu.

Joanna Wałach-Warzecha, deportowana z Wołynia, wspomniała:

Plakaliśmy wszyscy i żegnaliśmy ostatnim spojrzeniem całe domostwo, dom, którego nie zdążyliśmy wykończyć, i to wszystko, co było dla nas tak drogie i bliskie. Zawiezieni zostaliśmy do Szepietówki, gdzie czekały już setki ludzi w zimnej, nieopalonej szkole. Zmęczeni, zmarznięci, wpełnięci zostaliśmy do bydłowego wagonu. Byli tam sami obcy ludzie. Wśród ogólnego przygnębienia i płaczu – pociąg ruszył na wschód. Błagalny śpiew »Pod Twoją obronę« wzlatywał ku niebu

(„Z Kresów Wschodnich RP na wygnanie. Opowieści zesłańców 1940–1946”, Londyn 1996).

W trzaskającym mrozie wieziono wysiedlone rodziny na stacje kolejowe. Czekwały tam na nie składy złożone z ponad 50 wagonów towarowych. Były w nich drewniane prycze, piecyk i otwór w podłodze, służący jako toaleta. Piecyk nie był w stanie zapewnić ciepła w całym wagonie. Ubrania i włosy ludzi, którzy usadowili się przy ścianach wagonu, przymarzały do nich, tak że trzeba było je odcinać nożem. Chociaż w dyrektywie przewidywano, że jeden wagon ma być przeznaczony dla 25 osób, niejednokrotnie upychano w nim dwa razy, a nawet trzy razy więcej ludzi. Podróż do miejsca przeznaczenia trwała od dwóch tygodni do miesiąca. Nie wszyscy ją przeżyli, ale wypadki śmierci nie były bardzo liczne. Ciała zmarłych pozostawiano na stacjach kolejowych lub pomiędzy nimi, w śniegu.

Deportowanych umieszczano w „specposiołkach” – specjalnych osadach. Naczelnik NKWD obwodu archangielskiego – trafiła tam największa grupa deportowanych w lutym 1940 r. – raportował, że wielu z przybyłych nie ma odpowiedniego obuwia lub jest go pozbawionych, a także zimowych ubrań. Zauważał także, że przysłano ludzi chorych psychicznie i sparaliżowanych, wymagających opieki. Dyrektywy w sprawie wysiedlenia były jednak bezlitosne – zabierano wszystkich członków rodziny, nie bacząc na ich stan zdrowia, także kobiety w zaawansowanej ciąży. Były przypadki, że rodziły w wagonach.

Podczas lutowej deportacji wygnano z domów i skazano na niewolniczą, wyczerpującą pracę w ekstremalnie trudnych warunkach 140 tys. osób. Wśród nich Polacy stanowili 81 proc. – 114 tys.

DOJMUJĄCY GŁÓD

Alicja Hensel-Maguza, deportowana z rodzicami, zapamiętała przywitanie przez zastępcę komendanta „specposiołka”, który odezwał się tymi słowami: „Wy, polskie pany, tu będziecie zdychać. Polski nigdy nie było i nie będzie, tu zdechniecie, polskie psy”. Inny komendant mówił drwiąco: „Tu jest wasza Polska”.

W opowieściach deportowanych bardzo często przewija się motyw głodu. Anastazja i Krystyna Soleckie wspominały:

Największą plagą i głównym powodem innych plag był głód. Głód sprowadzał choroby. Głód zabijał serca w ludziach, którzy za kawałek chleba donosili na współnędzarzy. Głód doprowadzał do wyprzedania ostatniego łaszka, że nie było



Towarzysz Śmierć eskortuje pociąg zesłańców...

FOT. GETTY IMAGES

w czym umarłych pochować. Głód doprowadzał do jedzenia zdechłych koni. Głód robił człowieka zwierzęciem niepomnym na nic. Powoli zatracił człowiek szlachetne instynkty, przestawał ratować drugich, bo sam ginął z wyczerpania

(„Z Kresów Wschodnich RP na wygnanie. Opowieści zesłańców 1940–1946”, Londyn 1996).

Siostry Soleckie zapamiętały heroicznego 70-letniego pana Majewskiego z powiatu nieświeskiego, deportowanego z czworgiem wnucząt w wieku od 3 do 12 lat (ojciec dzieci uciekł przed bolszewikami, matka zmarła podczas sowieckiej okupacji):

Nie tracił nadziei dziadzio, mył i cesał dziewczynki, gotował co mógł i karmił dzieci. Uczył pacierza, opowiadał o Bogu i stale im powtarzał, że gdy umrze, mają pamiętać o Bogu i o Polsce”. Niestety, zachorował i został wywieziony ze „specposiołka”, a wnuczęta trafiły do domu dziecka.

Racje żywnościowe były minimalne i prowadziły do szybkiego wycieńczenia, a nawet do śmierci. Niepracujący dostawali 200–300 gramów chleba dziennie, pracujący – od 600 do 800 gramów. Bywała też miska zupy z rybich głów lub rzadki kapuśniak.

Edward Mamczak relacjonował:

Ludzie umierali głównie z głodu i wyczerpania pracą. Nie było się w co ubrać, nie było co jeść, a kazali tylko pracować. Wiem, że wymarła cała rodzina Turków. Pamiętam, jak najmłodszy chłopczyk zebrał o chleb, nikt mu nic nie dał, bo sam nie miał. Chłopiec ten zmarł z zimna i głodu

(„Relacje deportowanych z Kresów Wschodnich w 1940 roku”, Kielce-Kraków 2014).

Ratowano się, sprzedając przywiezione rzeczy, także ubrania, zbierając w lesie grzyby i jagody, na polach szczaw i szczypiorek. Czasami deportowanym pozwalano zakładać ogródki warzywne. Dorośli pracowali przy ścinaniu drzew, nawet 12 godzin dziennie i siedem dni w tygodniu, jeśli trzeba było wypełnić normę, i w mrozie do minus 40 stopni.

Dzieci do 14.–15. roku życia chodziły do szkoły – tam, gdzie w miejscu zesłania była – jednak wiele z nich nie chciało brać udziału w lekcjach, na których słyszały, że Boga nie ma. Po zajęciach były wykorzystywane do drobniejszych prac, takich jak zbieranie gałęzi ze ściętych drzew i palenie ich, pomagały przy zwózce. Na zesłaniu umarły dwie córki Marii Szuby-Tomaszewskiej, dwuipółletnia Hania i pięcioletnia Krysia.

Dziwne, ale nie rozpaczalam, nie bylam zdolna do tego uczucia. W srodku bylam pusta, ot, popiół i nic więcej. W kółko myślałam, że moim dzieciom na tym drugim świecie jest lepiej – nie są głodne, zmarznięte i chore

(„Z Kresów Wschodnich RP na wygnanie. Opowieści zesłańców 1940–1946”, Londyn 1996).

O opiece lekarskiej nie było mowy. Jeśli był w „specposiołku” felczer, to nie miał zwykle żadnych lekarstw, a jego rola sprowadzała się tylko do dawania zwolnień w przypadku choroby uniemożliwiającej pracę.

RODZINY REPRESJONOWANYCH I „BIEŻENCY”

13 kwietnia 1940 r. rozpoczęła się druga deportacja. Tym razem wysiedleniu – na 10 lat – w myśl sowieckiej zasady odpowiedzialności zbiorowej podlegały rodziny polskich oficerów i policjantów z obozów w Ostaszkowie, Starobielsku i Kozielsku, a także innych osób aresztowanych, w szczególności wojskowych i policjantów, a także strażników więziennych, żandarmów, ziemian, fabrykantów, urzędników państwowych oraz „członków kontrrewolucyjnych organizacji powstańczych”.

Decyzję o deportacji rodzin osób represjonowanych podjęło sowieckie biuro polityczne na początku marca 1940 r., na trzy dni przed inną decyzją: zamordowania osadzonych w trzech obozach i więzieniach na Ukrainie i Białorusi – razem 22 tys. osób.

Paulina (Ola) Watowa, wywieziona ze Lwowa, wspominała:

W tym bydlęcym wagonie, jak się potem zorientowałam, było wszystko, co składa się na

społeczeństwo, wszystkie warstwy. Począwszy od kobiety, która pod Lwowem miała chałupę i kilka krów i która każdego dnia przywoziła do Lwowa świeże mleko, poprzez żony policjantów, sklepikarza Kiarskiego czy owego porucznika, aż do prezydentowej miasta Lwowa, pułkownikowej Wendowej z synem. Nie wiedziałam, że tuż za nami jechał transport, w którym był hrabia Bielski, właściciel pałacyku, w którym mieścił się Związek Literatów, hrabia Tarnowski, przyjaciel Bielskich, który z Krynicy przyjechał do nich z wizytą

(Ola Watowa, „Wszystko, co najważniejsze”, Warszawa 1990).

W drugiej deportacji wywieziono do Kazachstanu 60 tys. osób, wśród nich około 80 proc. stanowili Polacy – 41 tys. Szef kazachstańskiego NKWD informował, że w transportach, które trafiły na podległy mu teren, 50 proc. stanowiły dzieci i starcy, 30 proc. kobiety i 20 proc. mężczyźni, a zatrudnienie ich jest nadzwyczaj trudne. Sowiecka zasada głosiła zaś, że kto nie pracuje, ten nie je. Stanisława Michalska, córka przedwojennego posła (więźnia Starobielska zamordowanego w Charkowie), miała wówczas 17 lat. Relacjonowała:

Pracowałam wraz z matką w Kaczyrach w sowchozie pod nadzorem brygadystów, którzy ściśle współpracowali z NKWD.

Brygadziści ci chodzili z pejcami. Bardzo często przy zbiorze siana, nigdy niedosuszonego, bili ludzi przy składaniu stogów wspomnianymi wyżej pejcami

(„Relacje deportowanych z Kresów Wschodnich w 1940 roku”, Kielce-Kraków 2014).

Deportowani do Kazachstanu umierali na tyfus, a także z powodu ciężkiej zimy.

Od 30 grudnia do 15 stycznia szalał straszliwy huragan śnieżny tzw. buran – wspominał Stefan Turek. – Nie było żadnej komunikacji i ginęliśmy z głodu. Z głodu i wycieńczenia zginął nasz znajomy, były lekarz powiat. ze Lwowa, dr Litwinowicz, u nas na wspólnej kwaterze zmarła p. Julia Szeibel z Tarnopola, zbitą przez kazaka zmarł syn drugiej p. Szeibel. A poza tym umierało wielu na puchlinę z głodu. Powstał już nasz cmentarz, na którym stawialiśmy pierwsze krzyże

(„W czterdziestym nas, Matko, na Sybir zesłali”, wyb. i oprac. Jan Tomasz Gross, Irena Grudzińska-Gross, Warszawa 1990).

Wśród deportowanych do Kazachstanu byli dziewięcioletni Jerzy Krzysztos, późniejszy pisarz, który swoje przeżycia opisał w „Wielbłądzie na stepie”, oraz rok młodszy syn policjanta Tadeusz Kukiz, ojciec muzyka i polityka Pawła Kukiza. Jako dziecko trafił na stepy Kazachstanu także Andrzej Gwiazda, który zostanie jednym z najbardziej znanych działaczy NSZZ „Solidarność”.

Trzecia deportacja nastąpiła w czerwcu 1940 r. i objęła tzw. bieżęńców – uchodźców, którzy we wrześniu 1939 r. znaleźli się na ziemiach okupowanych przez Związek Sowiecki i których Niemcy nie chcieli przyjąć na teren swojej okupacji. Byli to głównie Żydzi. Jednym z deportowanych był ośmioletni Jerzy Hoffman, który będzie jednym z najbardziej znanych reżyserów filmowych. Wśród deportowanych 76 tys. było także około 11 proc. Polaków – do 9 tys. osób. Deportacje trwały także w 1941 r. i związane były głównie z przygotowaniem się Związku Sowieckiego do wojny. Wywożono ludzi z pasa przygranicznego.

Według polskich historyków – na podstawie niepełnych jednak akt NKWD – w latach 1940–1941 deportowanych

zostało z okupowanych ziem wschodnich co najmniej 315 tys. polskich obywateli. Było wśród nich 200 tys. Polaków (63 proc.), 70 tys. Żydów, 25 tys. Ukraińców i kilkanaście tysięcy Białorusinów. Rzeczywista liczba deportowanych była większa, nie wiadomo jednak o ile. Trudna jest do ustalenia liczba zmarłych z głodu i chorób. Znane są tylko częściowe ustalenia. Spośród 140 tys. osób z pierwszej deportacji umiało, według danych sowieckich, umrzeć do połowy 1941 r. około 1 tys. (Stanisław Cieśliński, Grzegorz Hryciuk, Aleksander Srebrakowski, „Masowe deportacje ludności w Związku Radzieckim”, Toruń 2004).

Sytuacja deportowanych zmieniła się, gdy po zawarciu układu Sikorski-Majski, w sierpniu 1941 r., władze sowieckie ogłosiły „amnestię” dla obywateli polskich. Odzyskali wolność. Wielu z nich nie nacieszyło się nią długo: umierali z chorób i z powodu epidemii.

Szczęśliwi byli ci, którym udało się wyjść z „niehumanitarnej ziemi” wraz z żołnierzami armii gen. Andersa – było to około 41 tys. osób. Po pogorszeniu się stosunków polsko-sowieckich, na początku 1943 r., władze sowieckie zaczęły znów uznawać obywateli polskich za swoich. Dopiero po wojnie polscy obywatele, ale tylko Polacy i Żydzi, mogli wrócić do kraju w nowych już granicach i z nowym, komunistycznym ustrojem.

ANDERSOWCY

Po zakończeniu II wojny światowej około tysiąca żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie wróciło w swoje rodzinne strony, na Kresy Wschodnie, anektowane przez Związek Sowiecki. Podjęli taką decyzję, mimo że parę lat wcześniej byli sowieckimi jeńcami, więźniami NKWD, deportowanymi. Chcieli wrócić do domu. Niedługo się nim nacieszyli. W 1951 r., jako andersowcy, zostali wysłani wraz z rodzinami na Syberię. Niektórych skazano za „antysowiecką agitację”, aż na 25 lat łagrów. Wielu z nich przyjechało w końcu lat 50. do Polski. Inni wybrali trudniejszy los – ojcowiznę w sowieckim państwie.



Polskie dzieci na zesłaniu, obdarte i wiecznie głodne. FOT. NAC



Maciej Rosalak

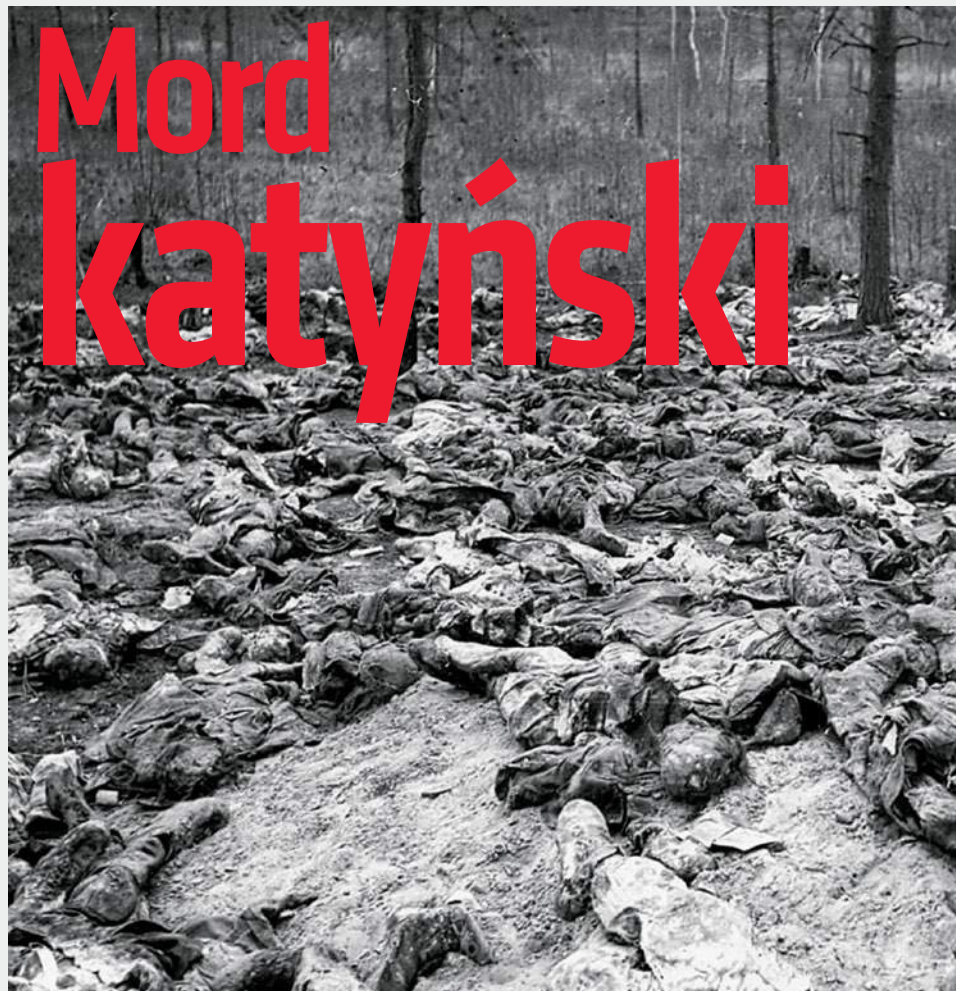
To była zbrodnia bez precedensu w historii całej, tak okrutnej, II wojny światowej

Nigdzie i nigdy nie zdarzyło się, aby w zbiorowym mordzie pozbawić życia – i to w szczególnie bestialski sposób – dwadzieścia kilka tysięcy internowanych oficerów i funkcjonariuszy sąsiedniego państwa. Tego nie zrobił nawet Hitler. A tak postąpił Związek Sowiecki z Polakami osadzonymi jesienią 1939 r. w trzech obozach (w Kozielsku, Ostaszkowie i Starobielsku) oraz w więzieniach na terenie ZSRS. Mord ten nazywa się zbrodnią katyńską od miejsca (Katyń), gdzie rozstrzeliwano oficerów internowanych w Kozielsku i trafiono na pierwsze ślady zbrodni.

WYROK

5 marca 1940 r. siedmiu najwyższej postawionych w hierarchii sowieckiego państwa dygnitarzy uczestniczyło w podjęciu decyzji o dokonaniu tej bezprecedensowej zbrodni ludobójstwa. Wszyscy byli członkami Biura Politycznego Wszechzwiązkowej Komunistycznej Partii (bolszewików). Wniosek przedstawił szef resortu spraw wewnętrznych Ławrientij Beria. Akceptowali go własnoręcznymi podpisaniami: bolszewicki przywódca Józef Stalin, premier i szef resortu spraw zagranicznych Władysław Mołotow, wicepremier Anastas Mikołajew i minister obrony Klimient Woroszyłow. Zaocześnie poparli wniosek (ich nazwiska też widnieją na dokumentach): nominalna głowa państwa Michaił Kalinin oraz sekretarz BP WKP(b) Łazar Kaganowicz. Beria dopisał: „Wykonać”.

Kto i co miał wykonać? Otóż na podstawie tej decyzji oraz rozkazu z 22 marca 1940 r. Ludowy Komisarjat Spraw Wewnętrznych (rosyjski skrót: NKWD) miał „rozpatrzyć sprawę” 14,7 tys. polskich oficerów (obozy w Kozielsku i Starobielsku), a także urzędników, ziemian, fabrykantów, policjantów, osadników i pracowników służby więziennej (obóz w Ostaszkowie) oraz 11 tys. innych oficerów, funkcjonariuszy i członków polskich elit osadzonych w więzieniach na Ukrainie i Białorusi. „Rozpatrzeniem” miało się zająć trzech wy-



soko postawionych towarzyszy z NKWD: Wsiewołod Mierkułow, Bogdan Kobiłow, Leonid Basztakow i powinno ono nastąpić „w trybie specjalnym z zastosowaniem wobec nich najwyższego wymiaru kary – rozstrzelania”.

Na podstawie informacji zbieranych w obozach i więzieniach podczas skrupulatnych przesłuchań i donosów zebranych przez Zarząd Jeńców Wojennych NKWD ZSRS oraz ukraińskie i białoruskie NKWD w ciągu jesieni 1939 i zimy przełomu lat 1939/1940 osadzeni w obozach Polacy uzyskali specyficzną rekomendację – jako „kontrewolucyjnie i wrogo nastawieni” do Kraju Rad. Tak określano wszystkich, którzy deklarowali wierność swojej ojczyźnie, Rzeczypospolitej Polskiej. To wystarczyło do wydania rozkazu-wyroku – bez sądu, obrony, a nawet bez powiadomienia skazanych. Trójce wyznaczonej do rozpatrzenia spraw pozostawało rozwiązanie praktycznego problemu: w jakiej kolejności, którego dnia i w jakiej liczbie wysłać poszczególne partie jeńców i więźniów na śmierć. Około 400 osadzonych w obozach zachowało życie, a więc mniej więcej co 30.

Świadczy to o nieugiętej postawie znakomitej większości jeńców. Ludobójstwo nazywano w rozkazie „rozładowaniem” obozów i więzień. Ów eufemizm krył polecenie wywiezienia i rozstrzelania bezbronných, niewinnych ludzi, a następnie wrzucenia do dołu i zasypiania ziemią ich ciał.

„ROZŁADOWANIE” OBOZÓW I WIĘZIEŃ

Towarzysze z kierownictwa NKWD przystąpili do dzieła z wielką wprawą i ze znajomością rzeczy. Zadania przydzielali Kobiłow oraz szef Zarządu Jeńców Wojennych NKWD Piotr Soprunienko. Już po 10 dniach od decyzji politbiura wykonawcy rozkazu dokładnie wiedzieli, co i jak mają czynić, i – czynili. Byli to: członkowie kierownictwa NKWD obwodów smoleńskiego, kalinińskiego i charkowskiego, w których miały odbyć się egzekucje, a także komendanci, komisarze polityczni i naczelnicy oddziałów specjalnych z trzech podlegających rozładowaniu obozów oraz funkcjonariusze wojsk konwojowych i transportowych NKWD. Przypomnijmy, że i w Kozielsku, i w Ostaszkowie oraz po



Zwłoki pomordowanych oficerów polskich wydobyte z dołów śmierci w lesie katyńskim. FOT. MUZEUM KATYŃSKIE

katyńskim nad dołami śmierci na uroczysku Kozie Góry, być może także w willi wypoczynkowej NKWD oraz siedzibie NKWD w Smoleńsku.

Z Ostaszkowa pierwszą grupę wywieziono na stracenie 4 kwietnia. Liczyła ona aż 343 ofiary, którym odebrano życie w Twerze (wówczas: Kalinin). 5 kwietnia ze Starobielska wywieziono 195 jeńców. Tej samej doby zostali zabici w Charkowie i pogrzebani w Piatichatkach, lesistej dzielnicy Charkowa.

Śmiertelne strzały oddawano z pistoletów Walther kaliber 7,65 (Katyń, Twer) i rewolwerów Nagant kal. 7,62 (Charków). W Kalininie i Charkowie jeńcy byli mordowani w podziemiach miejscowej siedziby NKWD. O szczegółach ich śmierci w Twerze zeznawał w 1991 r. szef tamtejszego NKWD Dmitrij Tokarijew. Cele, w których rozstrzeliwano skutych kajdankami jeńców po przywiezieniu z obozu, miały drzwi i ściany obite wołokiem, by tłumić odgłos strzałów. Wprowadzano ich tam po sprawdzeniu personaliów w tzw. pokoju leninowskim – obwieszanej plakatami świetlicy. Przez drugie drzwi celi śmierci wyrzucano zwłoki na podwórze, skąd zabierały je przykrywane brezentem ciężarówki. Wiozły je potem do wykopanych dołów śmierci, które znajdowały się w Miednoje pod Twerem (pod Charkowem we wspomnianych Piatichatkach). Każdego dnia po zakończonej „pracy” myto samochody z krwi i części mózgow.

W Katyniu i Charkowie katami, strzelającymi w potylicę przyprowadzanych więźniów, byli funkcjonariusze miejscowych formacji NKWD. Do Tweru natomiast przyjechała ekipa wyrodnialców z Moskwy. Do 12 maja nakaz Biura Politycznego WKP(b) został wykonany.

W Katyniu zamordowano 4410 jeńców z Kozielska. Życie stracili tam m.in.: kontradmirał Xawery Czernicki, generałowie Bronisław Bohatyrewicz, Henryk Minkiewicz i Mieczysław Smorawiński, a także naczelny kapelan prawosławny WP ppłk Szymon Fedoranko, naczelny rabin WP mjr Baruch Steinberg oraz jedyna kobieta – ppor. pil. Janina Lewandowska.

W Charkowie zamordowano 3739 internowanych w Starobielsku, w tym ośmiu generałów: Leona Billewicza, Stanisława Hallera, Aleksandra Kowalewskiego, Ka-

zimierza Orlika-Łukoskiego, Konstantego Plisowskiego, Franciszka Sikorskiego, Leonarda Skierskiego i Piotra Skuratowicza.

W Twerze zamordowano 6314 jeńców, przede wszystkim funkcjonariuszy Policji Państwowej i Służby Więziennej.

28 października 1940 r. ludowy komisarz spraw wewnętrznych Ławrientij Beria wydał ściśle tajny rozkaz „O nagrodach dla pracowników NKWD” z obwodów: kalinińskiego, charkowskiego i smoleńskiego. Stuk dwudziestu pięciu funkcjonariuszom przyznano nagrody w wysokości nie mniejszej niż 800 rubli.

Od 20 marca grupy NKWD-zistów, wysłane do więzień w naszych większych miastach na wschodzie, sporządzają dla „trójki” gotowe listy ludzi przeznaczonych do rozstrzelania. Od następnego dnia do centrali NKWD napływają wypełnione przez nich ściśle według instrukcji formularze. Na czele tych złowrogich komand, liczących od kilku do kilkunastu funkcjonariuszy, stali: na kresach ukraińskich – Paweł Mieszik (Lwów), Aleksiej Szkurin (Tarnopol), Anatolij Barminow (Stanisławów), Piotr Luferow (Drohobycz), Paweł Żurawlew (Równe), Samuił Kriwulin (Łuck); na kresach białoruskich – Izrail Pinzur (Białystok), Grigorij Filkenberg (Brześć), Nikołaj Kożewnikow (Wilejka), Aleksander Kuprianow (Pińsk), Andriej Siniewow (Baranowicze).

22 marca Beria rozkazuje „rozładowanie” więzień. Najpierw przewożono osadzonych z dawnej Małopolski Wschodniej i Wołynia do Kijowa, Charkowa i Chersonia. Tam byli zabijani sowiecką metodą – strzałem w tył głowy – albo w tamtejszych więzieniach, albo na pobliskich terenach zalesionych, takich jak podkijowska Bykownia. Dwa miesiące trwała krwawa operacja, której ofiarą padło nie mniej niż 7305 Polaków. Znamy tych z tzw. listy ukraińskiej, bo została przekazana naszej prokuraturze w 1994 r. Znajduje się na niej 3435 nazwisk obywateli polskich. Jest wśród nich 726 oficerów Wojska Polskiego (w tym siedmiu generałów), 770 policjantów, 28 funkcjonariuszy więziennych. Wiemy, że na tzw. liście białoruskiej znajdowało się 3870 nazwisk, ale szczegółów nie znamy, bo i sama lista albo zaginęła, albo znajduje się w archiwach służb bezpieczeństwa Rosji lub Białorusi. Nie wiemy też, co stało się z podobną liczbą obywateli polskich, którzy padli zapewne ofiarą zbrodniczej czystki etnicznej w innych rejonach „niehumanitarnej ziemi”.

części w Starobielsku obozy mieściły się w dawnych zabudowaniach klasztornych.

W obozach i więzieniach wypełniano szczegółowe kwestionariusze ofiar wraz ze zdjęciami. Aby uspić czujność jeńców, przeprowadzano szczepienia przeciw tyfusowi i cholerze, niekiedy wykonywano nawet zdjęcia rentgenowskie, rozpuszczano pogłoski o rychłych wyjazdach do Francji czy do Rumunii, a kiedy pełni nadziei jeńcy wyjeżdżali, dostawali na drogę chleb, cukier i śledzie, zawinięte – po raz pierwszy! – w czysty nowy szary papier. Od 16 marca zakazano jeńcom wysyłania prywatnej korespondencji. Do 25 marca komendanci obozów, szefowie wojsk konwojowych i transportowych NKWD meldują pełną gotowość do operacji.

Jednak już trzy dni po zbrodniczej decyzji politbiura wysłano z Kozielska – jakby na próbę – pierwszy transport jeńców do Katynia. 15 marca zamordowano tam 13 z nich. Systematyczna kaźń rozpoczęła się w Katyniu 3 kwietnia, gdy rozstrzelano 74 oficerów WP. Jeńców z Kozielska przewożono na stację kolejową w Gniezdowie koło Smoleńska. Mordowano ich w lesie



Z prof. Bogdanem Musiałem, badaczem historii Niemiec i ZSRS
rozmawia Piotr Włoczyk

Zbrodnia „z potrzeby chwili”

Pospolici przestępcy zostali latem 1941 r. zwolnieni, natomiast więźniów politycznych NKWD masowo mordowało

PIOTR WŁOCZYK: Dlaczego więźniowie przetrzymywani na Kresach Wschodnich zostali wymordowani przez NKWD w pierwszych dniach wojny z III Rzeszą?

BOGDAN MUSIAŁ: Sowieckie plany zakładały ewakuację więźniów na wschód w przypadku agresji niemieckiej. Szybko jednak się okazało, że było to niemożliwe przy tempie natarcia Niemców i brakach taboru kolejowego. Do wywiezienia tych blisko 50 tys. ludzi potrzebnych było ok. 1,5 tys. wagonów kolejowych – zorganizowanie takiego taboru było wówczas nierealne. Ta zbrodnia wynikała więc z „potrzeby chwili” sowieckich władz – nie był to skrupulatnie zaplanowany mord, jak w przypadku Katynia, lecz szybka reakcja na dramatycznie niekorzystną sytuację na froncie. Sowietci bali się, że gdyby Niemcy uwolnili tych więźniów, ludzie ci w przyszłości działaliby na szkodę Moskwy.

Jaka była skala tej zbrodni?

Moim zdaniem liczba ofiar mieści się w przedziale 20–30 tys. Bardzo ciężko podać w tym kontekście konkretne dane – nie dysponujemy wiarygodnymi źródłami. Niemcy po wkroczeniu na tereny okupowane przez ZSRS bardzo chętnie zabrali się do liczenia ofiar bolszewików. Wysłali nawet na polskie kresy specjalne komisje, ale przecież w ich interesie było zawyżanie liczb, aby przedstawić bolszewików jako bestie jeszcze bardziej krwiożercze niż w rzeczywistości. Z kolei w interesie NKWD było zaniżanie liczb, żeby pokazać, iż udało się „ewakuować” na wschód jak najwięcej wrogów systemu.

Według danych NKWD na początku czerwca 1941 r. w sowieckich więzieniach

na okupowanych kresach przetrzymywano 39 847 osób. Ta liczba nie uwzględnia jednak ludzi aresztowanych tuż przed wojną niemiecko-sowiecką, których dane z braku czasu nie znalazły się w kartotekach NKWD. Moim zdaniem możemy więc mówić raczej o 50 tys. więźniów. Blisko połowa z nich została zamordowana.

Kim były ofiary?

Lwią część, na pewno ponad połowę, stanowili więźniowie polityczni. Tutaj też trudno jednak podać konkretne dane procentowe. Musimy przy tym pamiętać, że katalog przestępstw politycznych był w Sowietach bardzo szeroki. Jako wrogowie komunizmu byli przecież klasyfikowani ludzie, którzy zostali złapani podczas przekraczania granicy, albo ci, którzy spóźnili się kwadrans do pracy. Generalnie można powiedzieć, że większość więźniów to ludzie, którzy uznani zostali za elementy kontrolowalucyjne.

Zdecydowaną mniejszość uwięzionych stanowili pospolici przestępcy. Ich sytuacja po napaści niemieckiej była najlepsza – w tej grupie zamordowano najmniej osób, prawie wszystkich pospolitych przestępców po prostu zwolniono z więzień.

Jakiej narodowości były ofiary tej zbrodni?

To nie była – w przeciwieństwie do Katynia – akcja stricte antypolska. Generalnie wśród ofiar przeważali Ukraińcy, choć trzeba pamiętać, że na terenie zachodniej Białorusi wśród zamordowanych najwięcej było Polaków. Poza Ukraińcami zabito tysiące Polaków, Żydów, Białorusinów, Litwinów, Łotyszy, Estończyków oraz Rumunów.



W tej masakrze zginęli przedstawiciele wszystkich narodów, które wówczas były zniewolone przez Związek Sowiecki. Pamiętajmy przecież, że okupowane były również kraje bałtyckie oraz Besarabia i tam też Sowietci wypełnili więzienia ludźmi, których uważali za wrogów systemu komunistycznego.

Ilu Polaków zostało wówczas zamordowanych?

Kilka tysięcy – tu też mamy problem z wiarygodnymi danymi. Jeżeli chodzi o Polaków, to nie było wśród nich zbyt wielu przedstawicieli inteligencji – tę część polskiego społeczeństwa Sowietci do tego czasu zdążyli już w znacznej części wywieźć na wschód.

Dlaczego większość ofiar tej zbrodni stanowili Ukraińcy?

Pierwsze uderzenie Sowietów po zajęciu Kresów Wschodnich skierowane było przeciwko polskim elitom. To był z perspektywy Moskwy priorytet. Stalin wiedział, jak oporni wobec komunizmu są Polacy, i postanowił w ten sposób ściąć „głowę” polskiego społeczeństwa. W akcji przeciwko Polakom brali udział m.in. ukraińscy nacjonaliści. Rękami bolsze-



Zrozpaczone rodziny szukają bliskich wśród pomordowanych w jednym z lwowskich więzień. FOT. GETTY IMAGES

wickimi niszczyli polskie elity. Sytuacja szybko jednak się odmieniła. Latem 1940 r. społeczeństwo polskie kresów było już właściwie zatamizowane po trzech wielkich wywózkach, Polacy zostali więc właściwie zneutralizowani. Ostrze sowieckiego terroru skierowane zostało przeciwko Ukraińcom – Moskwa zaczęła ich wówczas postrzegać jako zagrożenie większe od Polaków. I rzeczywiście, Ukraińcy tworzyli struktury podziemne, utrzymywali kontakty z Niemcami, którzy wspierali ich na drodze do utworzenia własnej państwowości. Jesienią 1940 r. liczba aresztowanych Ukraińców była już większa od liczby zatrzymanych Polaków. Ten trend nasilał się aż do wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej.

Co było sygnałem do rozpoczęcia tych mordów?

Podstawą do działania NKWD był telegram Ławrientija Berii wysłany już 24 czerwca. Szef NKWD nakazał w nim zabić więźniów zaklasyfikowanych jako zagrożenie dla systemu komunistycznego. Było kilka metod mordowania. Jedną z nich było rozstrzeliwanie więźniów pojedynczo w piwnicach strzałem w potylicę. Robiono to na modłę katyńską. Gdy jednak czas

naglił, NKWD-ziści rozstrzelali naraz całe cele lub wrzucali do nich granaty. Masakr zbiorowych dokonywano też na podwórzach więziennych – NKWD-ziści włączali wówczas silniki, starając się zagłuszyć strzały. Więźniowie byli także zabijani w marszach śmierci – NKWD masakrowało w lasach całe kolumny więźniów prowadzonych na wschód. Tak zginęły tysiące ludzi, szczególnie na terenie Białorusi.

Gdzie doszło do największych zbrodni?

We Lwowie. Miasto to było oddalone o około 80 km od granicy niemiecko-sowieckiej. Decydujące było to, że uderzenie niemieckie na tym odcinku frontu było nieco słabsze niż na północy. Sowieci mieli dzięki temu blisko tydzień na pozbycie się więźniów. 23 czerwca główny zarząd więziennictwa NKWD nakazał wywieźć 4591 więźniów ze Lwowa na wschód. Nie było jednak wystarczającej liczby wagonów, więc wywieziono tylko 527 więźniów.

Pospolici przestępcy zostali zwolnieni, natomiast więźniów politycznych NKWD masowo mordowało w więzieniach lwowskich między 25 a 28 czerwca. Do najgorszych zbrodni doszło w trzech więzieniach – przy ulicach Łąckiego, Zamarstynowskiej

i Kazimierzowskiej. To ostatnie więzienie było największe, nazywano je Brygidkami. W momencie inwazji przetrzymywano tam około 4 tys. ludzi. Zamordowano tam co najmniej połowę więźniów. W pozostałych dwóch więzieniach przetrzymywano po blisko tysiąc osób, z których zdecydowana większość została zgładzona.

Po wejściu do miasta Niemców mieszkańcy Lwowa znaleźli w piwnicach więzień stosy zwłok, a na dziedzińcu więzienia przy ul. Łąckiego znaleziono dwa masowe groby. Ofiarami byli głównie młodzi mężczyźni. W tym przypadku także ciężko o konkretne dane, bo wiemy, że setki osób Sowietci aresztowali we Lwowie już po 22 czerwca i w związku z tym ludzie ci nie znaleźli się w statystykach NKWD.

Zależność wydaje się w tej kwestii prosta: im bliżej granicy, tym większą mieli więźniowie szansę na przeżycie.

Tak. Dużo więcej szczęścia od więźniów ze Lwowa mieli więźniowie z Białegostoku, Grodna, Łomży, Brześcia, Kowna i Mariopola. Do mordów dochodziło tam tylko w pojedynczych przypadkach. Większość więźniów przetrzymywana w tych miastach uszła z życiem. Przykładowo Brześć został zajęty przez Wehrmacht już o godz. 5 pierwszego dnia inwazji. Więźniowie wraz z żołnierzami niemieckimi polowali tam na strażników więziennych.

Szybkie nadejście Niemców wywoływało reakcje, które z dzisiejszej perspektywy wydają się szokujące. W książce podaję relację świadka sowieckich zbrodni Mieczysława Ogrodowczyka, który wspominał, że polscy więźniowie na widok Niemców wkraczających do więzienia krzykali... „Heil, Hitler!”. Brzmi to nieprawdopodobnie, ale ci ludzie w tamtym momencie byli naprawdę wdzięczni Niemcom za ocalenie przed egzekucją. Zapominali na chwilę, że cała wojna zaczęła się od Hitlera.

Jak często bolszewicy torturowali więźniów przed egzekucją? W książce podaje pan wiele relacji opisujących widok zmaltretowanych ciał, jedną z nich jest niemiecki raport o sytuacji zastanej we Lwowie w więzieniu przy ul. Łąckiego: „U wszystkich ofiar stwierdzono liczne okaleczenia tępym narzędziem. Kobiety były zgwałcone, miały poobcinane piersi. Także męskie organy płciowe stały się celem bolszewickich perwersji. [...] aresztowani poddani zostali koszmarnym torturom”. Trudno uwierzyć, by wobec tak szybkiego natarcia Wehrmachtu NKWD aż tak pastwiło się nad swoimi ofiarami.

Akurat Niemcy mieli wszelkie powody, by wyolbrzymić okrucieństwo bolsze-

Wieków. Świadcstw tortur jest cała masa, ale jest to problematyczne zagadnienie. Oczywiście były przypadki, że bolszewicy wyżywali się na więźniach, ale to nie miało charakteru powszechnego – brakowało im po prostu na to czasu. Częściowo powodem ogromnej liczby relacji o torturach jest to, że znajdowane w więzieniach zwłoki wyglądały potwornie: były obgryzione przez szczury, wiele okaleczeń wynikało z tego, że ofiary ginęły od granatów. To tylko wzmacniało plotki o maltretowaniu więźniów. Natrafiłem na przekazy, według których Sowietci zdzierali skórę z ofiar. Bardzo często się to powtarza. Wy tłumaczenie tego jest zaskakujące: skóra bardzo

Goebbelsa z 6 lipca 1941 r.: „Wielka kampania propagandowa przeciwko bolszewizmowi rozpoczęta. Prasa, radio, film i propaganda. Przesłanie: opadła zasłona i oto Moskwa bez maski. Do tego cały materiał o okrucieństwach we Lwowie, dokąd posłałem dwudziestu dziennikarzy i radiowców. Te widoki naprawdę budzą grozę”.

Te zbrodnie były nieocenioną pomocą propagandową dla Goebbelsa. Niemieckie władze od pierwszego dnia inwazji tłumaczyły społeczeństwu, że atak na ZSRS był wyprzedzającym ciosem wymierzonym w zbrodniczego państwa i oto żołnierze Wehrmachtu od razu natrafiają na góry trupów... Nazistowska propaganda nie mogła znaleźć lepszego potwier-

Wiele wskazuje na to, że bez masowych egzekucji więźniów początek wojny byłby mniej brutalny ze strony Niemców. Przy okazji pisania tej książki rozmawiałem z wieloma niemieckimi weteranami Wehrmachtu i wypytawałem ich o pierwsze dni wojny z ZSRS. Mówili, że to wtedy, widząc góry zwłok, na dobre zaczęli nienawidzić komunizmu. Wszyscy podkreślali, że było to bardzo mocne przeżycie.

Niemieccy żołnierze byli zabierani do więzień na specjalne pokazy, by na własne oczy zobaczyli te zbrodnie. Propaganda Goebbelsa okazała się w znacznej mierze odpowiadać prawdzie. To było potwierdzenie dla żołnierzy, że rozkaz rozstrzeliwania politruków był słuszny. Tym bardziej że niemieccy żołnierze, wchodząc na terytorium ZSRS, zobaczyli sowiecką broń ofensywną, czyli było to dla nich potwierdzenie uderzenia wyprzedzającego. Ich wzburzenie widać w ich listach do rodzin, które wiele mówią o nastroju panującym wśród niemieckich żołnierzy. Pisali w nich o krwiożerczości Sowietów, czuć w tych listach strach przed tym, co by się stało z ich rodzinami, gdyby Armia Czerwona weszła do Niemiec. To była dla nich dodatkowa motywacja do bezlitosnego zabijania Sowietów, do porzucenia wszelkich zasad.

Spory fragment książki poświęca pan też wpływowi zbrodni w więzieniach na ludność żydowską mieszkającą na kresach...

Oczywiście, część siepaczy komunistycznych była pochodzenia żydowskiego, co do tego nie ma żadnych wątpliwości, ale niemiecka propaganda uogólniła to i winą obarczyła całą społeczność żydowską. Ten zabieg wywołał jeszcze większy antysemityzm wśród niemieckich żołnierzy, którzy widzieli zbrodnie NKWD dokonane w więzieniach. Ukraińcy oraz Polacy także zarzucali Żydom współudział w tych mordach. Żydów zmuszano do wynoszenia zwłok zamordowanych więźniów, poniżano ich, a w wielu miejscach kończyło się to dla żydowskich mieszkańców kresów jeszcze tragiczniej – po prostu byli oni w odwecie zabijani.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



łatwo odchodzi od ciała, które dłuższy czas leży w cieple. Gdy wyciągano zwłoki z cel, piwnic, skóra sama odchodziła od ciała. To także wzmacniało przekaz o potwornym okrucieństwie bolszewików. Wiadomo, że w niektórych przypadkach zwłoki były kaleczone na pokaz – robili to ukraińscy nacjonaliści, którym naturalnie zależało na zwiększeniu grozy sytuacji. Chcieli w ten sposób uwypuklić męczeństwo swojego narodu. Ciekawe, że na kresach północno-wschodnich relacji o torturach jest mniej. To wszystko nie umniejsza jednak zbrodni sowieckich, których skala i bez powszechnego stosowania wymyślnych tortur była olbrzymia.

Masowe morderstwa w kresowych więzieniach bardzo szybko stały się nieocenioną pomocą propagandową dla Niemców. W książce przywołuje pan w tym kontekście wpis w dzienniku Josepha

Goebbelsa z 6 lipca 1941 r.: „Wielka kampania propagandowa przeciwko bolszewizmowi rozpoczęta. Prasa, radio, film i propaganda. Przesłanie: opadła zasłona i oto Moskwa bez maski. Do tego cały materiał o okrucieństwach we Lwowie, dokąd posłałem dwudziestu dziennikarzy i radiowców. Te widoki naprawdę budzą grozę”.

W niemieckich mediach mówiono tylko o ukraińskich i litewskich ofiarach. Było to bezpieczne z punktu widzenia Niemców. Pominęto milczeniem Polaków i Żydów – z oczywistych względów Niemcy nie chcieli we własnym społeczeństwie budzić współczucia dla tych nacji.

Podtytuł pańskiej książki to: „Brutalizacja wojny niemiecko-sowieckiej latem 1941 roku”. Wydawać by się jednak mogło, że starcie nazizmu z komunizmem z natury rzeczy od samego początku musiało być wyjątkowo brutalne. Przecież jeszcze przed inwazją na ZSRS Niemcy zaplanowali rozstrzeliwanie politruków.



prof. Bogdan Musiał – jest historykiem, specjalizuje się w dziejach Niemiec i ZSRS. Jedną z jego najważniejszych publikacji jest „Rozstrzelano elementy kontrrewolucyjne! Brutalizacja wojny niemiecko-sowieckiej latem 1941 roku”.



FOT. ARCHIWUM

komunistyczne były znikome, iluzoryczne i bez pomocy sowieckiej Polska Partia Robotnicza nie miała żadnych szans nie tylko na zdobycie władzy, lecz także na realne, jawne funkcjonowanie w terenie w jakimkolwiek regionie Polski.

Władzę zagarnęła dzięki agresji sowieckiej, i to w sposób absolutnie bezprawny. Działał przecież cały czas rząd Polski na emigracji, który do początku lipca 1945 r. jest uznawany przez wszystkich, z wyjątkiem Rosji sowieckiej, podmiotem prawa międzynarodowego. Wprawdzie z biegiem czasu stosunek sił między komunistami a ugrupowaniami niepodległościowymi zmienia się coraz bardziej na niekorzyść tych ostatnich, ale prawdziwe wyniki referendum w czerwcu 1946 r. oraz wyborów w styczniu 1947 r. świadczą o tym, że trzy czwarte Polaków nie chce komunizmu.

WOJNA DOMOWA CZY POWSTANIE?

Czy po wkroczeniu Sowietów w latach 1944 i 1945 rozgorzała u nas wojna domowa czy powstanie narodowe? W 1944 r. dochodzi na terenie tzw. Polski lubelskiej do represji na ogromną skalę przy użyciu zarówno oddziałów frontowych Armii Czerwonej, jak i NKWD. Przypomina to sytuację, która wiele dni wcześniej rozegrała się na Wileńszczyźnie, w Nowogródzkim i we Lwowskim, gdzie więziono żołnierzy Armii Krajowej po wspólnej z nimi walce przeciw Niemcom, a ujawniających się przedstawicieli prawowitego rządu na uchodźstwie aresztowano. Dąży się do „przetłarczenia kregosłupa” siłom wiernym prawowitemu rządowi polskiemu na uchodźstwie, zwłaszcza na terenach Białostockich, Mazowsza, Lubelszczyzny i Rzeszowskiego, gdzie działała trzecia część sił AK. Sytuacja ta powtarza się w lecie 1945 r., już po zakończeniu działań wojennych.

Powstanie przeciw okupacji sowieckiej wzbierało głównie jako akt samoobrony. Tam, gdzie wkraczała Armia Czerwona, mnożyły się rabunki, mordy i gwałty. Nie tylko więc zamach na naszą wolność i suwerenność, lecz także niszczenie rodzinnej wsi, ojczystego domu, ucieczka przed aresztowaniem, torturami i egzekucją skłaniały Polaków do sięgnięcia po broń.

Następczynią rozwiązanej na początku 1945 r. Armii Krajowej była Delegatura Sił Zbrojnych, a następnie jej kontynuacja: zrzeszenie Wolność i Niezawisłość. Agentura komunistyczna potrafiła dość szybko namierzać i aresztować prezesów kolejnych zarządów WiN. I tak płk Jan Rzepecki stał

Czerwona zaraza 1944–1945



Maciej Rosalak

Bez pomocy sowieckiej PPR nie miała żadnych szans nie tylko na zdobycie władzy, lecz także na realne, jawne funkcjonowanie w terenie w jakimkolwiek regionie Polski

Najważniejsza różnica w ocenie tego, co stało się w Polsce w latach 1944–1945, wynika z różnego spojrzenia na rolę czynnika zewnętrznego – czyli sowieckiego – oraz oceny rzeczywistych wpływów PPR w społeczeństwie polskim i jej satelitów tworzących PKWN. Armia Ludowa w Polsce w 1944 r. liczyła maksymalnie kilka tysięcy ludzi – przy ponad 300 tys. żołnierzy Armii Krajowej, 80 tys. z Batalionów Chłopskich, 100 tys. z Narodowych Sił Zbrojnych. To pokazuje, jak wpływy

na czele organizacji tylko dwa miesiące (od początku września do początku listopada 1945), płk Franciszek Niepokólczycki niespełna rok, ppłk Wincenty Kwieciński niespełna kwartał, a heroiczny ppłk Łukasz Ciepliński – prawie rok, do 27 listopada 1947 r. Zamordowano go po bestialskim śledztwie 1 marca 1951 r. wraz z sześcioma współpracownikami. Zachował się jego gryps z więzienia: „W czasie śledztwa leżałem skatowany w kałuży własnej krwi. Mój stan psychiczny był w tych warunkach taki, że nie mogłem sobie zdawać sprawy z tego, co pisał oficer śledczy”.

Obok WiN działały inne organizacje niepodległościowe, zwłaszcza wyrosłe z ruchu narodowego jak Narodowa Organizacja Wojskowa i Narodowe Zjednoczenie Wojskowe. Oto kilka z licznych, znaczących starć żołnierzy niezłomnych z „czerwoną zarazą” w 1945 r.:

- Kuryłówka, 7 maja – Franciszek Przysiężnik, „Ojciec Jan” z NOW daje w wielkiej bitwie odpór NKWD;
- Las Stocki, 24 maja – Marian Bernaciak „Orlik” zwycięża w bitwie połączone siły NKWD, UB i MO;
- Kielce, 4 sierpnia – Antoni Heda „Szary” rozbija więzienie w mieście i uwalnia więźniów. Od Zamościa do Krakowa rozbito w tym czasie kilkadziesiąt komunistycznych więzień i uwolniono więzionych. Niekiedy opanowywano wtedy całe miasta i miasteczka, takie jak Radom, Radomsko, Włodawa, Biłgoraj;
- Miodusy Pokrzywne, 18 sierpnia – 5. Brygada Wileńska AK niszczy w bitwie bandę NKWD (dowodzili: Zygmunt Błażejewicz „Zygmunt” i Władysław Łukasiuk „Młot”).

Polscy komuniści w maju/czerwcu 1945 r. skierowali do obław przeciw podziemi kilka dywizji LWP, ale akcje te zakończyły się w znacznej mierze niepowodzeniem. Żołnierze dezertowali – tak jak 636 poborowych z 31. Pułku Piechoty LWP w październiku 1944 r. pod Krasnymstawem. PKWN utrzymał się jedynie dlatego, że Sowieci traktowali ziemie polskie jako obszar przyfrontowy, gdzie oni sprawowali władzę i nie zamierzali się jej pozbyć.

NKWD W POLSCE

W 1945 r. działało w Polsce pięć dywizji NKWD: 57., 58., 59., 63., 64. (a później też 62., ściągnięta latem z Mołdawii do Białegostoku). Wszystkie miały obowiązek zwalczania polskiego podziemia, ale większość podlegała do-

wódcom frontowym. Tylko 64. Dywizja została podporządkowana instruktorowi NKWD przy Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego, kierowanemu przez Stanisława Radkiewicza. Funkcję instruktora NKWD (czyli prawdziwego szefa) przy MBP najpierw pełnił Iwan Sierow, potem Nikola Seliwanowski. 10-tysięczna, wyspecjalizowana 64. Zbiorcza

Dywizja Wojsk Wewnętrznych NKWD operowała głównie na terenie Lubelszczyzny i Rzeszowszczyzny. W Lublinie stacjonował sztab dywizji, a miejscem dyslokacji pozostałych jednostek dywizji były: Kraśnik, Zamość, Siedlce, Przemyśl, Rzeszów i Białystok. Dywizja ta istniała do listopada 1946 r.

Oficerowie sowieccy byli obecni w aparacie bezpieczeństwa w dwóch formach. Po pierwsze – w formie ukrytej, na polskich etatach, zajmując różne stanowiska na zapleczu: w administracji, kadrach, finansach, organizacji uzbrojenia itp. Po drugie – jako doradcy na sowieckich etatach, którzy nie udawali polskich oficerów. Z początku było ich kilkuset – do 1947 r. już od szczybla powiatu.

Z NKWD przeniesiono samą zasadę systemu: policja polityczna ma kontrolować wszystko. Każdy jest podejrzanym. W Rosji bolszewickiej aparat bezpieczeństwa posiadał również uprawnienia sądownicze. U nas bezpieczeństwa mogła przetrzymać w areszcie śledczym nawet 10 lat, ale nie mogła ferować wyroków. Często jednak zabijała w śledztwie bez wyroku...

OBOZY NKWD I UB

Aresztowanych osadzano w obozach do niedawna hitlerowskich. Na podstawie dokumentacji MBP można ustalić, że w Polsce w kwietniu 1945 r. funkcjonowało 16 obozów, w których ułokowano 27 826 więźniów. W drugiej połowie roku liczba takich placówek wzrosła do 28. Od stycznia 1945 do sierpnia 1946 r. przetrzymywano tam łącznie około 47 tys. osób. A oto niektóre z takich obozów:

- Krzesimów koło Łęcznej (lipiec 1944–sierpień 1948) – pierwszy obóz



Podpułkownik Łukasz Ciepliński

FOT. ARCHIWUM

NKWD na terenie Polski lubelskiej, gdzie zamordowano kilkaset osób. Innych wywożono stąd do łagrów sowieckich.

- Obóz NKWD w Rembertowie, założony w grudniu 1944 r. na terenie rembertowskiej fabryki Zakładów Amunicyjnych „Pocisk” i pełniący funkcję punktu zbornoego przed deportacją w głąb ZSRS. Wiosną 1945 r. w obozie znajdowało się około 2,5 tys. więźniów. Nocą z 20 na 21 maja obóz został zdobyty

i rozbity przez oddział Obwodu Mińskiego Mazowieckiego AK, dowodzony przez ppor. Edwarda Wasilewskiego „Wichurę”.

- Majdanek – były hitlerowski obóz koncentracyjny pod Lublinem, który od lata 1944 do końca 1945 r. odgrywał rolę obozu NKWD dla aresztowanych członków Polskiego Państwa Podziemnego. W obozie tym zostali osadzeni oficerowie z Komendy Armii Krajowej Lublin i innych obwodów, 3. Dywizji Piechoty AK, 27. Wołyńskiej DP, 30. DP spieszącej na pomoc walczącej Warszawy. 23 sierpnia 1944 r. 250 oficerów i podoficerów AK wywieziono na sowiecki Wschód.

- KL Warschau, dawny niemiecki obóz pracy przy ul. Gęsiej, od stycznia 1945 do maja 1945 r. prowadzony przez NKWD, a potem do 1949 r. przez UB. W straszliwych warunkach przetrzymywano w nim żołnierzy Armii Krajowej, jeńców i „innych przestępców”. Poniosło tu śmierć – również w egzekucjach – około 1,8 tys. osób.

- KL Gross-Rosen w Rogoźnicy. Po wojnie w ciągu dwóch lat na terenie tego obozu funkcjonowało tajne więzienie NKWD.
- Jaworzno, obóz pracy – 6 kwietnia 1945 r. Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego utworzyło Centralne Obozy Pracy, powołując obóz w Jaworznie, a następnie (w latach 1950–1956) Progressywne Więzienie dla Młodocianych w Jaworznie. Trafiło do niego około 5 tys. młodych polskich patriotów poniżej 21. roku życia.

MILION DO WIĘZIENIA!

W epoce stalinowskiej – jak mówiono – ludzie dzielili się na tych, którzy siedzą, siedzieli albo będą siedzieć. Ze statystyk MBP wynika, że w 1950 r. funkcjonowało w kraju 122 zakładów karnych. Wszyst-

kie były w latach 1945–1956 przepełnione. Norma z okresu międzywojennego ustalająca 13 m sześć. dla każdego więźnia nie była respektowana; w 1945 r. obniżono ją do 8 m sześć., co oznaczało 2 metry powierzchni dla każdego więźnia, a na początku lat 50. normę zaniżono do 5 m sześć. (Rawicz, Fordon) oraz nawet do 1 m sześć. (zamek w Lublinie). W latach 1945–1953 przez wszystkie więzienia i areszty przeszło około miliona osób. Przeciętny ruch więźniów w ciągu roku wynosił blisko 140 tys. ludzi, w tym około 14 tys. skazanych na podstawie zarzutów politycznych.

Więźniowie w zakładach karnych byli poddawani różnego rodzaju represjom, do których zaliczyć można m.in.: pobyt w karcerze, zakaz spacerów, odebranie paczek i listów, wstrzymanie widzeń z rodziną. Więźniowie polityczni byli ponadto poddawani różnego rodzaju szykanom i szantażowi psychicznemu; na porządku dziennym były pobicia więźniów; praktykowano tzw. śmierć pod kontrolą (do ciężko chorych więźniów nie wzywano lekarzy – tak zmarł m.in. Kazimierz Pużak). Porucznik Marian Gadomski „Niedźwiadek” został na śmierć zakatowany w trakcie przesłuchania. Porucznik Stefan Broniarski „Liść” podczas dwuletniego bestialskiego śledztwa trzykrotnie usiłował popełnić samobójstwo.

Kazimierz Moczański wymieniał 49 rodzajów tortur, którym go poddawano. Obok prostego bicia i sadzania na nodze odwróconego stołka były tortury bardzo wymyślne. Przykładowo konwejer, czyli przesłuchiwanie non stop przez wiele dni i nocy bez pozwalania na sen, przypomina śledztwo Zbigniewa Stypułkowskiego w Moskwie przed procesem szesnastu.

Z niepełnych danych Centralnego Zarządu Zakładów Karnych wynika, że w latach 1944–1956 w więzieniach wykonano 2810 wyroków śmierci; najnowsze badania wskazują, że liczbę tę należy zwiększyć do 4,5 tys. wykonanych wyroków śmierci, głównie w więzieniach śledczych. Więźniowie wielokrotnie podejmowali próby ucieczek; w 1945 r. zbiegło 1157 więźniów.

OBŁAWA AUGUSTOWSKA

Była to największa ludobójcza operacja przeprowadzona przez Sowietów już po zakończeniu wojny z Niemcami. Celem było unicestwienie polskiego ruchu

niepodległościowego w Augustowskim. Tamtejsze lasy stały się schronieniem dla żołnierzy Armii Krajowej, których wspierała ludność okolicznych wiosek. Przypuszcza się też, że właśnie tamtędy miał jechać Stalin na rozpoczynającą się konferencję w Poczdamie (17 lipca–2 sierpnia 1945) i chodziło o zabezpieczenie jego podróży.

Użyto potężnych sił: dziewięciu dywizji 50. Armii 3. Frontu Białoruskiego, liczących około 50 tys. czerwonoarmistów, licznych funkcjonariuszy kontrwywiadu wojskowego Smiersz oraz oddziałów 62. Dywizji Wojsk Wewnętrznych NKWD przeznaczonej wyłącznie do walki z polskimi siłami niepodległościowymi. Okupantom pomagali funkcjonariusze Urzędu Bezpieczeństwa, zwłaszcza z Augustowa, wśród których wyróżniał się Mirosław Milewski – późniejszy szef MSW (1980–1981), a nawet członek Biura Politycznego KC PZPR (1981–1985). Natomiast pododdziałem 1. Praskiego Pułku Piechoty w sile ponad stu żołnierzy dowodził por. Maksymilian Sznepf, w latach 60. pułkownik, szef Studium Wojskowego Uniwersytetu Warszawskiego.

Między 12 a 19 lipca podczas przeczesywania rozległych obszarów Puszczy Augustowskiej, sięgających poza dzisiejsze granice z Litwą i Białorusią, ujęto 7049 osób. Z tej liczby zwolniono 5015

osób, a wśród pozostałych zatrzymanych rozpoznano 844 „bandytów” (czyli uczestników polskiego ruchu niepodległościowego). Podano, że 252 z nich było „Litwinami”. Naprawdę byli oni polskimi partyzantami z Wileńszczyzny, którzy uciekli tu przed Armią Czerwoną i sowiecką okupacją. Tych przekazano organom NKWD na Litwie i ślad po nich zaginął.

Należy zsumować liczbę przeznaczonych do natychmiastowej likwidacji tak zwanych bandytów – czyli 592 zamordowanych Polaków + 252 zamordowanych „Litwinów” – i otrzymaną liczbę (844) zsumować z liczbą osób przeznaczonych do dalszego śledztwa (1090), po których również ślad się urywa. Dodając 844 do 1090, otrzymamy sumę zamordowanych, czyli 1934. Niemal 2 tys. Polaków!

Do dziś nie znaleziono miejsc, gdzie naszych rodaków zamordowano, a następnie gdzie ich zakopano w dołach śmierci. Wskazywano różne miejscowości – na przykład Giby, gdzie nawet odkryto zbiorowe mogiły, które jednak okazały się grobem żołnierzy niemieckich. Być może należy szukać w Puszczy Rominckiej w rejonie tamtejszej kwatery Göringa. Wskazywano też Naumowicze pod Grodnem, Kalety oraz leśniczówkę Giedź – po białoruskiej stronie, ale przy samej granicy z Polską.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



ROS, JACEK GRABUJEC

Już 29 października

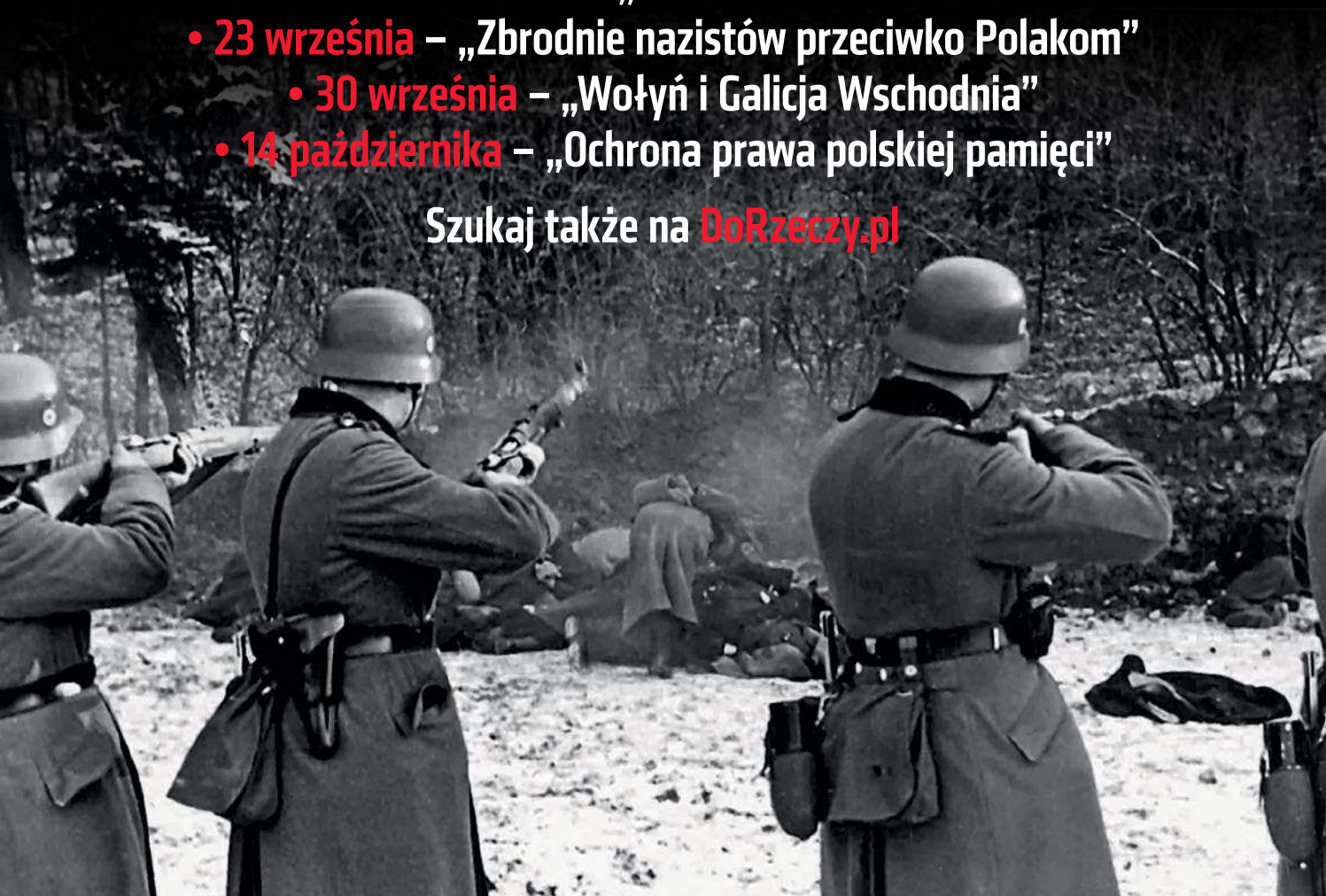
Konferencja

„Polska hekatomba i walka z polonofobią”

Co tydzień w tygodniku „Do Rzeczy”:

- 16 września – „Zbrodnie sowieckie”
- 23 września – „Zbrodnie nazistów przeciwko Polakom”
- 30 września – „Wołyń i Galicja Wschodnia”
- 14 października – „Ochrona prawa polskiej pamięci”

Szukaj także na DoRzeczy.pl



Współfinansowane ze środków Funduszu Sprawiedliwości,
którego dysponentem jest Minister Sprawiedliwości

Organizatorzy:



Ukradzione dzieciństwo

Partner merytoryczny dodatku:



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

eprasa.pl 16e1657e1e

UKRADZONE DZIECIŃSTWO

80 rocznica wybuchu II wojny światowej jak każda okrągła data skłania większość z nas do refleksji nad różnymi aspektami tej wyjątkowej w dziejach narodu polskiego hekatombie. Na marginesie tych rozważań pozostają z reguły losy mało eksponowanej części społeczeństwa – a mianowicie dzieci. A wielka szkoda – ponieważ ze względu na upływ czasu – to obecnie jedyni już świadkowie, którzy zapamiętali lata II wojny i mogliby jeszcze podzielić się swoją wiedzą z młodym pokoleniem. A mają oni o czym opowiadać. Wbrew obiegowej opinii wcale nie mamy tu bowiem do czynienia z grupą o jednolitych doświadczeniach i postawach życiowych. Widzimy tu całe zróżnicowanie zachowań typowych dla świata dorosłych. Najlichniesza kategoria to obserwatorzy – świadkowie. Mimowolnie, ale przecież nie ślepi i głusi uczestnicy koszmarów wojny, których wspomnienia przesiąknięte są obrazami dramatycznych przeżyć. Bardzo pojemna i wewnętrznie zróżnicowana jest kategoria ofiar represji stosowanych przez obydwo okupantów: deportowani i wywiezieni, więźniowie niemieckich obozów koncentracyjnych i sowieckich obozów pracy, ofiary zbrodniczych eksperymentów medycznych i procesu wynarodowiania, pacyfikacji i zagłady (Żydów i Romów), masowych egzekucji i codziennego terroru. Są też ofiary pracy przymusowej, codziennego poniżania i wszechobecnego strachu, którym tak trudno można było znaleźć nawet okruczności normalnego dzieciństwa. Po drugiej

stronie pełnego spektrum postaw stoją obrońcy. Dzieci patriotycznie wychowane w szkołach II RP i rodzinach były gotowe do najwyższej ofiary w obronie swojej małej i dużej ojczyzny. Wypełniały one szeregi Szarych Szeregów, Hufców Polskich, Związku Koniczyn i wielu innych organizacji konspiracyjnych grupujących ludzi młodych. Na skutek dramatycznych sytuacji osobistych (głównie utraty rodziców) nierzadko dołączały one też do oddziałów zbrojnych. Z dnia na dzień stawały się wówczas mimowolnie dorosłymi – zyskując, pomimo swoich zaledwie kilkunastu lat багаж doświadczeń typowy dla ludzi wielokrotnie starszych. Wybory, jakich dokonywały w obliczu wojny dzieci, nie zawsze jednak rodziły dobro. Poddane presji dwóch systemów totalitarnych, pod wpływem dorosłych angażowały się także w różne formy współdziałania z okupantami, balansując niejednokrotnie na cienkiej granicy dzielącej „oszukiwanych” od „oprawców”. Kolejna, ostatnia już kategoria, to mali emigranci – dzieci wyrwane z piekła Sybiru, przymusowych robót ponad siły w III Rzeszy, z rąk Lebensbornu – pozbawione opieki bliskich, zagubione na tułaczach szlakach – od Indii, przez Palestynę, Liban, RPA aż po Nową Zelandię i Meksyk. Dla nich wszystkich – tak jak i dla wielu dzieci w Polsce wojna nie zakończyła się w 1945 r. Doświadczenia, jakie stały się ich udziałem, łączyły je bowiem w jedną wspólną kategorię – „okaleczonych”. Dzieci – z ukradzionym dzieciństwem, którego miejsce na długie, długie lata zajęła wojna i jej dramatyczne konsekwencje.

dr Tomasz Łabuszewski

OFIARY

Dzieci to najbardziej bezbronna grupa polskich ofiar wojny totalnej zaplanowanej przez III Rzeszę i ZSRS. Były one obserwatorami – świadkami niewyobrażalnego wręcz terroru. Towarzyszyły rodzicom w ich cierpieniu w czasie wysiedleń, deportacji, pracy przymusowej, pobytu w gettach, w ostatniej najczęściej wspólnej drodze w obozach zagłady i obozach koncentracyjnych, ludobójstwu na Kresach czy rzezi Woli w czasie powstania warszawskiego. Same też stały się celem represji. Nieprzypadkowo spośród około 6 milionów polskich strat bezpowrotnych aż 2 miliony stanowiły dzieci, w tym aż 1,8 miliona poniżej 15. roku życia. Tak szokująco wysoka liczba nie wynikała wyłącznie z tego, że były

najbardziej bezbronne. Ich eksterminacja stanowiła bowiem celowy element Generalnego Planu Wschodniego (Generalostplan), którego wynikiem miało być wyniszczenie narodu polskiego. Poza eliminacją tzw. grupy przywódczej konieczne było stworzenie luki pokoleniowej, co w krótkim czasie doprowadziłoby do drastycznego spadku liczby urodzeń, a tym samym gwałtownego zmniejszenia się liczby Polaków. Z tego samego powodu polskim rodzinom na terenach wcielonych do Rzeszy zakazano posiadania więcej niż jednego dziecka.

Dzieci tak jak dorośli były ofiarami zbiorowych mordów. W powstaniu warszawskim zginęło według szacunkowych danych 170 tys., ludności cywilnej, a tylko w ciągu trzech dni od 5 do 8 sierpnia 1944 r. na Woli Niemcy wymordowali 40 tys. mieszkańców w tym również ogromną – nieznaną bliżej liczbę dzieci.

Wanda Lurie tak wspominała śmierć swoich dzieci:

Podeszłam więc w ostatniej czwórce razem z trojgiem dzieci do miejsca egzekucji, trzymając prawą ręką dwie rączki młodszych dzieci, lewą – rączkę starszego synka. Dzieci szły płacząc i modląc się. Starszy, widząc zabitych, wołał, że i nas zabiją. W pewnym momencie Ukrainiec stojący za nami strzelił najstarszemu synkowi w tył głowy, następne strzały ugodziły młodsze dzieci i mnie. (...) Kula trafiła w kark z lewej strony i przeszła przez dolną część czaszki wychodząc przez prawy policzek.

Dzieci były tak jak dorośli były ofiarami pracy przymusowej. W czasie całej wojny do III Rzeszy wywiezionych zostało blisko 3 miliony osób, w tym aż 700 tys. poniżej 15. roku życia. Dzieci i młodzież pracowały w takich samych warunkach jak dorośli. Tak samo cierpiały z powodu katorżniczej pracy, głodu, pozbawione były opieki medycznej.

Halina Lewicka-Paszkowska (12 lat) wspominała:

Warunki pracy były potworne, wszystkich operacji przy kulkach łożyskowych dokonywało się w naftie. Moja matka miała dłonie i przedramiona wyżarte przez naftę do kości, po półrocznym pobycie ważyła 38 kilogramów (...) Ja dostałam wysypki na całym ciele i potworne rany potworzyły mi się pachami, na nogach miałam ropnie wielkości orzecha. Leczyć się nie mogliśmy, byliśmy niewolnikami.

Eksterminacji i wyniszczeniu narodu polskiego towarzyszyła na ziemiach pod okupacją niemiecką planowa zagłada polskich Żydów. Od 1940 r. byli oni zamykani w gettach, gdzie umierali masowo w wyniku głodu, chorób zakaźnych, ogólnego wyniszczenia organizmu Mieszkańców



Dzieci Warszawy – świadkowie wywózki ze stolicy. FOT. MUZEUM DULAG 121



Trójka szczęśliwców, którym udało się dotrzeć do Armii Andersa FOT. ZE ZBIORÓW PRYWATNYCH



Dziecko - jedno z ofiar masowych deportacji sowieckich FOT. ZE ZBIORÓW PRYWATNYCH

getta, w tym również dzieci nie chroniły żadne prawa, a terror był wszechobecny.

16-letnia Rutka Laskier z getta w Będzinie pisała we wspomnieniach:

Coś we mnie pękło. Kiedy przechodzę obok Niemca, kurczę się cała w środku. Nie wiem, czy ze strachu czy z nienawiści. Widziałam jak żołnierz wyrwał kilkumiesięczne dziecko z ramion matki i rzucił nim o latarnię. Mózg dziecka rozprysnął się na drzewo. Matka oszalała. [...] Pętla na szyi zaciska się coraz bardziej. Straciłam resztki nadziei. Gdyby istniał Bóg, nie dopuściłby do tego, żeby ludzi wrzucano żywcem do ognia, żeby małe dzieci deptano butami czy miażdżono kolbami karabinów. Żeby pozbawionych wszystkiego

ludzi gazowano na śmierć. To brzmi jak baśń. Ten, kto tego nie widział, nigdy nie uwierzy. To nie jest mit, to prawda.

W 1942 r. Niemcy przystąpili do likwidacji gett i zaczęli wysyłać mieszkających w GG Żydów do obozów śmierci w Treblince, Sobiborze, Bełżcu, Auschwitz-Birkenau. Całe rodziny były w nich mordowane wraz z dziećmi.

Oto wstrząsający obraz z Auschwitz: Widziałem [...] jak w rejon dołów zajeżdżały kolejno trzy samochody ciężarowe – wywrotki, załadowane żywymi dziećmi. Samochody te podjeżdżały tyłem do krawędzi dołów i przechylając skrzynie zsyływały przywiezione dzieci wprost w ogień. Było w tym coś tak niehumanitarnie przerażającego, że doznałem wówczas głębo-

kiego wstrząsu psychicznego, którego skutki odczuwam aż po dzień dzisiejszy. Niektóre większe dzieci przerażeniu rzuciły się na oślep do ucieczki. Nie wiedziały nieszczęśliwe, że nie ma dla nich ratunku. Esesmani chwyтали je bez trudu lub zabijali strzałami, żywe lub martwe wrzucając do dołów. Wtedy uwierzyłem, że na ziemi może istnieć piekło.

Szacuje się, że w Zagładzie zgotowanej przez Trzecią Rzeszę zginęło 2 mln 700 tys. polskich Żydów, w tym 600 tys. dzieci.

Podobnie jak Niemcy, również Sowieci od samego początku wojny przystąpili do planowego wyniszczania narodu polskiego. W czterech deportacjach w latach 1940–1941 wywieziono w głąb ZSRS według różnych szacunków nawet milion Polaków do ciężkiej, katorżniczej pracy, a wśród nich około 180 tys. dzieci. Podobnie jak pod okupacją niemiecką Polacy byli pozbawieni wszelkich praw, opieki medycznej, a głód i choroby zakaźne dziesiątkowały głównie dzieci. Tak w ich wspomnieniach wyglądała podróż i niewolnicza praca w ZSRS:

Na spakowanie rzeczy dali nam pół godziny. [...] Zapakowali nas do ciemnych wagonów towarowych i wywieźli w głąb Rosji. Po drodze przez kilka dni nie dawali nam wody ani jedzenia. Wyładowali nas na stacji „Aczyńsk”. Stamtąd szliśmy 60 kilometrów do kołchozu, gdzie nas przypisali. [...] Codziennie chodziłam do lasu narząbać drzewa. Pracowałam, stojąc po kolana w gnoju. Dostawałam za to 300 gramów chleba na dzień i to musiało mi wystarczyć. Były dni, że nie dostawałam niczego, ani moja mama, ani brat, i wtedy mdleliśmy z głodu.



Dzieci Zamojszczyzny FOT. IPN



Jedno z najmłodszych ofiar holocaustu FOT. IPN

Tragiczne losy ludności polskiej, w tym i polskich dzieci, dopełniły się na Kresach w latach 1943–1944, kiedy to Ukraińcy wymordowali około 100 tys. osób, na Wołyniu – 60 tys. w Małopolsce Wschodniej kolejne 40 tys. Okrucieństwem dorównywali obu okupantom niemieckiemu i sowieckiemu.

Jedna z ocalałych cudem osób wspomina:

Razem z matką byłem w ostatniej, niepełnej dziesiątce. Przede mną szły na śmierć trzy osoby, a ja za nimi, ale matka przywołała mnie do siebie. Pocałowała mnie w czoło, odwróciłem się i poszedłem w stronę Ukraińców. Widziałem, jak pierwsza osoba padła, do drugiej strzelał inny, a ten, co zabił pierwszą, szedł zabić trzecią. Ja byłem czwarty. Przyszło mi myśl udawać trupa. Zakryłem twarz i oczy rękami, żeby nie pokłóć twarzy o ściernisko i padłem, jak padali zabici.

dr Dariusz Gałaszewski

OBROŃCY

Młodzi ludzie od początku wojny masowo garnęli się do polskich konspiracji niepodległościowych opartych



Tomasz i Stanisław Byszko z poleskiej AK – przygarnięci przez oddział „Watra IV” FOT. ARCHIWUM AK KRAKÓW

na zaciągu ochotniczym. Tworzyli też własne organizacje – takie jak Polską Ludową Akcję Niepodległościową, Orleńską, Szare Szeregi, Związek Koniczyn (od 1943 r.), Bądź Gotów, Hufce Polskie, Organizację Małego Sabotażu „Wawer”, Organizację Małego Sabotażu „Palmiry”, Teren Młodzieży, Unię Młodzieży, Grupę Młodzieży „Płomienie”, Młodzież Wielkiej Polski (przekształconą następnie w Młodzież Wszechpolską), Związek



Jerzy Widejko „Jureczek” z dowódcą 3 Brygady Wileńskiej AK por. Gracjanem Frógiem „Szczercem” FOT. ZE ZBIORÓW K. KRAJEWSKIEGO

Młodzieży Socjalistycznej, Porozumienie Organizacji Młodzieżowych.

Najsilniejszą organizacją skupiającą dzieci i młodzież był działający od 27 września 1939 r. w konspiracji (jako Szare Szeregi) Związek Harcerstwa Polskiego. Liczył on blisko 10 tys. uczestników, w tym ponad 4 tys. w najstarszej grupie wiekowej, skupiającej młodych ludzi powyżej 19 lat. Żeńska część ruchu harcerskiego działała w odrębnej strukturze, tj. Organizacji Harcerzek („Związek Koniczyn”, od 1943 r. „Bądź Gotów”).

Całkowicie innym zjawiskiem była obecność w szeregach oddziałów partyzanckich nieuzbrojonej wcześniej dzieci i młodzieży. Dochodziło do niej w końcowym okresie wojny. Zawsze miała ona jednak charakter incydentalny i wynikała najczęściej, tak z silnego napięcia ideowego, jak i bardzo trudnej sytuacji życiowej (pełnego sieroctwa), w jakiej znalazły się dzieci – młodzież poszukujące właśnie tam opieki i ochrony przed represjami. Doskonałym przykładem takiej historii jest postać najsłynniejszego bodajże „małego partyzanta” Jerzego Widejki „Jureczka”, jedenastoletniego sieroty, przygarniętego przez żołnierzy 3 Brygady Wileńskiej AK por. G. Fróga „Szczercba”. Skierowany do pomocy rusznikarzowi, z dumą opowiadał potem:

Po kilku tygodniach nauczyłem się rozkładać i składać broń różnego rodzaju, nie wyłączając automatów i karabinów maszynowych, które precyzyjnie naprawiał „mój” rusznikarz. [...] uczestniczyłem we wszystkich akcjach prowadzonych przez całą Brygadę: w zajęciu miasta Nowe Troki, w zasadzkach na szosach na kolumny transportu niemieckiego, w rozbiciu garnizonu wojsk litewskich SS gen. Plechawiczusa w Murowanej Osmiance oraz w walkach o wyzwolenie Wilna.

Także 5 Brygada Wileńska AK mjr. Zygmunta Szendzielarza „Łupaszki” miała swoich małoletnich żołnierzy – Mieczysława Abramowicza „Miecia” i Rajmunda Drodza „Mikrusa”, czy Danutę Siedzikówną „Inkę”. W oddziale „Watra IV” ppor. St. Nabiałka „Marka” w Okręgu AK Polesie służyli: jedenastoletni Ryszard Terpiłowski – sierota, którego rodzice – członkowie placówki terenowej AK zostali zamordowani przez Niemców, Tomasz Byszko oraz jego nieco starszy brat Stanisław. W zgrupowaniu por. cc. Jana Piwnika „Ponurego” służył czternastoletni Henryk Fafara „Sokolik”, a w oddziale por. Antoniego Hedy „Szarego” – Henryk Jaroszyński „Felek”. Osobna karta to waleczni mali powstańcy Jerzy Bartnik „Magik”, Jerzy Kotuszewski „Jurek”, Andrzej Sz wajkert „Jędrus”, Wojciech Wajszczuk „Wojtek”, Witold Modelski „Warszawiak”, czy też najbardziej znany dzięki powstańczej kronice filmowej jedenastoletni Wojciech Zalewski „Orzeł Biały”. Wszyscy poza „Magikiem” polegli w walkach w stolicy.

„Miałem wtedy dziesięć lat. Taki małałat mógł być przyjęty do AK tylko na warunkach szczególnych, a były to przede wszystkim pochodzenie z rodziny patriotycznej oraz harcerskie wychowanie”.

Rudolf Ogrodzki, Ja też byłem partyzantem **dr Tomasz Łabuszewski**

OBSERWATORZY

Wojna, która wtargnęła w życie dzieci, natychmiast ukazała swoje nowe oblicze – była to wojna totalna, nieoszczędzająca cywilów, kobiet i dzieci, tocząca się także przeciwko nim poza polami bitew. Obserwacja zbrodni, śmierci i zniszczenia będzie odtąd wywierać ogromny wpływ na rozwój polskich dzieci i młodzieży, rujnując ich dzieciństwo.

Lato 1939 r. upływało jeszcze na ogół beztrosko. We wspomnieniach dzieci dominują opisy wakacyjnych zabaw, tradycyjnych wyjazdów rodzinnych „na letnisko” czy pracy w polu. Pierwsze symptomy zbliżającej się wojny to przede wszystkim manewry wojsk gdzieś w pobliżu, które stanowiły jeszcze dodatkową atrakcję, doniesienia w prasie i radiu, propagandowe plakaty na ulicach i wcześniejsze powroty z wakacji. W relacjach pojawia się obserwacja, że dzieci dużo rzadziej widywały swoich ojców, ojców kolegów i innych sąsiadów – oficerów pobliskich pułków. W wielu domach szyto maski gazowe



Dzieci polskie wywiezione na roboty do III Rzeszy z powiatu Ostrów Mazowiecka FOT. IPN

i naklejano skrzyżowane paski papieru na okna, aby uniknąć pokaleczeniu odłamkami szkła podczas wybuchu bomb. 30 sierpnia prezydent Ignacy Mościcki zarządził powszechną mobilizację Wojska Polskiego.

Z perspektywy lat takie rozstanie dla wielu polskich rodzin okazało się ostateczne – dzieci już nigdy nie zobaczyły swoich ojców, którzy zmobilizowani we wrześniu, nie powrócili do domów – polegli na polu bitwy albo dostali się do niewoli niemieckiej lub sowieckiej i znaleźli swoje miejsce w Katyniu, Charkowie czy Twerze.

Nawet jeśli rankiem 1 września dzieci o wybuchu wojny dowiedziały się od rodziców, z gazet i komunikatów radiowych, bardzo szybko poznały, czym jest naprawdę wojna – naloty bombowe, ostrzeliwanie cywilów przez niemieckich pilotów, ewakuacja i ucieczki przed wojskami niemieckimi, życie w bronionych, oblężonych miastach. Szczególnym przeżyciem był widok pierwszych ofiar – zabici i ranni to często osoby bliskie, znajomi, sąsiedzi, koledzy z podwórka. Odtąd będzie to najsilniejszy element wojennej destrukcji i oswajania się ze śmiercią. Tak bombardowanie Lublina wspominał kilkunastoletni wówczas Jerzy Wolski

Wysunęłam się na ulicę zalaną promieniami słońca. Widać były liczne dymy pożarów, ulice zasłane były odłamkami szyb. Okazało się, że bomby padły na naszej ulicy. Zaraz obok, na ulicy Pawiej, cały dom legł w gruzach, drugi dom miał wyrwaną całą przednią ścianę, widać było wewnątrz mieszkań. Dalej, pośrodku ulicy, rozbity mały domek, kurz, leje od bomb i cztery zmasakrowane trupy: mężczyzna, kobieta, dwoje dzieci, chyba cała rodzina.

Łącznie we wrześniu 1939 r. zostało zbombardowanych przez niemieckie lotnictwo około 158 miast i 476 wsi. Skwery, ulice, parki, przydrożne łąki i rowy, dotychczasowe miejsca zabaw stały się teraz miejscami tymczasowego pochówku żołnierzy i cywilów.

Wspólnym przeżyciem dzieci – obserwatorów był pierwszy widok niemieckich i sowieckich żołnierzy. Był on czymś obcym i niepokojącym w dotychczas znanym dzieciom otoczeniu, wywoływał u nich strach i niepewność, co przyniesie przyszłość. Mali obserwatorzy wkraczali całkowicie nieprzygotowani w odmienny i zupełnie dla nich niezrozumiały etap życia. Wrogie mundury, wojskowe i policyjne auta szybko wpisały się w krąg ich obserwacji zarówno pod okupacją



Dzieci – więźniowie KL Auschwitz FOT. IPN

sowiecką, jak i niemiecką. Taki widok zawsze powodował strach i poczucie zagrożenia.

Niezwykłym dokumentem przeżyć i obserwacji wojny i okupacji są wypracowania i rysunki dzieci wykonane tuż po wojnie na zlecenie Ministerstwa Oświaty. Dzieci nie mogły uchronić się przed brutalnością wojny, były świadkami aresztowań, egzekucji, wysiedleń, wywózek, likwidacji gett, pacyfikacji wsi, bicia, wyniszczenia, chorób. „Niemcy aresztują i wywożą mężczyzn z naszej wsi”, „Przymusowe wysiedlanie Polaków”, „Żandarmi niemieccy zabierają moje siostry do Niemiec”, Aresztowanie mojego brata”, „Niemcy palą książki i rzeczy z kościoła”, 10 listopada 1939 r. wywóz więźniów za park na rozstrzelanie przez gestapo w Koninie”, „Niemcy pędzą Żydów”, „Egzekucja na ul. Piusa w Warszawie”, „Widziałem Polaków powieszonych w Lublinie” – tytuły rysunków dzieci w wieku 10–12 lat brzmią jak oskarżenia niemieckich zbrodni.

Wstrząsającą relacją z publicznej egzekucji opisuje w swoim wypracowaniu Andrzej Strojek, uczeń klasy VI ze Sławatycz:

Po jakimś czasie podjechała furmanka, na której leżały zwłoki pomordowanych Żydów. Trupa zabrano, a kałużę krwi zasypało ziemią. O kilka domów od nas na jednym podwórku zamordowano siedmiu, krew z tych trupów płynęła strugą aż na ulicę. Obraz trupa starego Żyda i struga krwi ludzkiej stoją mi wciąż przed oczami i do dzisiaj nie mogę jej zapomnieć...

Kiedy dzieci obserwują zbrodnie z ukrycia, ratują swoje życie – podczas akcji w getcie, rzezi wołyńskiej czy pacyfikacji wsi:

Ja nie mogłem uciekać, wobec tego że chorowałem na nogę i ukryłem się pod podłogą w stodole. [...] widziałem, jak Niemcy ze szkoły wyprowadzali po 5 osób i rozstrzelali je. Strzelali do ludzi z pistoletu w tył głowy, a jeden z nich maszynowym pistoletem dobijał rannych i zabijał małe dzieci. [...] Mnie Niemcy nie odnaleźli w kryjówce, dlatego ocalałem.

Wszystkie obserwacje, sytuacje, których dzieci były świadkami w czasie wojny i okupacji, nie dają się oddzielić od silnych przeżyć i wstrząsów psychicznych. Są to doświadczenia w wyniku których świadek również staje się ofiarą, a bycie „tylko” obserwatorem nie stanowi gwarancji neutralności i powoduje tylko odroczone w czasie przeżycie traumy i okaleczenia psychiki.

Edyta Gula



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

Zapraszamy na wystawę!

Ekspozycja przygotowana przez Instytut Pamięci Narodowej Oddział w Warszawie ukazuje zmiany jakie nastąpiły w życiu najmłodszych w związku z wybuchem II wojny światowej.

Ogromna trauma, którą przeżywali w latach wojny, skradła im spokojne dzieciństwo – czas pełen nadziei, beztroskiej zabawy i miłości. Wybuch wojny w 1939 roku sprawił, że ten świat przestał istnieć. Zastąpiły go groza, okrucieństwo i codzienne świadectwo śmierci. Autorzy wystawy przedstawili losy polskich dzieci z różnych mniejszości narodowych w tym: Żydów, Romów, Ukraińców, Białorusinów, Poleszuków, Karaimów, Ormian, Hucutów, a także ich traumatyczne przeżycia związane z pobytom w getcie, z przymusową pracą, deportacjami oraz egzekucjami.

Wystawa podzielona jest na siedem części, które pokazują dzieci w różnych rolach życiowych:

Życie przedwojennych dzieci

Obrońcy

Oszukani?

Ofiary

Obserwatorzy

Okaleczeni

Emigranci

Losy dzieci od okresu międzywojennego do zakończenia II wojny światowej. O wyborach między byciem ofiarą, biernym obserwatorem a obrońcą.

Białystok

Dziedziniec Teatru
Dramatycznego
25/07/2019 – 20/09/2019

Gdańsk

Przed siedzibą IPN,
al. Grunwaldzka 216
2/09/2019 – 22/09/2019

Kielce

Centrum Edukacyjne IPN
Przystanek Historia, ul.
Warszawska 5
2/10/2019 – 31/10/2019

Kraków

pl. Szczepański
29/08/2019 – 16/09/2019

Olsztyn

Centrum Konferencyjne
Uniwersytetu Warmińsko-
Mazurskiego,
ul. B. Dybowskiego 11
16/09/2019 – 30/09/2019

Poznań

Park „Ogród Zamkowy
im. Ofiar Katynia i Sybiru”
3/09/2019 – 20/10/2019

Przemysł

Plac Niepodległości
30/08/2019 – 30/09/2019

Racibórz

Raciborskie Centrum Kultury,
ul. Chopina 21
5/09/2019 – 5/10/2019

Szczecin

Centrum Edukacyjne IPN
Przystanek Historia,
al. Wojska Polskiego 21
23/08/2019 – 10/09/2019

Świdnik

Miejski Ośrodek Kultury
29/08/2019 – 20/09/2019

Toruń

Plac przy Pomniku
Pamięci Ofiar
Zbrodni Pomorskiej
26/09/2019 – 11/10/2019

Warszawa

Bazylika Katedralna
św. Floriana
i św. Michała Archanioła,
ul. Floriańska 3
1/09/2019 – 30/09/2019

Wieluń

Plac przed kościołem
pw. św. Józefa Oblubieńca
Najświętszej
Maryi Panny od strony
ul. Królewskiej
nieopodal pl. Legionów
29/08/2019 – 12/09/2019

Wrocław

Plac przed
Dworcem Głównym PKP
ul. Marszałka Józefa
Piłsudskiego
30/08/2019 – 7/10/2019

UKRA DZIO NE DZIE CIŃ STWO

Więcej informacji na stronie: ipn.gov.pl



A jednak wojna

Partner dodatku:



KGHM
POLSKA MIEDŹ

eprasa.pl 16e1657e1e

W matni



Maciej Rosalak

Matnia oznacza sytuację bez wyjścia, wpadnięcie w sidła, potrzask, śmiertelną pułapkę. Właśnie w matni znaleźli się w 1939 r. Polacy

W matni znalazła się też Polska jako państwo. Miała przed sobą alternatywę: spełnienie żądań Niemców albo zbrojny opór w obronie niepodległości. Wybór pierwszej ewentualności łączył się z takimi konsekwencjami jak oddanie na „dzień dobry” praw w Gdańsku i suwerenności na Pomorzu, a następnie zapewne całego Pomorza, Wielkopolski i Górnego Śląska, oraz wojna z Sowietami u boku III Rzeszy. Czyli wyprawę uległego wasala pod rozkazami agresywnego suwerena, głoszącego wyższość rasy niemieckiej, dążącego nie tylko do rozprawy z bolszewickim zbrodniczym wschodem, lecz także z demokratycznym zachodem.

Gdzie znalazłaby się po takiej wojnie Polska? Jaka by ona była? Czy w ogóle by była? Czy jakkolwiek naprawdę polski rząd (nieważne, czy sanacyjny, czy endecki, czy ludowy), ale przede wszystkim polski naród dumny z odzyskanej niepodległości byłby gotów zgodzić się na tak haniebną kapitulację? To jest pytanie retoryczne. Ani rząd, ani naród. Nie wtedy.

– A więc wojna! – usłyszeli słuchacze Polskiego Radia rankiem 1 września roku pamiętnego podniesiony głos spikera. A więc wojna... Polacy przystąpili do niej ufni w siłę swojej armii, w obietnice skutecznej pomocy ze strony potężnych sojuszników – Francji i Wielkiej Brytanii – przyjmując jako pewnik neutralność

związanego z nami układem o nieagresji Związku Sowieckiego. I oto wszystko zawiodło.

A WIĘC WOJNA...

Sztab Naczelnego Wodza trafnie ocenił siłę Wehrmachtu oraz odczytał zamierzenia i przewidział ugrupowanie wojsk nieprzyjacielskich. Nie przeprowadzono jednak dogłębnych studiów ani gier sztabowych, które wykazałyby, czym grozi armii polskiej zastosowanie doktryny blitzkriegu przez Niemców. Pochodną są wszystkie kolejne katastrofalne błędy: brak zapewnienia odpowiedniej łączności Naczelnego Wodza z dowództwami armii, nieutworzenie dowództw frontów, kordonowe rozmiesz-



Adolf Hitler przyjmuje defiladę niemieckich sił zbrojnych w Warszawie w AI. Ujazdowskich po zakończeniu kampanii wrześniowej, 5 października 1939 r. FOT. EAST NEWS

czenie wojsk wzdłuż granic, liczenie na to, że łączność, komunikacja, zaopatrzenie i manewry odwrotowe będą przebiegać sprawnie mimo miażdżącej przewagi przeciwnika we wszystkich rodzajach broni, a zwłaszcza w lotnictwie i szybkich jednostkach pancerno-motorowych.

Niemiecki plan uderzenia na Polskę („Fall Weiss”) zakładał pobicie, okrążenie i unicestwienie głównych sił polskich na zachód od Wisły za pomocą szybkich, potężnych uderzeń z północy, północnego zachodu, południowego zachodu i południa. Słynne klęski stanowiły dwie grupy armii. 1 września 1939 r. Niemcy użyli przeciw Polsce: ponad 1,8 mln żołnierzy, ok. 3 tys. czołgów, 10 tys. dział i moź-

dzierzy, ponad 2 tys. samolotów. Wojska lądowe były zorganizowane w 41 dywizji piechoty (do czego należy dodać siły równie dalszym dziewięciu dywizjom, złożone z jednostek straży granicznej, jednostek fortecznych i innych), trzy dywizje piechoty górskiej, cztery dywizje piechoty zmotoryzowanej, cztery dywizje lekkie, siedem dywizji pancernych i brygadę kawalerii.

Polacy przeciwstawili ok. 1 mln żołnierzy, 800 czołgów, ponad 4 tys. dział i moździerzy, 400 samolotów bojowych. Wojska lądowe tworzyło 39 dywizji piechoty (tylko 21 w pełni zmobilizowanych i skoncentrowanych), 11 brygad kawalerii (osiem skoncentrowanych), trzy brygady górskie, jedną brygadę kawalerii zmotoryzowanej (druga była w trakcie tworzenia) i mniejsze jednostki, takie jak oddziały Korpusu Ochrony Pogranicza, Obrony Narodowej, morskich strzelców.

Doktryna blitzkriegu sprawdziła się po raz pierwszy właśnie we wrześniu 1939 r., a niemiecki plan uderzenia na Polskę – choć z konieczności korygowany – również się powiódł. Oznacza to jednocześnie, że polska koncepcja walki o wysunięte pozycje, stopniowego odwrotu na główną linię oporu i utrzymania tej linii aż do czasu skutecznej ofensywy Francji i Wielkiej Brytanii okazała się błędna. Wszystko potoczyło się szybciej, niż zakładano.

Największe męstwo, zaświadczone we wspomnieniach polskich i obcych, nie wyrównywało potwornej dysproporcji sił, nie zmieniało faktu, że toczyły się jakby dwie różne wojny. Dla żołnierza niemieckiego – wojna triumfu własnej organizacji, przewagi samolotu i czołgu, silnika i stali, wojna świetnie zaplanowana i prowadzona z konsekwencją kata. Dla żołnierza polskiego – wojna potu i krwi, zmudnych nocnych marszów i odparzonych nóg, wojna pustego żołądka i magazynka amunicyjnego, wojna bezsilnej wściekłości i zapiekłej goryczy.

Istotę rzeczy celnie ujął płk Marian Porwit: „Jedynym celem wojny jest pobicie sił zbrojnych przeciwnika [...], spełnienie zadania jest uwarunkowane samym faktem posiadania takich samych środków walki, jakie posiada przeciwnik. Zupełny ich brak może obudzić któregoś dnia niewiarę we własne możliwości i stać się źródłem załamania”.

NÓŻ W PLECY

Pierwsze uderzenia niemieckich wojsk lądowych zostały, z małymi wyjątkami, odparte niemal wszędzie. Już

po południu 1 września oraz 2 września nieprzyjaciół przegrupował wojska, podciągnął odwody, zaatakował z rozmachem w najsłabszych punktach i notował coraz większe powodzenie. W ciągu pierwszych sześciu dni oddziały polskie, na wielu kierunkach pobite i już wyczerpane, próbowały zająć główną linię obrony. Do 10 września główna linia obrony polskiej została wszędzie przełamana.

Jednak 9 września armie „Poznań” i „Pomorze” rozpoczęły zwrot zaczepny na południe, który przeszedł do historii jako bitwa nad Bzurą. Po początkowych sukcesach i rozgromieniu kilku oddziałów wroga polskie uderzenie straciło rozmach. Niemcy ściągnęli siły znacznie przewyższające to, czym dysponowali dowódcy naszych armii, oraz kierowali nad Polaków fale samolotów. Zwrócono się z kolei na wschód w celu przebicia się do stolicy. Pierścień niemiecki był jednak coraz mocniejszy, a 16 września został zamknięty. Bitwa nad Bzurą, która trwała do końca drugiej dekady września, udowodniła jednak, że wojska polskie są w stanie rozwinąć ofensywę na wielką skalę oraz bić wielkie jednostki niemieckie. Szkoda, że zwrotu tego nie dokonano wcześniej. Miażdżąca przewaga niemiecka, szczególnie w powietrzu, nie pozwoliłaby oczywiście na odwrócenie losów kampanii, ale nie zapobiegłaby jej przedłużeniu i nieco bardziej wyrównanemu przebiegowi.

Dowództwo polskie starało się skoncentrować pozostałe jeszcze siły na wschód od Wisły i przegrupować je do Małopolski Wschodniej. Jednocześnie Niemcy zostali zmuszeni do przesunięcia punktu zwarcia kleszczy wojsk nacierających od północy i południa daleko bardziej na wschód – na linii Brześć–Chełm–Lwów. Po dwóch tygodniach wojny stało się jasne, że nie można liczyć na ofensywę sojuszników.

17 września natomiast Związek Sowiecki bez uprzedzenia – zrywając układ gwarantujący pokój z Polską do 31 grudnia 1945 r. – uderzył milionową armią z tysiącami czołgów, samolotów i dział na nieliczne polskie oddziały pozostające wtedy na wschodzie. Generał Anders nazwał to „nożem w plecy”.

Rozkaz NW przewidywał unikanie walki z oddziałami sowieckimi oraz wycofywanie się na zachód i na południe. W nocy z 17 na 18 września Naczelnny Wódz przekroczył granicę rumuńską i został internowany. Podobnie

uczynił rząd. Na terytorium państw neutralnych przedostawali się żołnierze pragnący uniknąć niemieckiej niewoli i podążyć do Francji, aby dalej walczyć z hitlerowskimi Niemcami. Polska nigdy nie skapitulowała.

Porozumienie Hitlera ze Stalinem podpisane w Moskwie 23 sierpnia (a uściślone tamże 28 września, już po rozgromieniu niemal całej armii polskiej) umożliwiło pierwszemu rozpocząć wojnę, a drugiemu zagarnąć połowę terytorium Rzeczypospolitej oraz ujarzmić, a w czerwcu 1940 r. wchłonać, Estonię, Łotwę, Litwę i Mołdawię. Norman Davies pisał o pakcie Ribbentrop-Mołotow w „Szlaku nadziei”: „Często przedstawiany jest tylko jako cyniczne narzędzie polityczne ułatwiające Hitlerowi inwazję na Polskę, od której zaczęła się II wojna światowa, i zapewniające Stalinowi czas niezbędny do wzmocnienia obrony Rosji. Oznaczał on jednak znacznie więcej. Zawierał m.in. porozumienie o podziale Europy Wschodniej na niemiecką i sowiecką strefę wpływów, co wiązało się z kolejnym rozbiorem państwa polskiego. Był to w zasadzie wyrok śmierci dla Polski”.

BEZ POMOCY PRZECIW DWÓM WROGOM

Jak wynika z odprawy najwyższych dowódców Wehrmachtu, Luftwaffe i Kriegsmarine u Adolfa Hitlera w 1937 r., ten nie zamierzał wtedy wcale napadać na Polskę. Jego celem były Czechosłowacja i Francja. Po roku ta druga straciła wraz z Wielką Brytanią honor i rozum w Monachium, co zmusiło Czechów do złożenia broni i ustępstw terytorialnych na rzecz III Rzeszy, a niebawem – w marcu 1939 r. – do pełnej przed nią kapitulacji i przyjęcia niemieckiego protektoratu. Słowacja jako odrębne państwo została wasalem Niemiec.

Jednak jesienią 1938 r., nie mając już do złożenia Hitlerowi czechosłowackiej ofiary, mocarstwa zachodnie starały się usilnie skierować jego agresję na wschód. Prawdopodobnie gdyby Polska przyjęła w końcu 1938 r., bądź jeszcze na początku 1939 r., niemiecką „ofertę przymierza” – czyli oddania Gdańska i zgody na eksterytorialną autostradę oraz linię kolejową przez Pomorze – oraz wspólnego marszu na Sowiety, nikt na Zachodzie by nie protestował. Przypomnijmy, że tę ofertę minister III Rzeszy Joachim Ribbentrop złożył naszemu ambasadorowi Józefowi

Lipskiemu już 24 października 1938 r., a ten 19 listopada – w imieniu rządu RP – ją odrzucił. Propozycję ponowił wobec szefa polskiej dyplomacji sam Adolf Hitler 5 stycznia 1939 r. w Berchtesgaden, a potem – coraz bardziej arogancko – Ribbentrop 25 stycznia oraz jeszcze 21 marca.

Rząd Rzeczypospolitej Polskiej słusznie przewidywał, że przyjęcie żądań niemieckich oznaczałoby wasalizację Polski i coraz bezczelniejsze oraz dalej idące żądania ze strony Niemiec. Z punktu widzenia doraźnej korzyści, a mianowicie odsunięcia groźby klęski w wyniku wojny z potężnym sąsiadem, ofertę należałoby oczywiście przyjąć. Tak postępowały w tym czasie mniejsze kraje, choćby Węgry i Rumunia, nie mówiąc o całkiem małych, takich jak państwa bałtyckie. Przyjazny Polakom włoski prof. Marco Patricelli, gdy go zapytałem, co zrobiłby na przełomie lat 1938–1939 na miejscu szefa polskiej dyplomacji płk. Józefa Becka, wił się, unikał odpowiedzi, w końcu rzekł wymijająco: – W żadnym razie nie trzeba było iść pod niemiecki nóż...

Pułkownik Marian Porwit analizował wytyczne polskiego dowództwa, które w marcu 1939 r. nakazywało stawiać natychmiast i zdecydowanie opór zbrojny bezpośredniej lub pośredniej agresji Niemiec, co miało doprowadzić do automatycznego, czynnego wystąpienia państw zachodnich po naszej stronie. Ten dawny legionista – od 1926 r. niechętny sanacji, a w 1939 r. dowódca zachodniego przedmościa Warszawy – zauważał trafnie, że dowództwo – mówiąc o natychmiastowym wystąpieniu aliantów – nie brało pod uwagę ani takiego wariantu, że ich armie pozostaną w defensywie, ani takiego, że choć zaatakują, to bez efektu odciągnięcia sił niemieckich z frontu wschodniego. Możliwość stania przez Francuzów i Brytyjczyków z założonymi rękami ocenia następująco: „Tak obca była polskiej psychice ta hipoteza, że można usprawiedliwić wszystkich łącznie z generalnym inspektorem sił zbrojnych [czyli z marszałkiem Edwardem Śmigłym-Rydzem, podczas wojny – Naczelnym Wodzem – przyp. M.R.], że sobie takiej ewentualności nie wyobrażali”.

Natomiast alianckie usiłowania zapobieżenia wojnie, prowadzone „za pięć dwunasta”, miały opłakane skutki dla zmobilizowania i dostarczenia na pozycje przynajmniej czwartej części wojsk, które miały się tam znaleźć. Tak pisał o tym

gen. Władysław Anders: „Mobilizację ogólną, przygotowaną na 29 sierpnia, raptem odwołano. Trzeba zrozumieć: dosłownie na trzy dni przed rozpoczęciem wojny. Dziś wiemy, że stało się to wskutek *démarche* ambasadorów: brytyjskiego – Kennarda i francuskiego – Noela. Świat nie chciał wierzyć w wojnę. Polskę kosztowało to wiele, gdyż co najmniej o kilka tygodni przyspieszyło naszą klęskę”.

Cóż, dziś wiemy, że ani rząd brytyjski, który w marcu udzielił gwarancji Polsce, a 25 sierpnia zawarł z nią sojusz, ani rząd francuski, który zgodnie z dawno zawartym układem sojuszniczym obiecywał rozpoczęcie ofensywy na zachodzie najpóźniej w połowie września, nie zamierzały wywiązać się z militarnych zobowiązań. Ich nielojalność potęgowało to – o czym też dowiedzieliśmy się stosunkowo niedawno – że sojusznicy znali treść tajnego protokołu do zawartego 23 sierpnia układu Ribbentrop-Mołotow, a nie poinformowali o tym Polaków. Czyli lękali się, że Polacy ustąpią wobec Hitlera w ostatniej chwili, co ich samych narazi na prowadzenie prawdziwej wojny.

Jeszcze 12 września na tajnym (przed Polakami) spotkaniu w Abbeville premierzy Francji i Wielkiej Brytanii solennie zapewnili siebie nawzajem, że nie podejmą większych działań zbrojnych na froncie. Akurat wtedy trwało polskie kontruderzenie nad Bzurą, a Sowieta nie uderzyli jeszcze ze wschodu i nie wiadomo, czy na wiadomość o wielkiej ofensywie aliantów w ogóle odważyliby się uderzyć...

DOBRY WYBÓR NIE ISTNIAŁ

Po klęsce wrześniowej nasz opór jednak stopniowo się nasilał – zarówno w kraju, jak i na uchodźstwie, gdzie odradzały się Polskie Siły Zbrojne. Młodzi ludzie przedzierający się przez kordon sowieckie i niemieckie, uciekinierzy z obozów jenieckich nie wiedzieli wtedy, bo i skąd, że alternatywa, przed którą stanęli Polacy w 1939 r., okazała się diabelska. Dobry wybór nie istniał. Już od zawarcia sojuszu z Sowiecami w 1941 r. Brytyjczycy zaczęli coraz bardziej obcesowo poczynać sobie z Polakami, a od konferencji w Teheranie po prostu wycofywali się z gwarancji udzielonych Polsce. Amerykanie umyli ręce. Zostawaliśmy sam na sam ze Stalinem. Na próżno oczekiwaliśmy pomocy z Zachodu zarówno pod koniec, jak i na początku wojny. Matnia...

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Jesteśmy liderem w produkcji miedzi i srebra.
Umożliwiamy rozwój nowoczesnego świata.

KGHM Polska Miedź S.A. | ul. M.Skłodowskiej-Curie 48 | 59-301 Lubin | www.kghm.com



Wojna o ortodoksów w Knesecie



Tomasz P. Terlikowski
z Izraela

Gdzie dwóch Izraelczyków, tam trzy zdania i cztery partie – to przysłowie znakomicie oddaje to, co się dzieje obecnie w Izraelu. Tamtejsza ordynacja sprawia jednak, choć przy okazji wywołuje masę problemów, że wyborcy mają rzeczywisty, a nie wirtualny wybór między różnymi opcjami

Wiem oczywiście, że przysłówie, które zacytowałem na początku, odnosimy zazwyczaj do nas, Polaków, ale warto przypomnieć, że w języku angielskim identyczne przysłowie odnosi się do Żydów, a w Izraelu podczas rozmów z obywatelami tego państwa (toczonymi, co ciekawe, często po rosyjsku) cytowano je, by opisać obecną sytuację. I rzeczywiście, gdy ktoś wchodzi w system polityczny tego państwa i próbuje zrozumieć, dlaczego po wyborach w kwietniu 2019 r. już w maju rozpisano następne wybory i dlaczego wcale nie jest wykluczone, że po wyborach 17 września mogą być rozpisane jeszcze następne, to błyskawicznie zaczyna uznawać głęboką prawdę zawartą w tych słowach.

NIESKONSUMOWANE ZWYCIĘSTWO

Jednak po kolei. Zacznijmy od wydarzeń sprzed pół roku. To wtedy do Knesetu (parlamentu liczącego 120 deputowanych wybieranych w wyborach powszechnych, w jednym okręgu wyborczym, według metody D'Hondta i z trzyprocentowym progiem wyborczym) odbyły się – już wtedy przyspieszone – wybory, w których brakowało, jak zwykle, wyraźnego zwycięzcy. Powodem, dla którego tamte wybory były konieczne, stał się rozpad prawicowej koalicji, z której wystąpili Awigdor Lieberman i jego partia Nasz Dom Izrael, co sprawiło, że rząd utrzymywał się w większości dwóch głosów, co w systemie, w którym kworum na sali nie jest wymagane, a deputowani często zmieniają barwy partyjne czy głosują wbrew liderom swoich ugrupowań, było niebezpieczne.



FOT. RONEN ZWILIN/POD/CETTY IMAGES

Likud i jego lider Benjamin Netanjahu byli przekonani, że zdobędą odpowiednią większość konieczną do rządzenia, ale tak się nie stało.

Wynik kwietniowych wyborów był remisowy. Trzydzieści pięć mandatów zdobył Likud, ale identyczną ich liczbę zdobyła opozycyjna wobec niego – i uchodząca za liberalną oraz zdecydowanie świecką – zdominowana przez byłych wojskowych (warto pamiętać, że armia jest w Izraelu potęgą i jej oficerowie uchodzą za raczej lewicowo-liberalnych) koalicja Niebiesko-Białych, złożona z trzech partii: Jest Przyszłość, Moc Izraela i Telem. Likud, choć nie odniósł zwycięstwa, był w lepszej sytuacji negocjacyjnej, poza nim bowiem do Knesetu weszło jeszcze kilka ugrupowań prawicowych: przede wszystkim skupiająca podzielonych wcześniej na kilka zwalczających się odłamów religijnych syjonistów Unia Partii Prawicowych, potem dwie organizacje polityczne skupiające Żydów ultraortodoksyjnych, czyli Szaas (na którą głosują Żydzi sefardyjscy, dla których i przez których została ona utworzona), oraz Partia Tory, która skupia w swoich szeregach głównie chasydz-

kich i niechasydzkich ultraortodoksów aszkenazyjskich, i wreszcie zbierająca głosy rosyjskich Żydów partia Liebermana – Nasz Dom Izrael. Wydawało się więc, że stworzenie nowego większościowego rządu będzie proste. Ale nic z tego. Udało się wprowadzić doprowadzić do porozumienia Unii Partii Prawicowych z oboma partiami ortodoksyjnymi, ale projekt prawicowego rządu z Likudem jako główną siłą wymagał jeszcze dogadania się z Liebermanem, a to się nie udało.

PRAWICA I SPÓR O TO, KTO NAPRAWDĘ JEST ANTYSEMITĄ

O co poszło? Dla polskich wyborców może to być zaskoczenie, ale o służbę wojskową. W XX kadencji (tej przedwcześnie zakończonej w grudniu 2018 r.) prawicowa, ale skupiająca głównie niereligijnych Izraelczyków pochodzących z Rosji partia Liebermana zgłosiła projekt zniesienia – pochodzącego z pierwszych lat istnienia państwa Izrael – prawa zwalnającego ze służby wojskowej studentów jesziw, czyli żydowskich szkół religijnych. Wprowadził je twórca izraelskiego państwa, socjalista Dawid

Ben Gurion, z trzech przynajmniej powodów. Po pierwsze, choć agnostyk, był on świadomy, że Izrael jako naród przetrwał dzięki studiowaniu świętych ksiąg, i dlatego chciał zachować taką tradycję. Drugi powód był zaś bardziej przyziemny. Niewielu było wówczas ultraortodoksów w Izraelu, kilkuset, może kilka tysięcy, ustępstwo to nic zatem Ben Guriona nie kosztowało, a zapewniało mu poparcie partii religijnych. I wreszcie, po trzecie, ówczesny lider Partii Pracy był, jak to socjalista, przekonany, że ultraortodoksi w nowym Izraelu znikną, wymrą śmiercią naturalną.

O ile te dwa pierwsze założenia się sprawdziły, o tyle Izrael – choć jego społeczeństwo jest w większości laickie i niewierzące – nadal czerpie z religijnych korzeni (wystarczy wspomnieć tylko flagę, która nawiązuje do tałesu, czy stojącą przed Knesetem wielką menorę), a ultraortodoksi przez wiele lat wspierali jak mogli lewicowe rządy, pilnując tylko, by nie naruszały one prawa żydowskiego, nie zmieniały definicji żydowskości i nie próbowały nawet wprowadzić konstytucji, jedyną bowiem konstytucją Izraela jest Tora (w efekcie, a także

REKLAMA

POLSKIE ZAKŁADY BUKMACHERSKIE

PZBUK

Dziękujemy Reprezentacji Polski w koszykówce za wspaniałe emocje i gratulujemy świetnego wyniku na Mistrzostwach Świata w Chinach.

Jesteśmy dumni, że możemy sponsorować taką drużynę.

Polskie Zakłady Bukmacherskie
Pzbuk.pl

Cherry Online Polska sp. z o.o. posiada zezwolenie Ministra Finansów. Hazard wiąże się z ryzykiem. Udział w nielegalnych grach hazardowych jest przestępstwem.

18+

■ na skutek ogromnego szacunku Ben Guriona do rozwiązań brytyjskich państwo Izrael konstytucji nie ma). Trzecie założenie było jednak fałszywe. Ultraortodoksi nie tylko nie zniknęli, lecz wręcz urosli w siłę. Z niespełna 1 proc. zrobiło się ich obecnie prawie 800 tys. (8 proc. społeczności Izraela), a zwolnienie ich ze służby wojskowej jest już poważnym problemem, szczególnie w społeczeństwie, w którym w wojsku przez trzy lata służy (po maturze) każdy chłopak, a każda dziewczyna powoływana jest do wojska na dwa lata. Laicy Izraelczycy, a jest ich ogromna większość, a także mniej religijni niż „haredim” religijni syjoniści czy zwyczajni ortodoksi służący w armii uważają to za jawną niesprawiedliwość i zwracają uwagę, że to oni giną i służą za „leniących się” (a trzeba wiedzieć, że stosunek świeckiej społeczności do ultraortodoksów w Izraelu jest o wiele bardziej krytyczny i ostry niż kiedykolwiek był w Polsce wobec „moherów”). Jednym z wyrażycieli tej opinii jest prawicowy, ale świecki ruch Nasz Dom Izrael, którego wyborcami są w znaczącym stopniu migranci z Rosji, dla których jakiegokolwiek uprzywilejowanie ultraortodoksów jest nie do przyjęcia.

I właśnie na tym poległa koalicja. Lieberman zaparł się i zapewnił, że nie ustąpi z postulatu służby wojskowej dla „haredim”, Unia Partii Prawicowych wraz z dwoma partiami ultraortodoksyjnymi zapowiedziała, że nie ustąpi ani na centymetr z obrony praw studentów jesziw, a próbując zbudować koalicję Likud oskarżył Liebermana o szaleństwo i... nie mogąc przez miesiąc powołać nowego rządu, zgodnie z prawem rozpiął nowe wybory. Zanim jednak do tego doszło, lider Szaasu Arje Deri oskarżył Nasz Dom Izrael o... antysemityzm. Oczywiście nie był to jedyny spór dzielący prawicę. Izraelscy politycy spierali się także o traktowanie Hamasu, o zawieszenie broni, a nawet o to, czy – jak to zaproponował Lieberman – nie odebrać praw obywatelskich części izraelskich Arabów. Jednak to spór o służbę wojskową ostatecznie wysadził w powietrze potencjalną koalicję.

NIC SIĘ NIE ZMIENI

Tyle na prawicy, ale żeby nie było wątpliwości: izraelska lewica jest podzielona przynajmniej równie mocno co prawica, tyle że w innych kwestiach. I tak po wyborach do Knesetu w kwiet-

niu 2019 r. w ławach poselskich zasiadli deputowani niegdyś najpotężniejszej partii w Izraelu, czyli centrolewicowej Partii Pracy, obok nich siedzieli lewicowcy z Merca (powstałej ze zjednoczenia rozmaitych ruchów lewicowych, w tym izraelskich komunistów z Mapai), a także przedstawiciele dwóch partii arabskich. Jeśli komuś tego było jeszcze mało, to w ławach siedzą także przedstawiciele partii centrowych i liberalnych, z których część startuje w obecnych wyborach z list Likudu.

Czy nowe wybory przyniosą rozwiązanie patowej sytuacji? Niewiele na to wskazuje. Likud i Niebiesko-Biali idą łeb w łeb i według sondaży publikowanych choćby przez „Ha-Aretz” zebraliby obecnie po 31–32 fotele w Knesecie, ultraortodoksi z Partii Szaas i Partii Tory po siedem mandatów (czyli nieco więcej niż poprzednio), Nasz Dom Izrael 10, a może 11 mandatów, i tyle samo zbierze Unia Partii Prawicowych. Gdyby udało się osiągnąć porozumienie, to

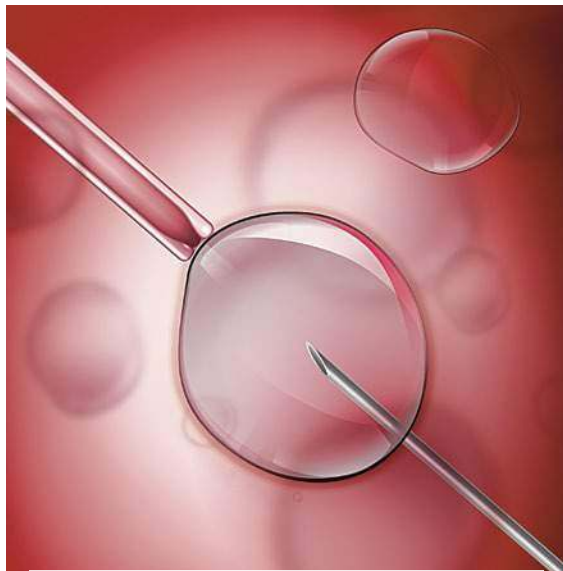
hu w licznych wypowiedziach podkreśla, że obecnie prawicowa koalicja, której będzie w kolejnym Knesecie liderem, może liczyć – według sondaży – na 56, może 57 głosów, a zatem potrzebuje jeszcze przynajmniej pięciu, by móc powołać rząd. W systemie izraelskim nie jest to jednak wcale takie proste. Mocne wypowiedzi premiera Izraela na temat irańskiego zagrożenia, jego zdecydowane działania mogą więc być jednym z elementów kampanii. Netanjahu ma pełną świadomość, że kwestie obronności, obawy przed bronią atomową w rękach Iranu są skutecznym narzędziem mobilizującym wyborców w Izraelu. Nie ma w tym zresztą nic zaskakującego. Tak się składa, że Izrael jest państwem frontowym. Państwa arabskie, a także Iran deklarują, niekoniecznie otwarcie, konieczność zepchnięcia go do morza. Stabilna władza jest istotna. Kto wie, czy zatem właśnie te ostatnie wypowiedzi nie zapewnią prawicowej koalicji władzy.

Poza rządem znajdzie się, wszystko na to wskazuje, reprezentująca interesy rosyjskich Izraelczyków, a przez to często antypolska, partia Liebermana. To ważne, bo przynajmniej część z antypolskich wypowiedzi podsycana była przez putinowską Rosję

koalicja taka – oczywiście trzeba brać poprawkę na sondaże – miałaby stabilną większość. Ale... nic nie wskazuje na to, by rzeczywiście mogła ona powstać. Różnice pozostały, a ostra rywalizacja wyborcza jeszcze je wzmocniła. Lieberman już oskarżył Likud o to, że zamierza on przemocą wygrać te wybory, wprowadził bowiem rozporządzenie, które pozwalała jego działaczom filmować akt wyborczy, Likud odpowiada, że decyzja ta ma ograniczyć nadużycia wyborcze w lokalach arabskich i że oskarżenia są absurdalne. Z kolei liderzy partii religijnych zwracają uwagę, że wrzesniowe wybory są – z punktu widzenia wyborców – kompletnie pozbawione znaczenia, ich efektem bowiem będzie nie nowe rozdanie, ale nieznaczne przesunięcia głosów, które sprawią, że o ewentualnej władzy decydować będą jeden–dwa mandaty więcej w jednej z prawicowych partii.

I właśnie o te dwa, może trzy mandaty toczy się obecnie walka. Sam Netanja-

A co z tego wszystkiego wynika dla Polski? Wszystko wskazuje na to, że Izraelem rządzić będzie nadal prawica, że losy rządu będą zależały od głosów niewielkich, często bardzo radykalnych partii, a to znaczy, że pojawiać się mogą w debacie publicznej nieprzyjemne naszemu krajowi głosy. Lider Likudu zaś niewiele będzie mógł z nimi zrobić, bo przywołanie do porządku zapalczywych polityków oznaczać zawsze może rozbięcie koalicji, a na kolejne wybory chyba nikt nie ma już ochoty. Z innego punktu widzenia pozytywne może być jednak dla nas to, że poza rządem znajdzie się, wszystko na to wskazuje, reprezentująca interesy rosyjskich Izraelczyków, a przez to często antypolska, partia Liebermana. To ważne, bo przynajmniej część z antypolskich wypowiedzi podsycana była przez putinowską Rosję, która w ogromnej diasporze rosyjskiej wciąż znajduje realizatorów swoich pomysłów na politykę międzynarodową.



IN VITRO DLA LESBIJEK

Francuski parlament rozpoczął pracę nad nową ustawą. To projekt ustawy bioetycznej, która zakłada, że zabiegi in vitro finansowane przez państwo będą dostępne również dla kobiet samotnych oraz lesbijek. Według badań homoseksualne kobiety mają częściej pragnąć potomstwa niż heteroseksualne. Nowe prawo to tylko konsekwencja wcześniejszych regulacji. We Francji związek osób tej samej płci jest „małżeństwem” i takie pary mają prawo do adopcji dzieci.

FOT. ADAM STOK

STARSZA PANI MUSI RODZIĆ

Małżeństwo z Indii od 60 lat starało się o potomstwo. Nie udało się, a 25 lat temu kobieta przeszła menopauzę. Ale hinduscy lekarze uznali, że stan zdrowia 74-latki pozwala na poddanie jej zabiegowi in vitro. Starsza pani została zapłodniona i przez dziewięć miesięcy pozostawała pod ścisłym nadzorem medyków. Niedawno w szpitalu w Guntur urodziła bliźnięta i została najstarszą pierworódką na świecie.

SĄD: DZIECKO MUSI ODEJŚĆ

Niektórzy bardzo chcą mieć dzieci, inni dzieci w mieszkaniu już ich widzieć nie chcą – zwłaszcza gdy dzieci te są dorosłe i jedynym ich pomysłem na życie jest siedzenie rodzicom na głowie. Sąd w Barcelonie zajmował się niedawno sprawą 24-latkę, który wytoczył proces obojgu swoim rozwiedzionym rodzicom. Domagał się możliwości powrotu do jednego z ich mieszkań. Chciał też, by płacili jego czesne za studia. Sąd uznał, że nie ma już do tego prawa. I podkreślił, że przez sześć lat nie utrzymywał z rodzicami kontaktu. A i tak

po nieudanym życiu na własną rękę osiadł w domu dziadków.

BABCIA MAMĄ WNUKÓW

45-letnia Valdira des Neves z Brazylii straciła córkę, a jej syn jest homoseksualistą marzącym o potomstwie. Ponieważ i mama chciała mieć dzieci, a jej syn pragnął potomka, doszli do wniosku, że mogą połączyć swoje marzenia, używając metody in vitro. Dopiero za czwartym razem medykom udało się połączyć komórki syna i matki. W ten kazirodczy sposób 45-latkę zaszła w końcu w ciążę. We wrześniu urodziła bliźnięta.

KOCIA GODZINA POLICYJNA

Władze australijskiego miasta Mount Barker zamierzają od 2020 r. przetestować nowe reguły. W jednym domu będą mogły być najwyższe dwa koty. A od godz. 20 do 7 te zwierzęta obowiązywać będzie „godzina policyjna”. Schwytyany w tym czasie kot będzie odwożony do właściciela. Chyba że nie będzie miał chipa, wtedy urzędnicy znajdą mu nowy dom. ©

Łukasz Zboralski



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

0 przodkach i potomkach

Co wynika z tego, że pradziadkami Małgorzaty Kidawo-Błońskiej byli premier II RP Władysław Grabski i prezydent (do zamachu majowego) Stanisław Wojciechowski? W gruncie rzeczy – kompletnie nic, przynajmniej w kwestii kompetencji takich czy innych.

Tak się składa, że z samego faktu posiadania zasłużonych przodków nie wynika, że jakkolwiek część ich chwały, zdolności czy zasług spada na potomnych z automatu. Przeciwnie rozumowanie, owszem, jest możliwe: jeśli potomek okazuje się prawym i dobrym człowiekiem, bywa to zasługą jego rodziców

czy dziadków, domu, w którym się wychował. Ale w drugą stronę to nie działa.

Zarazem tropicielom niegodnych powiązań rodzinnych, amatorom książek z cyklu „resortowych dzieci” chciałbym przypomnieć, że posiadanie przodków, którzy źle się zapisali, także niczego nie determinuje.

Posiadanie przodków, którzy źle się zapisali, także niczego nie determinuje

Syn sportretowanego przez Matejkę na obrazie „Rejtan”, w centralnym jego punkcie, arcyzdrój Adama Ponińskiego, również Adam, był bohaterem powstania kościuszkowskiego, został ranny w bitwie pod Racławicami i zaciekle bronił Warszawy. Gdy, nie z własnej winy, z opóźnieniem dotarł ze swoim oddziałem pod Maciejowice, ówczesni lustratorzy szybko oskarżyli go o zdradę – no bo wiadomo, Poniński. Rehabilitacja przyszła wiele lat po jego śmierci w 1816 r.

A skoro już mowa o stanowiskach za zasługi przodków – proszę mi przypomnieć kompetencje Anny Marii Anders? ©



Z Elentirem, hiszpańskim blogerem
piszącym o Polsce
rozmawia Małgorzata Wołczyk

Polska jest pogardzana za swój katolicyzm

MAŁGORZATA WOŁCZYK: Widząc, jak złą prasę ma Polska na Półwyspie Iberyjskim, tym bardziej doceniamy twoją robotę. Jak to się stało, że ty, Galicjanin z Vigo, masz tyle sympatii i podziwu dla odległego kraju?

ELENTIR: To poczucie więzi z wami wynika przede wszystkim z tego, że jestem katolikiem i zacząłem interesować się ojczyzną waszego wielkiego rodaka św. Jana Pawła II. Kiedy byłem dzieckiem, oglądałem zdumiony w telewizji strajki i manifestacje Solidarności, bo nawet nam, Hiszpanom, wydawało się wtedy, że imperium Sowietów jest nie do zniszczenia. A jednak to wy zatrzęśliście nim w posadach. Później, w miarę czytania, zasmakowałem w poznawaniu waszej historii, w szczególności tej z II wojny światowej. No i ta wasza legendarna niezłomność w czasie powstania przypieczętowała mój trwały i wierny podziw.

Znam wielu Hiszpanów, którzy recytują podobne zdania, ale nikt nie inwestuje tyle zaangażowania, czasu i pieniędzy w prowadzenie bloga, który rozpowszechnia prawdę o naszych bohaterach, męczennikach wolności i naszych zmaganiach z totalitaryzmami, a nawet z... Komisją Europejską. Jako że jesteśmy bardzo pragmatyczni, zapytam wprost: Co z tego masz?

To byłoby pytanie o sens wszystkich moich wysiłków związanych z prowadzeniem bloga „Contando Estrelas” (www.outono.net). Nie otrzymuję żadnych dotacji, konsekwentnie nie zamieszczam

reklam, nie przyjmuję datków. To moja przestrzeń wolności. Utrzymuję go z moich środków, bo jest parę rzeczy na tym świecie, które warto robić, choć się nie opłaca. Moją nagrodą jest świadomość, że robię to, co do mnie należy, i bronię wartości, dla których warto coś poświęcić. Polska pogardzana za swój katolicyzm, twarzą postawę wobec ideologii totalitarnych zasługuje na obronę zwłaszcza wobec kłamstw, które ukazują się na wasz temat. Nie mogę więc pozostać obojętnym.

Dużo hiszpańskojęzycznych czytelników interesują polskie sprawy? Jakie zasięgi ma twój blog?

Trzeba przyznać, że moje artykuły o Polsce są chętnie rozpowszechniane, jako że Hiszpanie, czytając nieznane sobie fakty z waszej historii, odnajdują w nich punkt odniesienia do bieżących wydarzeń w naszym kraju. W jakimś sensie odnajdują wsparcie i zachętę do stawiania oporu ideologicznym, „postępowym” zmianom, które tu, na Półwyspie, zaszły tak daleko. W lipcu mój blog miał 1,6 mln odsłon, co daje średnią 52 tys. wejść dziennie. To są liczby wyjątkowe jak na blog liberalno-konserwatywny w Hiszpanii, ale ufam, że woda sodowa nie uderzy mi do głowy. Najwięcej czytelników mam z Hiszpanii i krajów hiszpańskojęzycznych, ale są też ze Stanów Zjednoczonych i oczywiście

z Polski. W sumie mój blog dotarł do 2434 czytelników z Polski, za co jestem wam bardzo wdzięczny.

Twoje artykuły zawsze mają umocowanie w faktach, zawierają drobiazgowo dane i wyszczególnione przypisy. Jak wiemy jednak, mówienie prawdy w Hiszpanii jest zajęciem wysokiego ryzyka i – jak się domyślam – jest powód, dla którego musisz działać pod pseudonimem i ukrywać swoje prawdziwe imię i nazwisko?

Tak, muszę przyznać, że z powodu zagrożenia życia mojego i moich bliskich muszę zachować anonimowość. Grożono mi na wiele sposobów. Pamiętamy, że żyję w kraju, gdzie terroryści ETA wychodzą z więzień, a niektórzy nawet chodzą w glorii męczenników za demokrację. Owszem, stawiam czoło agresorom w manifestacjach przeciw aborcji czy ideologicznym zamordystycznym prawom, które ustanowił jeszcze Zapatero, ale nie wolno mi swoją aktywności narażać życia mojej rodziny. Poza tym nie szukam sławy, nie chcę być osobą publiczną, zależy mi wyłącznie na przekazie uczciwych informacji i obronie wartości. Owszem, podziwiam tych, którzy otwarcie wujują za wolność przeciw lewicowej hegemo-



nii, tak jak to robią ludzie z partii Vox w Hiszpanii. Oni już wielokrotnie i na własnej skórze przekonali się, do czego zdolna jest agresywna lewica.

Wiem, że to nie jest temat do żartów, ale z obecnym, jak mówią niektórzy, „Zapatero numer 2” myślę, że byłoby możliwe przyznanie ci statusu uchodźcy, rozważając najgorszy scenariusz, do którego – dodam szybko – miejmy nadzieję, nie dojdzie.

Mam nadzieję, że nigdy nie będziemy musieli się o to ubiegać. Przede wszystkim jednak w żadnym momencie nie porzuciłbym mojego kraju. To byłoby zwyczajne tchórzostwo. W najtrudniejszych momentach przechodzącym egzamin z naszego patriotyzmu. Zwłaszcza w moim zakątku, w Galicji, jesteśmy bardzo przywiązani do ziemi i mamy na to nasze regionalne określenia.

Świat akademicki pracuje nad zbliżeniem w relacjach polsko-hispańskich, organizuje kongresy i konferencje, wydaje okolicznościowe publikacje, ale wszystko to krąży w pewnym zamkniętym obiegu hispanistów, studentów i profesorów filologii czy historii i nie dociera do ułamka tej masy czytelników, którą ty się cieszysz.

W Hiszpanii prowadzimy Stowarzyszenie Historyczno-Kulturalne „Poland First to Fight”, do którego należą. Odtworzymy różne epizody walki Polski o wolność, zwłaszcza podczas II wojny światowej. Tego lata np. członkowie stowarzyszenia byli w Warszawie, aby świętować 75. rocznicę powstania. Prezes stowarzyszenia, Alberto Gómez Trujillo, jest osobą niezwykle oddaną Polsce. Zna naszą historię lepiej niż ja. A co do gestów podziękowań od Polaków – otrzymałem ich wiele za pośrednictwem mojego bloga. W Hiszpanii mieszka ponad 50 tys. Polaków, od nich także

przychodzą wiadomości pełne ciepłych słów i wdzięczności.

Jeden z naszych ministrów spraw zagranicznych w poprzednim rządzie PO zdiagnozował kiedyś, że „Polska jest brzydką panną bez posagu”. A jaka jest w twoich oczach? Jaką twarz pokazuje ci mój kraj?

Przykre. Ale to widocznie szersze zjawisko, bo my w Hiszpanii jesteśmy przyzwyczajeni do wzgardy, którą nasi politycy okazują własnej ojczyźnie, żyjąc jednocześnie w luksusach z naszych podatków. Co do „posagu” można się jakoś zgodzić, ale tylko w sensie materialnym. Bo wasze bogactwo duchowe jest ogromne, imponujące i dało swój spektakularny wyraz w waszej walce przeciw totalitaryzmom. Z powodu waszej żywej wiary jesteście kamieniem w bucie tych, którzy chcą Europy laickiej i zdechrystianizowanej, Europy niezdolnej do radzenia sobie z islamizacją, ponieważ zniszczyła swoje chrześcijańskie korzenie. Jeśli nawet Polska zacznie podgryzać te korzenie, to Europa upadnie: nie poddawajcie się!

I na koniec zdradź nam, czy jest jakaś postać z naszej historii, która wciąż cię inspiruje? Znajdujesz sylwetki na tyle uniwersalne, że mogłyby stać się wzorem dla Europejczyków?

To trudny wybór, bo macie ich wiele: św. Jan Paweł II czy św. Maksymilian Kolbe, tu także doskonale znany. Ale ja wciąż jestem pod wrażeniem Witolda Pileckiego, o którym pisałem w 2016 r. To jest bohater, który powinien znaleźć się we wszystkich podręcznikach historii. Gdyby był Amerykaninem, napędziłby sukces kasowy paru hollywoodzkich filmów, a ulice miast nazywano by jego imieniem w wielu krajach.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone





**Z Cezarym Kaźmierczakiem,
prezesem Związku Przedsiębiorców
i Pracodawców**

rozmawia Stefan Sękowski



Wyższa płaca minimalna to niewiadoma



jedna z nielicznych ważnych prerogatyw RDS.

To już nieaktualne, bo od jakiegoś czasu rząd przebijają te decyzje.

W tym roku rzeczywiście tak postąpiono. Jako Związek Przedsiębiorców i Pracodawców jesteśmy co do zasady przeciwni płacy minimalnej. Ale jeśli z jakichś powodów politycznych musi istnieć, to niech będzie. W tej chwili Polska od tego nie upadnie. Trzeba pamiętać, kto w Polsce zarabia płacę minimalną. Głównie dwie grupy – pierwsza to nasi wspaniali goście z Ukrainy, którzy u nas pracują, druga to młodzi ludzie zaczynający karierę zawodową, zwłaszcza w słabszych gospodarkach rejonach Polski, przede wszystkim na ścianie wschodniej. Niedawno osoby do 26. roku życia dostały zerowy PIT. Nie ma za dużo przykładów tak gwałtownego wzrostu płacy minimalnej. Ta propozycja oznacza podwyżkę o prawie 80 proc. w ciągu czterech lat.

Podobny przypadek był na Węgrzech, gdzie [w 2001 r. – przyp. red.] podniesiono płacę minimalną o 50 proc. W efekcie 10 proc. osób na płacy minimalnej zostało zwolnionych. W naszych realiach byłoby to jakieś 160 tys. osób, ale z punktu widzenia bezrobocia to w ogóle niegroźne, bo rynek natychmiast te osoby wchłonie. Taka jest sytuacja na rynku pracy. Z raportu „Busometr” dotyczącego nastrojów przedsiębiorców, który ogłaszamy co pół roku, wynika, że w obszarze zatrudnienia i rynku pracy nadal panuje wielki optymizm. 57 proc. przedsiębiorców szuka ludzi do pracy.

Ponadto po zmianach na Węgrzech ceny wzrosły o 11 proc. W Polsce też pójść na górę, każdy przedsiębiorca jest w stanie w kalkulować podatek w cenę produktu czy usługi. Na Węgrzech 75 proc. kosztów podwyżki płacy minimalnej zostało przerzuconych na konsumenta, 25 proc. zaabsorbował biznes. Polska gospodarka jest bardziej sprawna od węgierskiej, więc nasi będą pewnie lepiej orać (śmiej).

Czyli właściwie tragedii nie będzie.

Nikt do końca nie wie, co wyniknie z sytuacji, w której nagle płaca minimalna będzie obejmowała aż tak wielką grupę ludzi.

Ona podniesie też całą siatkę płac do góry. Ludzie będą mieli pieniądze i będą mogli sobie pozwolić na wyższe ceny?

Mamy dość niską produktywność. Ona się nam rozwija, ale to raczej niemożliwe, by rosła równo ze wzrostem płacy minimalnej. Z szacunków wynika, że po podwyżce płacę minimalną zarabiałoby ok. 35 proc. pracowników. To zahamowałoby wzrost wyższych wynagrodzeń. Pracodawcy będą mieli argument dla pracodawców przy presji płacowej, z którą są oswojeni od lat. Będą mogli powiedzieć ludziom o wyższych zarobkach: „Przykro mi, nie mogę podwyższyć pensji, bo za chwilę będę musiał podwyższyć wynagrodzenia za prace proste ze względu na wzrost płacy minimalnej”. Dojdzie do dużych deformacji rynku; ludzie będą się dziwnie zachowywać. Będzie to też zachęta do automatyzacji i wstawiania do przedsiębiorstw różnego rodzaju maszyn.

To jednak nie musi być takie zero-jedynkowe. Wydajność pracy idzie w górę w dużej mierze dzięki innowacjom i inwestycjom w miejsce pracy. Może to jest właśnie sposób na to, by podnieść wydajność pracy?

Gdyby to było takie proste, to każdy by tak robił. U nas produktywność rośnie od 30 lat.

Jesteśmy jednym z liderów Unii Europejskiej, jeśli chodzi o jej długotrwały wzrost. Jednak nadal jest niska.

Bo wychodziliśmy w 1989 r. z ruiny, której nie było ani w Czechach, ani nawet na Ukrainie. Przedsiębiorcy zachowują się racjonalnie i jeśli pięciu pracowników taniej wykopie rów niż koparka za kilkaset tysięcy złotych, to będzie kopane szpadlem, a jeśli praca szpadlem będzie kosztowała drożej od koparki, to będzie kopane koparką. To wielka ingerencja administracyjna w procesy gospodarcze i nigdy nie wiemy do końca, jakie przyniesie skutki, o tym dowiemy się dopiero za kilka lat.

Ekonomista Ignacy Morawski ze SpotData pisze, że „inwestycje w przeliczeniu na pracownika w firmach zatrudniających od 10 do 49 osób były w 2018 r. niższe niż w 2007 r. Przez ponad 10 lat małe firmy zredukowały inwestycje. W tym samym czasie inwestycje w przeliczeniu na pracownika w firmach zatrudniających powyżej 49 osób wzrosły o niemal jedną czwartą (też mało, ale więcej)”. To zachęta do tego, by mali przedsiębiorcy więcej inwestowali? A może przeciwnie – pchnięcie do większej konsolidacji na rynku?

Rynki nie konsolidują się z powodów bodźców ekonomicznych, tylko z natury. ▶

STEFAN SĘKOWSKI: Płaca minimalna podnoszona jest co roku. Za każdym razem przedsiębiorcy ostrzegają, że to może przynieść złe skutki, i nigdy jednak do żadnej tragedii nie dochodzi. Dlaczego miałyby do niej dojść tym razem, kiedy PiS chce podwyższyć płacę minimalną do 4 tys. zł do 2023 r.?

CEZARY KAŻMIERCZAK: W ostatnich latach podwyżki płacy minimalnej były większe niż poprzednio. Co roku na forum Rady Dialogu Społecznego odbywało się teatrum – związki zawodowe podawały jakąś kwotę, pracodawcy podawali niższą. Obie strony robiły przy tym poważne pozy, jakby chodziło o coś znacznie ważniejszego, a na koniec rząd określał się gdzieś pośrodku. To była

FOT. MICHAŁ WOŹNIAK/EAST NEWS

■ Mamy rynki skonsolidowane, na których można wykorzystać efekt skali, i rozproszone, na których nie można tego zrobić. Nawet jeśli zatrudni pan tysiąc fryzjerów, to jednostkowy koszt ogolenia każdej głowy będzie taki sam i tu konsolidacja nie jest możliwa. Z badania, które prowadzimy od 2011 r., wynika, że skłonność małych i średnich przedsiębiorców (czyli zatrudniających do 250 pracowników) do inwestycji wynosi 35 pkt w skali 1–100. Jest najniższa w historii. Obawiam się, że po tych zapowiedziach będzie jeszcze niższa.

Skąd ona się bierze?

Z niepokoju, z braku pewności prawa. W Polsce co tydzień ktoś ogłasza jakiś nowy pomysł. Nie chcę histeryzować, ale polski przedsiębiorca żyje w dramacie. W momencie, gdy jego koledzy z Francji, Niemiec czy Belgii zastanawiają się, jak lepiej prowadzić swój biznes, my co tydzień dostajemy jakąś bombę informacyjną, która odrywa nas od codziennych zajęć, bo musimy się zastanawiać, jak te zapowiedzi wpłyną na naszą działalność np. za rok. Problemem jest też polityka informacyjna rządu. Rząd prowadzi w mediach klub dyskusyjny – ludzie nie wiedzą, czy te propozycje są na poważnie, zaczynają się spekulacje.

Ma pan na myśli tylko płacę minimalną?

Także inne zapowiedzi. Dopiero po kilku dniach minister przedsiębiorczości i technologii Jadwiga Emilewicz zdementowała informację o tym, że ma być wprowadzony proporcjonalny ZUS od dochodu. Ma on dotyczyć tylko najmniejszych przedsiębiorców. Chyba się przekonała, że to będzie ok. 45 proc. obciążenia działalności gospodarczej.

Przedsiębiorcy zarabiający powyżej 3 tys. zł brutto miesięcznie byłiby na tym stracni w porównaniu z tym, co mamy dziś.

Co do zasady powinniśmy zmienić cały system emerytalny, ale dopóki nie ma emerytury obywatelskiej, dopóty jest, co jest. Ten system nie jest zły – z jednym wyjątkiem. Oskładkowanie działalności gospodarczej jest co do zasady niższe niż pracy na etacie. Problem zryczałtowanego ZUS dotyczy głównie przedsiębiorców zaczynających działalność, co rozwiązano w ten sposób, że obecnie przez de facto 2,5 roku nie płaci się ZUS, a także ludzi, którzy mają bardzo niskie dochody. Ten problem trzeba rozwiązać. Jeśli się to robi, to uważam, że system płacenia składek ZUS

będzie właściwy. Natomiast wszczynanie teraz kampanii na rzecz dobrowolnego ZUS to albo prowokacja, albo działalność strictly polityczna. Nie ma na to najmniejszych szans.

Mówimy o propozycji Polskiego Stronnictwa Ludowego i Kukiz'15?

Tak. To jest politycznie nierealne i myślę, że ci, którzy to głoszą, o tym wiedzą. To jak leczenie raka cytryną.

Czy jednak w ogóle należy traktować te propozycje poważnie? Podwyżka płacy minimalnej też może się okazać przedwyborczym wabikiem.

Daj Boże! Trudno to ocenić. Politycy muszą trochę poharcować, ale może niech wybiorą inną dziedzinę niż gospodarka. To ma jednak wpływ na przyszłość naszą i naszych dzieci. Trzeba być ostrożnym, żeby nie doprowadzić się do sytuacji Grecji czy Argentyny. Później bardzo trudno się z tego wydobyć. Polska gospodarka

PiS nie zrobił nic, co zagrażałoby polskiej gospodarce. Mam nadzieję, że tak będzie i w następnej kadencji

pedzi, ale być może mamy do czynienia z wycofywaniem się koniunktury. Ona prędzej czy później się skończy i polscy przedsiębiorcy muszą być gotowi na to, że będziemy mieli 0,5 proc. PKB wzrostu i wtedy będziemy mieli drastyczny spadek wpływów do budżetu.

Może lepszym rozwiązaniem jest to, które proponuje Koalicja Obywatelska? KO chce, by płaca minimalna stanowiła zawsze połowę średniego wynagrodzenia z poprzedniego roku.

Nie wiem, czy to trzeba tak zapisywać. Moim zdaniem dobre były negocjacje w RDS. W związkach zawodowych przecież też nie działają wariaci, więc jak była słaba koniunktura, to ich żądania były umiarkowane. Szkoda, że PiS złamał tę regułę. Trzeba wrócić do poprzedniego rozwiązania.

Jak pan ocenia programy innych komitetów, biorąc pod uwagę sytuację przedsiębiorców?

W związku z powszechnym przekonaniem, że PiS wygra wybory, tymi programami się nie przejmuję.

Obietnice przedwyborcze PiS należałoby więc traktować jako zapowiedzi tego, co się będzie działo po wyborach?

Jest powszechne przekonanie, że PiS je wygra. Pytanie tylko, czy będzie rządził sam czy z kimś. Strategia PiS mnie zastanawia. Po konwencji programowej w Katowicach był jasny przekaz: że koniec z socjałem, bierzemy się za gospodarkę. Minęła chwila i się zaczyna. PiS zachowuje się jak generał, który uważa, że każda następna bitwa będzie ostatnią wygraną. To trochę puste – mają za sobą elektorat socjalny i trudno spodziewać się, że go utracą. Elektorat od „płacy minimalnej” to Ukraińcy, którzy nie mają praw wyborczych, i młodzi, którzy nie chodzą w większości do wyborów, a jednocześnie porzucona na pastwę Sojuszu Lewicy Demokratycznej jest administracja publiczna, której zarobki są skandalicznie niskie. Lewica zbudowała sobie na tym już stabilne, kilkunastoprocentowe poparcie. Jednocześnie mamy mocne uderzenie w tworzącą się klasę średnią.

O ile przy poprzednich wyborach przedsiębiorca był w centrum uwagi, o tyle teraz mam wrażenie, że zniknął z radaru.

Wcześniej te zapowiedzi nie były w ogóle realizowane. To absurd, że grupa 4 mln ludzi, którzy de facto utrzymują Polskę, nie ma reprezentacji w parlamencie i nie ma partii, która reprezentowałaby jej interesy polityczne. W PiS ktoś uznał, że elektorat socjalny wszystko załatwi, ale może się okazać, iż będzie zimny prysznic, bo jeśli lewicy poparcie urośnie, to rządy samodzielne mogą okazać się niemożliwe. Dla kraju jest lepiej, gdy rządzi jakaś przekonująca większość niż model włoski albo belgijski.

Jednak koalicja dwóch ugrupowań powoduje, że patrzy się sobie bardziej na ręce.

Do tej pory wyglądało to tak, że nie było kontroli, a były dodatkowe tysiące stanowisk w administracji.

Przedsiębiorcy mogą więc patrzeć z nadzieją czy obawą na kolejne cztery lata?

Do południa z nadzieją, po południu z obawą. Nie wiadomo, co oni tak naprawdę chcą realizować, więc odnośnie do szczegółów trzeba by zapytać wróżbitę. W tej kadencji było trochę rozwiązań, z którymi się nie zgadzaliśmy, ale PiS nie zrobił nic nieodpowiedzialnego, co zagrażałoby polskiej gospodarce. Mam nadzieję, że tak będzie i w następnej kadencji.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYCZAKIEM

Który kandydat jest lepszy?

Czy lepszy jest ten kandydat państwa – na przykład Polski – na wysoki urząd unijny – komisarza UE czy, dajmy na to, przewodniczącego Rady Europejskiej – którego bez mrugnienia okiem zatwierdzają liderzy innych państw – czy wręcz przeciwnie – ten, o którego trzeba toczyć zażarte boje? Czasami stawiając na swoim, a czasami – co w każdym prawdziwym, nieudawanym starciu może się zdarzyć – przegrywając? Rzecz jasna – lepszy z punktu widzenia interesów państwa, które go deleguje, a nie państw, które się na jego kandydaturę łatwo lub z trudem zgadzają – albo w ogóle nie zgadzają.

Czy lepiej mieć w strukturach UE takich przedstawicieli jak Donald Tusk na fotelu szefa Rady Europejskiej czy Elżbieta Bieńkowska na fotelu unijnego komisarza, którzy zostali na swe posady – piszę o roku 2014 – zaakceptowani bez większych turbulencji? (Nie wspominając nawet o Tusku wybranym na drugą połowę kadencji szefa RE – w 2017 r. – wbrew Polsce, która delegowała innego kandydata). Czy jednak takich, o których awans trzeba ciężko walczyć, narażając się na ostre słowa, kontrakcje, a w końcu – czasami – także porażkę? I bywa, że odstępując od wystawienia jednego kandydata i wystawiając innego. Czego świadkami jesteśmy choćby teraz.

Ico w gruncie rzeczy oznacza przychodząca łatwo zgoda na czyjś

awans – lub brak owej łatwo przychodzącej zgody – ze strony innych: Niemiec, Francji, Hiszpanii itd.? Czy łatwo przychodząca zgoda zawsze oznacza – z punktu widzenia zgadzających się – zakładaną przez nich spolegliwość kandydata dla ich interesów? A brak owej łatwo przychodzącej zgody – z punktu widzenia niezgadzających się – brak zakładanej spolegliwości kandydata dla ich interesów?

Rzecz jasna, nie jest tak, że każdy kandydat kwestionowany przez inne państwa jest z punktu widzenia państwa delegującego go dobry, a każdy niekwestionowany – zły. Wszelako byłbym jeszcze bardziej ostrożny w akceptowaniu odwrotnej zależności: że każdy niekwestionowany przez inne państwa kandydat jest dobry dla państwa delegującego, a każdy kwestionowany – zły. A właśnie to dokładnie opozycja totalna próbuje wmówić Polakom przy okazji każdego przegranego przez rząd PiS starcia o tę czy inną posadę w strukturach unijnych.

Tak było przy okazji dwukrotnego odrzucenia kandydatury Beaty Szydło podczas walki o funkcję przewodniczącej jednej z komisji w europarlamencie i tak jest w przypadku porażki Krzysztofa Szczerskiego w boju o fotel unijnego komisarza, którego – jak się wydaje, z sukcesem – zastąpił Janusz Wojciechowski. ©©



KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

Opieka nad miarę szkodzi

Wiadomo, człowiek uczy się prawie wyłącznie na własnych błędach, bardzo rzadko zaś na błędach innych, o których przeczytał lub usłyszał od rodziców, nauczycieli lub kolegów. Dlatego efektywny proces nauki powinien polegać na stworzeniu warunków, w których młodzi ludzie mogą popełniać błędy. Ważne, żeby koszt tych błędów nie był pod względem finansowym lub zdrowotnym zbyt duży. Natomiast nadmierna opiekuńczość w domu i w szkole niestety znacząco spowalnia proces nauki.

Jeżeli rodzice codziennie budzą dziecko, nawet kilkunastoletnie, żeby nie spóźniło się do szkoły, to uniemożliwiają mu wyrobienie w sobie nawyku samodzielnego wstawania. Taki młody człowiek prawdopodobnie będzie często spóźniał się do pracy, zmniejszając swoje szanse na awans i udaną karierę zawodową. Jeżeli rodzice „pamiętają” za dziecko o różnych ważnych datach, takich jak zbliżająca się klasówka, to utrudniają dziecku wyrobienie w sobie nawyków brania odpowiedzialności za efektywne zarządzanie swoim czasem. Gdy dziecko przegapi klasówkę raz czy dwa, to prawdopodobnie nauczy się samo pilnować terminów i planować czas na odpowiednie przygotowanie.

Czasami lepiej „ubezpieczać” dziecko, gdy dotyczy to ważnych wydarzeń, i w dniu matury lepiej upewnić się, że wstało na czas. Nie powinno być to jednak regularne, a raczej okazjonalne.

Gdy rodzice usprawiedliwiają nieobecność dziecka w szkole, bo zasnęło lub się nie przygotowało, a nie było chore, tym samym utrudniają dziecku wyrobienie w sobie nawyku obowiązkowości. Gdy rodzice masowo załatwiają dzieciom zaświadczenia o dysleksji, by zwiększyć szanse dziecka na egzaminie, tym samym uczą dzieci oszukiwać, co może mieć negatywne skutki w dorosłym życiu.

To samo dotyczy mechanizmów oceniania w szkole. Na przykład za moich szkolnych czasów, gdy się dostało dwóję z klasówki, ta dwójka była w dzienniku i była brana pod uwagę przy wyliczaniu średniej. Ewentualnie, gdy ktoś zawałił cały semestr, były egzaminy poprawkowe, ale te wiązały się z dodatkową pracą i dodatkowym stresem. Obecnie w szkole stopnie można poprawiać, czasami kilkakrotnie. Dzięki temu dziecko – i rodzice – mają mniej stresów, bo wiedzą, że jeśli się powinięła noga na klasówce, to będzie można poprawić ocenę. Tymczasem w dorosłym życiu często nie ma drugiej szansy. Jeżeli pracownik źle przygotowuje prezentację ofertową dla klienta i firma straci zlecenie, to zamiast otrzymania drugiej szansy raczej zostanie zwolniony lub zdegradowany.

Dlatego jeżeli chcemy dobrze przygotować nasze młode pokolenie do startu w dorosłe życie, to powinniśmy mu pozwolić popełniać błędy i ograniczyć nadopiekuńczość. ©©

Autor pełni funkcję chief ideatora w Synerise i profesora data science w Akademii Vistula.

Rewolucja coraz bliżej



Jacek Przybylski

Wprowadzenie 5G mocno przyspieszy rozwój Internetu rzeczy, telemedycyny, autonomicznych aut, inteligentnych miast oraz wirtualnej rzeczywistości. Połączenie możliwości tej technologii z architekturą rozproszoną i ze sztuczną inteligencją ma mieć zaś taki wpływ na przemysł jak niegdyś para i elektryczność

Pierwsze sieci 5G na niewielkich testowych obszarach działają już w wielu krajach świata: od Chin do Stanów Zjednoczonych. Pierwsze testy tej technologii prowadzone są także w Polsce. Według zapowiedzi szefa resortu cyfryzacji Marka Zagórskiego sieć 5G powinna funkcjonować komercyjnie w pierwszym dużym polskim mieście już pod koniec przyszłego roku.

Co się zmieni? Pierwsza różnica między 4G a 5G to superszybka transmisja danych. W stosunku do używanych obecnie sieci 4G maksymalna prędkość transmisji w standardzie 5G ma wzrosnąć pięćdziesięcio-, a nawet stukrotnie. W teorii oznacza to, że przeciętny Kowalski będzie mógł się cieszyć taką szybkością ściągania danych, jakby smartfona/zegarek/łódówkę/samochód etc. podpiął do światłowodu.

Oczywiście ostateczne wrażenia użytkowników będą zależne od tego, jak operatorzy zaprojektują swoje sieci i ile użytkowników będzie akurat podłączonych do sieci. Dla przykładu maksymalna prędkość 4G LTE-A wynosi teoretycznie 1 Gb/s, ale mało kto doświadczył kiedyś takiej prędkości na swoim urządzeniu. Tak czy owak po wprowadzeniu 5G Internet powinien działać na tyle szybko, aby np. cały film w rozdzielczości HD móc ściągnąć na telefon lub komputer jeśli nie w niecałą sekundę, to maksymalnie w kilka sekund.

Jeszcze ważniejszą cechą 5G jest skrócenie czasu opóźnienia transmisji sygnału między nadajnikiem (stacją bazową) a odbiornikiem (np. smartfonem). W technologii 4G LTE-A wynosi ono od kilkunastu do 60 ms. W przypadku 5G teoretycznie można je będzie zmniejszyć do zaledwie 1 ms (choć realnie będzie to pewnie raczej 10 ms).

POGAWĘDKI URZĄDZEŃ

Aby móc cieszyć się możliwościami niezwykle szybkiego transferu danych, trzeba będzie jednak kupić nowy telefon (pierwsze modele gotowe na 5G są opisane w ramce). Choć wprowadzenie nowej technologii odczują też prywatni abonenci, to nie oni są głównym odbiorcą nowego standardu łączności. Najważniejszym zadaniem 5G nie jest bowiem zaferowanie standardu LTE w szybszym wydaniu, lecz kompletne zrewolucjonizowanie przemysłu 4.0. Znacznie poprawi wydajność pracy i zredukuje koszty produkcji. Ułatwi także działalność producentom gier

komputerowych, a w tej branży Polacy są w gronie liderów światowego rynku.

– To nie jest tylko kolejne G. Połączenie możliwości, które dają technologia 5G, sztuczna inteligencja i architektura rozproszona, przyniesie podobny przełom, jak w poprzednich rewolucjach przemysłowych miało wynalezienie maszyny parowej czy elektryczności – przekonuje w mediach Asa Tamsons, wiceprezes szwedzkiego koncernu Ericsson odpowiedzialna m.in. za wdrażanie nowych technologii.

Jedną z najważniejszych zalet sieci 5G jest bowiem nie tylko zdecydowanie szybszy transfer danych, lecz także możliwość obsługiwanie nawet miliona urządzeń na jednym kilometrze kwadratowym. Dzięki temu rozpędu ma nabierać rozwój tzw. Internetu rzeczy (IoT), który ma wreszcie wprowadzić ludzkość w erę znaną dotąd głównie z takich produkcji jak „Jetsonowie” czy „Westworld”.

W 2010 r. do sieci podłączonych było 5 mld urządzeń. W przyszłym roku liczba ta ma sięgnąć już 50 mld. Wciąż jeszcze nie wykorzystujemy potencjału IoT nawet w niewielkim procencie.

W erze Internetu rzeczy urządzenia komunikują się między sobą bez ko-



FOY, ANDRE STOCK

nieczności jakiegokolwiek pośrednictwa człowieka. Dzięki temu różne urządzenia w fabryce mogą same wymieniać się danymi i usprawniać produkcję, co oznacza zupełnie nowy etap w procesie automatyzacji cyklu produkcyjnego. Internet rzeczy usprawnia także proces wysyłania paczek do klientów takich sieci jak Amazon. 5G umożliwi również budowę fabryk czy biurów bez ogromnej liczby kabli, co zmniejszy koszty i przyspieszy proces inwestycyjny.

Potencjał rozwoju różnych branż związany z wprowadzeniem tego standardu jest ogromny. Jeśli wyobrażamy sobie, że lodówka wreszcie zacznie samodzielnie analizować swoją zawartość i zamawiać dla nas on-line kończące się towary, a te dostarczać będą pod dom autonomiczne drony, to będzie to możliwe właśnie za pomocą 5G.

Już teraz w sklepach dostępne są choćby pralki czy automatyczne odkurzacze, którymi możemy sterować za pomocą aplikacji mobilnych. Popularyzacja IoT oraz wdrożenie technologii 5G mogą sprawić, że nasz samochód sam poinformuje pralkę, aby się włączyła, bo jesteśmy już w drodze do domu, brama wjazdowa otworzy się, gdy skręcimy w naszą uliczkę, a piekarnik rozgrzeje

się akurat w momencie, gdy będziemy gotowi, by podgrzać sobie obiad.

Pokrycie całego kraju siecią 5G będzie też oznaczało, że jeśli zaczniemy oglądać transmisję reprezentacji w Warszawie i wybierzemy się w podróż nad morze, to będziemy mieli płynny dostęp do relacji przez cały czas jej trwania.

W wielu domach już działają inteligentne liczniki prądu – w Polsce obowiązkowo mają być zainstalowane w większości domów do 31 grudnia 2026 r. – które zdalnie przesyłają dostawcy prądu informacje o zużyciu energii. Ogromną liczbę zastosowań mają też inteligentne czujniki, które w inteligentnym domu każą np. elektrycznie sterowanym oknom zamknąć się, gdy wyczują deszcz. Z kolei czujnik odnotowujący brak deszczu może wysłać powiadomienia do zraszaczy, że trzeba znów podlać ogródek.

Sieć 5G ma też zrewolucjonizować telemedycynę, motoryzację oraz media. W Polsce już dostępne są urządzenia medyczne, które ułatwiają analizę samodzielnie zebranych przez pacjenta danych (np. podczas samobadania piersi) i umożliwiają wykrycie groźnego nowotworu na wczesnym etapie choroby. Nowy standard telekomunikacji

cyjny, dzięki ograniczonym do minimum opóźnieniom w przesyłaniu danych, ułatwi także rozwój zdalnej medycyny, w tym przeprowadzanie operacji na odległość.

W inteligentnych miastach technologia 5G ma przyspieszyć też działania ratowników (jeszcze w karetce ratownik będzie mógł pobrać próbki krwi, wykonać USG lub EKG i w czasie rzeczywistym przesłać wszystkie dane do lekarzy w szpitalu).

Nowy standard telekomunikacyjny ułatwi też działanie dronów straży pożarnej, które będą mogły przekazywać strażakom w czasie rzeczywistym informacje o źródle ognia. Łączność 5G ułatwi bezpośrednią i stałą łączność na miejscu zdarzenia policjantów z ratownikami medycznymi i ze strażakami.

Nowe technologie sprawią również, że procesor pokładowy w samochodzie nie tylko wybierze najlepszą trasę dojazdu, lecz także spowoduje, iż dojedziemy do celu bez zbędnego hamowania i przyspieszania. Już dziś w niektórych modelach Audi w USA działa system, który komunikując się z miejską infrastrukturą, pomaga unikać czerwonych świateł. 5G ma pozwolić na ulepszenie elektronicznych systemów sterowania ruchem, a także umożliwić wprowadzenie skutecznych systemów naprowadzania na wolne miejsca parkingowe.

Podczas 5. Huawei Asia-Pacific Innovation Day w chińskim Chengdu zaprezentowano też zupełnie nowe możliwości technologii. Na przykład połączenie 5G z technologią wirtualnej rzeczywistości pozwoliło użytkownikom na spacer w czasie rzeczywistym po pobliskim Instytucie Hodowli Pandy Wielkiej i stworzenie wrażenia, jakby było się tuż obok sympatycznych niedźwiedzi bambusowych.

Nowa technologia oznaczać też będzie wielkie zmiany na rynku pracy. Podobnie jak w przypadku poprzednich rewolucji przemysłowych część zawodów zniknie, powstanie jednak wiele innych.

WIELKIE PIENIĄDZE, WIELKA POLITYKA

Do budowy sieci 5G będzie można wykorzystywać obecnie istniejące maszyny. Trzeba jednak też dobudować nowe. Aby osiągnąć niezwykle prędkości i ogromną przepustowość, każda stacja bazowa będzie musiała mieć również połączenie ze światłowodem.

Na świecie popularna jest technologia 5G oferowana przez koncern Huawei. Stany Zjednoczone przekonują jednak swoich sojuszników do wyeliminowania chińskich partnerów z procesu budowy nowoczesnej sieci. Według Waszyngtonu sieć 5G daje bowiem twórcom systemu ogromne możliwości szpiegowskie, a – jak podkreślają Amerykanie – chińskie koncerny są mocno związane z władzami w Pekinie. USA wprowadziły więc sankcje ekonomiczne, a koncern Huawei wpisały na listę podmiotów, które bez zgody amerykańskich władz nie mogą kupować produktów amerykańskich firm. Huawei zdecydowanie zaprzecza zarzutom szpiegostwa i twierdzi, że Amerykanie, prowadząc kampanię przeciw nim, kierują się po prostu interesami ekonomicznymi.

Możliwość używania podzespołów tego producenta w swoich sieciach 5G zablokowały już m.in. Australia i Nowa Zelandia. W styczniu polskie władze

aresztowały zaś pracownika Huawei pod zarzutem szpiegostwa.

Podczas wizyty w Warszawie Mike'a Pence'a wiceprezydent USA we wrześniu tego roku podpisał z premierem Mateuszem Morawieckim wspólną deklarację dotyczącą bezpieczeństwa budowania sieci 5G. Dokument ten – jak podkreślał Pence – ma być ważnym przykładem dla reszty Europy w kwestii 5G.

– 5G jest tą architekturą technologiczną przyszłości. Jeżeli wyborcy zdecydują się zagłosować na nas, to mamy bardzo dobrze przygotowany plan szybkiego wdrożenia 5G – zapowiedział na początku września premier Mateusz Morawiecki. – Chcemy budować sieć 5G ze sprawdzonymi partnerami, nie przesądzamy, kto nimi będzie, ale pokazujemy, że aspekt bezpieczeństwa jest bardzo ważny. Bardzo mocno stawiamy na współpracę z tymi partnerami, którzy stawiają na współpracę z nami – dodał w wywiadzie dla „Rzeczpospolitej”.

I chociaż wątpliwe jest odgórne wykluczenie któregokolwiek z dostawców, to wiadomo, że polski rząd interesuje się budową systemów 5G we współpracy z firmami ze Szwecji oraz z Finlandii. Podczas wizyty w tym pierwszym kraju Morawiecki ogłosił, że szwedzki Ericsson zdecydował już o inwestycji w Polsce związanej z technologią 5G. I podkreślił, że chodzi nie tylko o inwestycję w produkcję, lecz także w badania i rozwój (R&D).

Umowę na budowę mikrofalowej sieci transportowej, a także systemów używanych do łączenia stacji bazowych 5G z Ericssonem, a nie z chińskim Huawei, podpisał niedawno rosyjski operator MegaFon. Szwedzka firma w sierpniu rozpoczęła już też – w ramach współpracy z innym rosyjskim operatorem Tele2 – pilotażowe testy sieci 5G w Moskwie.

Wiele wskazuje więc na to, że początek kolejnej rewolucji przemysłowej jest kwestią najbliższych miesięcy.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Nowa technologia już w smartfonach

6 września w Korei Południowej do sprzedaży trafił Galaxy Fold, czyli pierwszy na świecie smartfonotablet z giętkim ekranem. To długo oczekiwana premiera. W sklepach model ten miał pojawić się już w kwietniu, Samsung przesunął jednak premierę, gdyż elastyczny wyświetlacz zbyt łatwo ulegał uszkodzeniu. Poprawiona wersja ma ekran AMOLED o wielkości aż 7,3 cala, dzięki czemu można pracować jednocześnie nawet na trzech aplikacjach, wygodnie oglądać filmy czy przeglądać zdjęcia. Po złożeniu Galaxy Fold zmienia się

w wąski, długi smartfon z przednim ekranem o wielkości 4,6 cala. Problemem dla użytkowników mogą być jednak: duża waga (276 g), grubość (aż 15,7 mm), a przede wszystkim cena, która wynosi 2 tys. euro lub 2,1 tys. euro (ok. 9,1 tys. zł) za wersję dostosowaną do obsługi technologii 5G. Mimo wysokiej ceny pierwsza partia Folda wyprzedzała się w zaledwie 15 minut.

Swojego „składaka” opracował także Huawei, którego kwadratowy ekran po rozłożeniu ma aż 8 cali przekątnej. Cena tego modelu wynosi ok. 10 tys. zł. Dzięki czterem zintegrowanym antenom 5G model ten również jest już gotowy na obsługę najnowszej technologii. Jego premiera spodziewana jest w listopadzie. Alternatywą dla „składanych” telefonów może być LG G8X ThinQ: Dual Screen, czyli smartfon, który po wpięciu dodatkowego wyświetlacza zyskuje nowe możliwości. Model ma trafić do sprzedaży do końca obecnego roku.

Już teraz w Polsce w sprzedaży dostępny jest inny model Huawei (Mate 20X), który ma możliwość obsługi 5G. Jego cena jest jednak



horrendalnie wysoka i wynosi aż 4299 zł za średniej klasy smartfon, który nie wyróżnia się niczym specjalnym poza obsługą nowego standardu łączności. Nieco tańszy ma być Samsung Galaxy A90, który także potrafi obsługiwać 5G, a którego cena ma wynosić ok. 3,3 tys. zł. Producent chipsetów Qualcomm zapowiedział zaś, że prowadzi rozmowy z kilkunastoma producentami smartfonów o wyposażaniu nowych telefonów w chipy 5G.



Uciążliwy kontrakt jamalski i szanse na przyszłość



FOT. ADOBE STOCK

Podczas paneli na Forum Ekonomicznym dyskutowano o sytuacji na rynku tego surowca w Europie Środkowo-Wschodniej oraz o tym, w jaki sposób można ją w najbliższych latach zmienić. Piotr Woźniak, prezes Polskiego Górnictwa Naftowego i Gazownictwa, wyraźnie nakreślił obecną sytuację i perspektywy na najbliższe lata.

– Obowiązuje nas kontrakt na bardzo drogi gaz z Rosji. Musimy więc kupować bardzo drogo, a sprzedajemy po historycznie niskiej cenie. Kontrakt kończy się dopiero w 2022 r. Nawet jeśli nie weźmiemy tego gazu, to i tak musielibyśmy za niego zapłacić – tłumaczył prezes PGNiG. – Łatwo jest pokazywać, że gaz LNG może

– Obowiązuje nas kontrakt na bardzo drogi gaz z Rosji, z którym z powodzeniem konkuruje LNG – powiedział na Forum Ekonomicznym w Krynicy Piotr Woźniak, prezes PGNiG. Jak obecnie wygląda rynek gazu w regionie i jakie zmiany czekają nas w najbliższych latach?

konkurować z niesłychanie drogim gazem z Rosji. Surowiec, który przychodzi do nas z nowych rynków, jest o 20–30 proc. tańszy od gazu, który musimy kupować od Rosji – dodał Woźniak.

Nadzieją jest fakt, że kontrakt jamalski, który wiąże nas z Rosją, wygasa w 2022 r. Do tego czasu rozbudowana ma zostać infrastruktura przesyłowa na terenie Polski. Planowane jest także zwiększenie potencjału gazoportu

w Świnoujściu, przez co znacząco zwiększy się jego przepustowość. Możliwości przyjmowania gazu mają wzrosnąć z 5 do 7,5 mld m sześć. gazu rocznie. To jednak tylko jeden z powodów do optymizmu. O drugim powiedział podczas panelu w Krynicy prezes PGNiG.

– Zaczynamy wiercić w złożu na Morzu Północnym. Po raz pierwszy będziemy to robić w roli operatora i na tak dużym obszarze, co jest wyzwaniem.

Gaz znajduje się na głębokości ok. 3 tys. m – powiedział Piotr Woźniak. – Po 2022 r., kiedy skończy się kontrakt rosyjski, będziemy wydobywać 2,5 mld m sześć. gazu na szelfie norweskim, a następnie kierować go do Polski – dodał.

Warte uwagi jest również to, że Polska osiągnęła w tym roku poziom LNG w miksie gazowym, który był prognozowany dopiero za kilka lat.

– W tym roku osiągnęliśmy poziom 20 proc. LNG w miksie gazowym. Cieszy nas, że uprzedziliśmy prognozy największych firm analitycznych, ale trzeba pamiętać, że zrobiliśmy to oczywiście nieco z konieczności. Musimy uniezależnić się od gazu z Rosji – powiedział prezes Piotr Woźniak.



Premier Mateusz Morawiecki
odbierający nagrodę „Człowieka Roku”
FOT. ALEKSIEJ WITWICKI/FORUM

Krynica, czyli „Europa jutra”



Maciej Pieczyński

Pięć tysięcy gości podczas 320 różnych wydarzeń dyskutowało na temat wyzwań, które stoją przed Polską i Europą. Już po raz 29. eksperci i politycy z całego kontynentu spotkali się w Krynicy-Zdroju. „Człowiekiem Roku” został premier Mateusz Morawiecki

Chcemy zmierzyć puls Europy Środkowej i Wschodniej. Chcemy pokazywać ten region i pomagać państwom tego regionu – tymi słowami tegoroczne obrady otworzył Zygmunt Berdychowski, przewodniczący Rady Programowej Forum Ekonomicznego w Krynicy-Zdroju. Zgromadzeni eksperci w toku dyskusji szukali recepty na szybszy rozwój technologiczny. Jak zawsze na forum pojawili się ludzie

o największym wpływie na kształt europejskiej polityki i gospodarki.

W tegorocznym Forum Ekonomicznym w Krynicy wzięło udział 5 tys. gości. To rekordowa frekwencja. Odbędzie się ponad 320 różnych wydarzeń – wykładów, dyskusji, prezentacji, sesji, seminariów.

Wśród głównych tematów, omawianych w ramach „polskiego Davos”, znalazły się: energetyka, surowce strategiczne, rozwój gospodarczy, inwestycje,

infrastruktura, transport, środowisko naturalne, międzynarodowa współpraca gospodarcza, nowe technologie, cyfryzacja. Jak co roku swój udział w intelektualnej przygodzie, którą jest forum w Krynicy, miał tygodnik „Do Rzeczy”. Debatę oksfordzką na temat zdrowia poprowadził redaktor naczelny Paweł Lisicki (więcej szczegółów w artykule Katarzyny Pinkosz na str. 112).

ROZSZERZAĆ UE?

Europa jutra. Silna, czyli jaka? – takie hasło przyświecało tej edycji forum. Odpowiedzi na tak postawione pytanie starali się udzielić paneliści już podczas pierwszej dyskusji, inaugurującej obrady. – Ostatnie 10 lat w krajach strefy euro to okres słabego wzrostu gospodarczego, dodrukowywania pieniędzy, problemów z rosnącym zadłużeniem – ocenił Paweł Borys, prezes Polskiego Funduszu Rozwoju. – Teraz sytuacja w niektórych aspektach się poprawia, ale problemów do rozwiązania ciągle jest bardzo dużo. Unia Europejska ciągle traci nie tylko do USA, lecz także do Chin. Mamy w Unii ponad 3 mln młodych osób, które szukają pracy – komentował Paweł Borys. Prezes Polskiego Funduszu Rozwoju poruszył też temat toczącego się wewnątrz Unii sporu pomiędzy zwolennikami a przeciwnikami pogłębiania integracji. Zdaniem Pawła Borysa kraje unijne powinny rozmawiać o tym, co je łączy, szukać wspólnoty interesów.

W trakcie debaty za rozszerzeniem UE opowiedziała się Željka Cvijanović, prezydent Republiki Serbskiej, wchodzącej w skład Bośni i Hercegowiny. Nie szczędziła gorzkich słów Brukseli w tej sprawie, wypowiadając się niejako w imieniu regionu. – W kontekście Bałkanów Zachodnich Unia Europejska nie wykazywała się do tej pory wielką konsekwencją – stwierdziła Cvijanović. – Takie same problemy były rozmaicie traktowane w poszczególnych krajach naszego regionu. Stosowano różne standardy i różne rozwiązania – dodała. Prezydent Republiki Serbskiej zastanawiała się także nad tym, jak to jest, że gdy jedni pukają do drzwi Wspólnoty, inni z niej wychodzą. Jej zdaniem, paradoksalnie, brexit może wzmocnić Unię Europejską, może bowiem doprowadzić do wzmożonej dyskusji i zmian wewnątrz UE. – Być może uda się przedyskutować te tematy, którym do tej pory nie poświęcano czasu – mówiła.

Ożywioną dyskusję wywołał, również poruszony pierwszego dnia forum, temat funduszy unijnych. – Nad Polską zawisło jedno niebezpieczeństwo, które szykują nam rządzący, mianowicie możliwość zawieszenia tych funduszy w przypadku stwierdzenia, że kraj jest niepraworządny – komentował europoseł PO Janusz Lewandowski. Marszałek województwa małopolskiego z PiS, Łukasz Smółka, nazwał z kolei tego typu tezy burzą w szklance wody. – Europa bez Polski, bez wszystkich regionów, nie może funkcjonować. W związku z tym będzie takie gadanie, a skończy się na tym, że nie będzie żadnego wstrzymania funduszy ani żadnych takich restrykcyjnych sytuacji – uspokajał polityk partii rządzącej.

Uczestnicy forum poruszali również tematy dotyczące spraw fundamentalnych. „Świat wspólnych wartości – czy jeszcze istnieje?” – na to trudne pytanie próbowali znaleźć odpowiedź uczestniczący w dyskusji politycy państw unijnych. Bułgarska wicepremier Mariyana Nikolova stwierdziła, że UE znalazła się na rozdrożu, jeśli chodzi o sferę wartości. Minister komunikacji i społeczeństwa informacyjnego Rumunii Alexandru Petrescu ocenił, że UE powinna większą uwagę zwrócić na rozwiązywanie problemów demograficznych.

CZEKAJĄC NA SPOWOLNIENIE

Polskę czeka spowolnienie gospodarcze – tę pesymistyczną diagnozę wygłosił podczas jednego z paneli prof. Marek Rocki, rektor Szkoły Głównej Handlowej, prezentując jednocześnie raport przygotowany przez SGH: – Co prawda, analizy koniunktury wskazują na to, że

ostatnio cykle są nieco krótsze i płytsze, jeśli chodzi o wahania, w związku z tym to, że gospodarka niemiecka spowolniła praktycznie do zera, może spowodować, że nasze tempo wzrostu też będzie się zbliżało do zera przez rok, dwa – stwierdził ekonomista. – Ale, jak to z cyklami gospodarczymi, to też daje optymizm za parę, paręnaście lat na odbicie. Nasze analizy wskazują na to, że co prawda mamy wzrost, ale jest on niepewny poprzez zagrożenie paneuropejskie. Jednocześnie wzrost jest wspomagany przez konsumpcję, a nie przez inwestycje, szczególnie w sektorze prywatnym. Brak takich inwestycji, niestety, nie daje dobrych wskazań na przyszłość – ocenił ekonomista.

Ostatni dzień forum poświęcony był na dyskusję o przeszłości. A dokładniej – o tym, w jaki sposób historia wpływa na dzisiejszą politykę i gospodarkę. Opartych na dziejowym doświadczeniu odpowiedzi na współczesne pytania szukali: były szef ukraińskiego MSZ Borys Tarasiuk, przewodnicząca łotewskiego parlamentu Dagmāra Beitnere-Le Galla, wiceprzewodnicząca parlamentu serbskiego Gordana Čomić. Polski rząd wśród panelistów reprezentował minister inwestycji i rozwoju Jerzy Kwieciński. Tarasiuk stwierdził, że Europa nie wyciągnęła wniosków z historii. Były minister spraw zagranicznych Ukrainy porównał powrót Rosji na forum Zgromadzenia Parlamentarnego Rady Europy do układu monachijskiego. Jego zdaniem Europa ulega dziś Putinowi tak, jak w latach 30. XX w. ustępowała Hitlerowi. Jerzy Kwieciński z kolei przypomniał o mijającej w tym roku 450. rocznicy unii lubelskiej,

która może posłużyć jako symbol integracji europejskiej. Z tej perspektywy to właśnie ówczesna Rzeczpospolita Obojga Narodów była prekursorem procesów integracyjnych na Starym Kontynencie. – Byliśmy potężną siłą gospodarczą. Budowaliśmy się na integracji i wartościach. Wiele narodów obejmowała nasza współpraca – mówił minister Kwieciński. Przywołał również przykład Bitwy Warszawskiej jako zwycięstwa osiągniętego „dzięki współpracy wielu narodów”. Minister wymieniał też pozytywne skutki wejścia Polski do UE.

NAGRODA DLA PREMIERA

Nie mogło zabraknąć też mocnego akcentu politycznego. Człowiekiem Roku tegorocznej edycji Forum Ekonomicznego w Krynicy-Zdroju został premier Mateusz Morawiecki. – W 2018 r. Polska pokazała lwi pazur. Zawdzięczamy to przedsiębiorcom, którzy biorą byka za rogi, którzy biorą ryzyko na siebie. To także nagroda dla nich – mówił premier, odbierając nagrodę. – Czternasty raz jestem na tym Forum Ekonomicznym, patrzę na jego ewolucję, ewolucję polskiej gospodarki, polskiego systemu gospodarczego i myślę, że możemy mieć nadzieję, że za te kolejne czternaście lat będziemy mogli powiedzieć, że jesteśmy mniej więcej na takim poziomie rozwoju gospodarczego jak państwa Europy Zachodniej – wyraził nadzieję Morawiecki. Swoje przemówienie premier podsumował barwną metaforą: – Niech te nasze skrzydła gospodarcze i społeczne zawiodą nas w piękną przyszłość gospodarczą. To nasz obowiązek, powołanie i cel.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

PARTNERZY STREFY PMPG POLSKIE MEDIA



PHILIPS



PARTNERZY MERYTORYCZNI WYDANIA



Debaty oksfordzkie „Do Rzeczy” inspirowały dość prowokacyjnymi тезami, eksperci (na zdjęciu od lewej: prof. Tomasz Hryniewiecki, minister zdrowia prof. Łukasz Szumowski oraz dr Grzegorz Juszczyk) dwoją się i troją, przedstawiając argumenty za i przeciw

FOT. DO RZECZY

Nowoczesna medycyna czy... styl życia?



Katarzyna Pinkosz

Trzydziestu panelistów, w tym minister zdrowia, wiceministrowie, prezes Agencji Badań Medycznych, profesorowie, eksperci, przedstawiciele organizacji pacjentów – w strefie „Do Rzeczy” w Krynicy dużo mówiło się o zdrowiu. Dyskusje i debaty były merytoryczne, ale często z humorem i – jak zawsze – do rzeczy

Po raz drugi debata oksfordzka „Do Rzeczy” i Ministerstwa Zdrowia została uznana przez słuchaczy za jedną z najciekawszych w trakcie całego Forum Ekonomicznego. Kolejny raz drużyny przeciwników i obrońców tezy (tym razem była to: „Długość życia zależy tylko od nowoczesnej medycyny”) udowodniły, że o medycynie można mówić merytorycznie, z pasją, nie stroniąc przy tym od anegdoty i żartu. Debaty oksfordzkie „Do Rzeczy” na temat zdrowia – prowadzone przez redaktora

naczelnego „Do Rzeczy” Pawła Lisickiego i red. Krzysztofa Jakubiaka – inspirowały dość prowokacyjnymi тезami. Eksperti dwoją się i troją, przedstawiając argumenty za i przeciw, a publiczność świetnie się bawi. Tak było i tym razem.

Tezie o najważniejszej roli nowoczesnej medycyny sprzeciwiała się drużyna ekspertów, której kapitanem był minister zdrowia prof. Łukasz Szumowski. Wspierali go prof. Piotr Czauderna (Narodowa Rada Rozwoju przy Prezydencie RP), prof. Tomasz Hryniewiecki (dyrektor In-

stytutu Kardiologii) i dr Grzegorz Juszczyk (dyrektor Narodowego Instytutu Zdrowia Publicznego-Państwowego Zakładu Higieny). Tezy broniła drużyna, której kapitanem był dr n. med. Radosław Sierpiński, p.o. prezes Agencji Badań Medycznych. Wspierali go Julita Czyżewska (prezes PZU Życie), Jarosław Oleszczuk (prezes firmy Astra Zeneca Polska) i Robert Rusak (Pol-med). – Nowoczesna medycyna jest ważna, jednak odpowiada tylko w 30 proc. za nasze zdrowie. O 70 proc. decyduje to, co jemy, jak się ruszamy, jak żyjemy, czy mamy poobiednią siestę, podczas której czytamy dobrą książkę. Kto dziś pół godziny biegał lub jeździł na rowerze? Kto jadł pięć razy owoce i warzywa? – pytał minister Łukasz Szumowski. Profesor Piotr Czauderna opowiadał o efekcie Roseto, małego miasteczka z Pensylwanii, które zadziwiało świat małą liczbą zawałów serca. – Zaczęto badać, co o tym decyduje. Dieta: nie; czerwone wino: nie. Okazało się, że najważniejsze znaczenie miały więzi społeczne i wsparcie w populacji. Niestety, po kilku latach zmienił się tryb życia tej społeczno-

ści i odsetek zawałów serca był taki sam jak w całych Stanach. Tak więc recepta jest prosta: trzeba kochać swoich bliskich i przyjaciół – mówił prof. Piotr Czauderna. Również prof. Tomasz Hryniewiecki, podkreślając rolę nowoczesnej medycyny i leków (profesor na debatę oksfordzką przyjechał prosto z kongresu Europejskiego Towarzystwa Kardiologicznego w Paryżu, podczas którego wiele mówiło się o nowoczesnym leczeniu), zaznaczył, że najbardziej nowoczesne leki nie pomogą bez zmiany stylu życia. Doktor Grzegorz Juszczyk przypominał, że akcja edukacyjna prowadzona w północnej Karelii, zmiana stylu życia i odżywiania (zamiana masła na oleje roślinne) spowodowały znaczny spadek śmiertelności z powodu choroby serca. – Nowoczesna medycyna jest ważna, ale wspólnie z naszymi bliskimi możemy więcej zrobić dla zdrowia – podkreślał dr Juszczyk.

Doktor Radosław Sierpiński, jako szef Agencji Badań Medycznych, bronił nowoczesnej medycyny i technologii, bardzo szybko rozwijających się m.in. w najbliższej mu (z racji specjalizacji) kardiologii. Julita Czyżewska przypominała, że sztuczna inteligencja „zaczyna deptać lekarzom po piętach”, a w wielu przypadkach diagnozy wspomagane przez algorytmy SI mogą być nawet trafniejsze niż lekarzy. Jarosław Oleszczuk przypominał o nowoczesnych lekach w kardiologii, onkologii, pulmonologii, psychiatrii, które codziennie ocalają i zmieniają życie chorych. Robert Rusak opowiadał o nowoczesnych technologiach, bez których życie chorych byłoby znacznie trudniejsze. – Nikt nie chciałby dziś mieć drewnianych zębów zamiast nowoczesnych implantów ani żeby zdejmować mu zaćmę krzemieniem – podsumował z humorem przekaz drużyny obrońców tezy dr Radosław Sierpiński. Przeciwnicy tezy rewanżowali się anegdotami o roli czerwonego wina, poobiedniej sjeisty i restrykcyjnego trybu życia (całość debaty można obejrzeć na stronie: dorzeczy.pl/forum-ekonomiczne).

MEDYCINA STYLU ŻYCIA

W „Do Rzeczy” odbyła się też debata na temat leków (relacja na następnych stronach) oraz na temat nowoczesnej profilaktyki XXI w.: co zrobić, żebyśmy zaczęli dzień od roweru lub gimnastyki, jedli pięć razy dziennie warzywa i owoce, znajdowali czas na relaks z przyjaciółmi, wierzyli autorytetom medycynom? Pojawiło się wiele cieka-

wych pomysłów: prof. Piotr Jankowski (Polskie Towarzystwo Kardiologiczne) zaapelował, żeby strefa Forum Ekonomicznego w Krynicy od przyszłego roku była wolna od dymu tytoniowego, a na stoiskach można było częściej częstować się owocami i warzywami. Profesor Henryk Skarżyński namawiał, by w akcjach profilaktycznych pamiętać o solidarności pokoleniowej, a wnuczek namawiał dziadka do badań. Minister Jarosław Pinkas, główny inspektor sanitarny, przekonywał, jak ważne są szczepienia i walka z fake newsami. Zalecał, by co rano śledzić znakomicie prowadzone media społecznościowe GIS, a także profile profesorów kardiologii (m.in. prof. Piotra Jankowskiego), na których pojawia się wiele informacji na temat zdrowego stylu życia. O tym, jak walczyć z fake newsami

Na Forum Ekonomiczne wydaliśmy też piąte wydanie specjalne „Do Rzeczy o Zdrowiu”. W nim: rozmowy z ministrami, ekspertami, prezesami firm farmaceutycznych.



dotyczącymi szczepień, opowiadał też Jakub Szulc, ekspert ochrony zdrowia EY i były wiceminister zdrowia.

Ciekawy pomysł, jak przypominać o badaniach profilaktycznych, miał Szymon Chrostowski z fundacji Wygrajmy Zdrowie: zaproponował wysyłanie SMS-owych alertów przypominających o badaniach (na wzór alertów pogodowych). Inżynier Tomasz Nasiłowski, prezes InPhoTech, przekonywał, że w profilaktyce XXI w. świetnie mogą sprawdzić się nowe technologie... światłowodowe. Wiceminister zdrowia Józefa Szczurek-Żelazko przekonywała, że skuteczne będą działania systemowe poprawiające profilaktykę – m.in. wchodząca właśnie w życie ustawa o medycynie szkolnej gwarantująca, że w każdej szkole będą gabinety pielęgniarstwa i opieka stomatologiczna.

Eksperci zdradzili, jak zasady zdrowego stylu wprowadzają w swoim życiu – minister Szczurek-Żelazko jeździ na nartach i codziennie stara się znaleźć czas na chodzenie z kijkami, prof. Skar-

żyński gra w piłkę nożną, prof. Jankowski codziennie ćwiczy w domu, a w weekend przesiada się na rower, minister Pinkas zaś dba o zdrowe odżywianie. Uczestnicy debaty zaapelowali też o... okładkę „Do Rzeczy” z napisem: „Strefa wolna od dymu tytoniowego”.

BIOTECHNOLOGIE I NOWOCZESNA MEDYCINA

Agencja Badań Medycznych wraz z tygodnikami „Do Rzeczy” i „Wprost” zorganizowała debatę na temat szans dla polskich pacjentów, naukowców, firm biotechnologicznych i telemedycznych, które daje utworzenie Agencji Badań Medycznych (ABM). Uczestniczyli w niej przedstawiciele polskich firm i globalnych koncernów chcących inwestować w polską naukę. Przemysław Tadla (Medicalgorithmics) podkreślił, że dzięki ABM w Polsce będą miały szansę powstawać nowoczesne technologie telemedyczne wymyślane przez polskich naukowców. Katarzyna Łepecka-Czajkowska (Premier Research) podkreślała, że biotechnologia w Polsce może stać się priorytetową gałęzią gospodarki, a Marcin Gołębiński (KCRI), Anna Kowalczyk (dyrektor Narodowego Instytutu Leków) oraz Jacek Graliński (Amgen) mówili o partnerstwie publiczno-prywatnym wspierającym badania naukowe i rozwój nowych technologii. Marcin Kruk (Pfizer) opowiadał o inwestycjach w kapitał ludzki i nowe kompetencje w powstających w Polsce regionalnych i globalnych platformach zajmujących się monitorowaniem działań niepożądanych oraz wspierających decyzje inwestycyjne. Wszyscy podkreślali wiedzę i potencjał polskich naukowców.

– Działania podejmowane przez Agencję Badań Medycznych oraz budowa profesjonalnej, wysokospecjalistycznej kadry pozwolą na umiejętne wykorzystanie potencjału sektora biotechnologii w Polsce. Sektor bio-tech oraz szeroko rozumiany sektor farmaceutyczny muszą stanowić ważny filar polskiej gospodarki – podsumował dyskusję dr Radosław Sierpiński, p.o. prezes ABM. Agencja Badań Medycznych podpisała też list intencyjny dotyczący współpracy ABM z kluczowymi firmami farmaceutycznymi w Polsce (Amgen, AstraZeneca, BMS, Janssen, Medtronic, MSD, Mylan, Novartis, Pfizer, Roche, Takeda), które mają wspierać innowacje w polskiej medycynie.



Wiceminister Maciej Miłkowski (w środku) odpowiadał na pytania o terapie, które udało się zrefundować, i o plany ministerstwa na przyszłość FOT. DO RZECZY



Raporty „Do Rzeczy” podsumowane



Katarzyna Pinkosz

Jak wygląda w Polsce dostęp do najnowszych opcji terapeutycznych zalecanych na świecie? Raporty „Do Rzeczy” podsumowaliśmy podczas debaty w trakcie Forum Ekonomicznego w Krynicy: „Jak leczy się w Polsce: stan na dziś, priorytety na drugie półrocze”

Przez ostatnie miesiące, wspólnie z ekspertami i organizacjami pacjentów, przygotowujemy raporty na temat stanu leczenia w Polsce. Do tej pory skupiliśmy się na onkologii, cukrzycy, schorzeniach rzadkich oraz chorobach ludzi młodych. Chociaż w raportach podkreślaliśmy, że dla efektów terapii ogromne znaczenie mają

styl życia, wczesne wykrywanie chorób, dobra organizacja leczenia i dostęp do nowych metod terapeutycznych, to podczas debaty na Forum Ekonomicznym skupiliśmy się na polityce lekowej i dostępie pacjentów do opcji terapeutycznych rekomendowanych przez polskie i międzynarodowe towarzystwa naukowe.

ONKOLOGIA

Spośród 93 leków rekomendowanych przez europejskie towarzystwa naukowe 44 preparaty nie są w ogóle dostępne dla polskich pacjentów – alarmowała kilka miesięcy temu fundacja onkologiczna Alivia. Ostatnie listy refundacyjne przyniosły jednak wiele pozytywnych zmian, docenionych przez ekspertów i pacjentów. Pojawiły się m.in. nowoczesne leki na raka płuca, a od września także długo oczekiwane nowoczesne terapie na raka piersi. Pojawił się też pierwszy lek z zakresu immunoterapii w nowotworach głowy i szyi oraz nowa opcja dla pacjentów z rakiem prostaty, stosowana przed chemioterapią.

Na zmiany wciąż czekają chorzy na raka nerki, a także na czerniaka, w którego leczeniu wiele w ostatnich latach się zmieniło. – Całe leczenie immunologiczne nowotworów zaczęło się właśnie od czerniaka. Duże podziękowania dla ministra zdrowia za wdrażanie nowych terapii. To była kiedyś choroba śmiertelna, a dziś coraz częściej staje się przewlekła – podkreślał prof. Adam Maciejczyk, prezes Polskiego Towarzystwa Onkologicznego. Zaznaczył, że w leczeniu tego nowotworu bardzo ważne są właściwe leczenie chirurgiczne i dostęp do najnowszych technik, najbardziej zaś skomplikowane przypadki powinno się leczyć w tzw. centrach kompetencji. Mówił też o konieczności wprowadzania zmian w programach lekowych, w ramach których udostępniane są nowoczesne terapie. – Wymagają one poprawek, bo wiedza medyczna się zmienia. Dzisiaj wiemy, że gdy jest stabilizacja choroby, to niektóre leki możemy odstawić, dzięki czemu unika się działań niepożądanych – mówił prof. Maciejczyk. Zaoszczędzone

pieniądze można by było wydać na nowe terapie: w czerniaku nowością jest to, że leki z zakresu immunoterapii coraz częściej zaleca się, gdy choroba nie jest jeszcze uogólniona, co zwiększa szansę na wyleczenie. – Pracujemy nad zmianami w programach lekowych, żeby były lepiej dopasowane do potrzeb pacjentów – zapewnił wiceminister zdrowia Maciej Miłkowski.

CUKRZYCA

Raport w „Do Rzeczy” zatytułowaliśmy „Choroby wielu prędkości”, gdyż eksperci i pacjenci podkreślają, że cukrzycę typu 1 leczy się w Polsce na europejskim poziomie, czego niestety nie można powiedzieć o typie 2. – To podstępna choroba, która długie lata nie daje objawów, dlatego pacjenci często ją bagatelizują, tymczasem powoduje ona powikłania skracające życie – podkreślał prof. Janusz Gumprecht ze Śląskiego Uniwersytetu Medycznego.

Problemy w Polsce to rosnąca liczba zachorowań, brak kompleksowej opieki nad pacjentami i brak refundacji nowoczesnych leków: analogów GLP-1 i floszyn. Ich skuteczność (także w postaci wydłużenia życia) – została udowodniona w wielu badaniach. – Leki nie powodują hipoglikemii, korzystnie wpływają na masę ciała, zapobiegają zawałom serca, udarom mózgu, niewydolności serca, która jest coraz większym problemem. Mogą być stosowane u wszystkich pacjentów, ale wręcz powinny być stosowane u tych, którzy przeżyli incydent sercowo-naczyniowy lub są nim poważnie zagrożeni – podkreślał prof. Gumprecht.

Doktor Radosław Sierpiński, kardiolog, p.o. prezes Agencji Badań Medycznych, zaznaczył, że cukrzyca i choroby sercowo-naczyniowe to często tandem: pacjenci mają jedną i drugą chorobę. – Powinni być dobrze zaopiekowani; jest program koordynowanej opieki nad pacjentami po zawale i z niewydolnością serca, teraz powinien powstać program koordynowanej opieki nad pacjentami z cukrzycą – mówił dr Sierpiński. Dodał, że jako klinicysta jest entuzjastą nowych leków, gdyż ewidentnie zmniejszają ryzyko powikłań sercowo-naczyniowych i wydłużają życie. Również prof. Gumprecht zwrócił uwagę, że po raz pierwszy FDA i EMA – agencje leków amerykańska i europejska – zgodziły się, żeby wręcz w charakterystyce produktów leczniczych tych leków umieścić informację, że przedłużają one życie.

W debacie udział wzięli:

- Maciej Miłkowski, wiceminister zdrowia
- dr n. med. Radosław Sierpiński, p.o. prezes Agencji Badań Medycznych
- doc. Aleksandra Gilis-Januszewska, endokrynolog, Szpital Uniwersytecki w Krakowie
- prof. Adam Maciejczyk, prezes Polskiego Towarzystwa Onkologicznego
- prof. Janusz Gumprecht, diabetolog, Śląski Uniwersytet Medyczny
- Stanisław Maćkowiak, Federacja Pacjentów Polskich

Arbitrzy:

- dr n. med. Bernard Waśko, wiceprezes NFZ ds. medycznych
- dr n. med. Tomasz Latos, przewodniczący sejmowej Komisji Zdrowia

Wiceminister Maciej Miłkowski zaznaczył, że doskonale zdaje sobie sprawę z tego, że problem cukrzycy jest jednym z najważniejszych do rozwiązania. – Widzimy, że te leki wydłużają życie, zmniejszają liczbę hospitalizacji. Musimy jednak mieć strategię, jak je wprowadzić. Negocjujemy ze wszystkimi firmami – podkreślił.

CHOROBY RZADKIE

Spośród ok. 6–8 tys. chorób rzadkich zaledwie dla ok. 3–4 proc. są jakiejkolwiek terapie; często znacznie droższe niż w przypadku takich chorób jak nadciśnienie czy miażdżycy, jednak dla pacjentów to jedyna szansa na życie i uniknięcie powikłań. Dobrymi wiadomościami ostatnich miesięcy były decyzje o refundacji leku w SMA (rdzeniowym zaniku mięśni), a od września w chorobie Fabry’ego. – Dla tych osób nowe terapie to otwarcie na inny świat – podkreślał Stanisław Maćkowiak z Federacji Pacjentów Polskich, zaznaczając, że nie wszystkie efektywne terapie w chorobach rzadkich są w Polsce refundowane.

Jedna z chorób rzadkich, dla których jest dostępna terapia, to akromegalia. – Nieleczona powoduje rozrost rąk, stóp, twarzoczaszki, ale również bardzo poważne powikłania dotyczące serca, układu oddechowego; skraca życie o ok. 10 lat – mówiła doc. Aleksandra Gilis-Januszewska. Podkreślała, że leczenie w Polsce nie odbiega od standardów w Europie. – Jednak ok.

50 proc. pacjentów przestaje reagować na leczenie pierwszej linii, a ok. 20 proc. na bardzo nowoczesną terapię drugiej linii. Powinniśmy mieć możliwość stosowania u nich leku o innym mechanizmie działania. Dzisiaj ci pacjenci są nieskutecznie leczeni, przez co dochodzi do powikłań i znacznego skrócenia życia. To bardzo ciężko chorzy – mówiła. Zaznaczyła też, że nieskuteczne terapie to ogromne cierpienie dla pacjentów i bardzo drogie leczenie powikłań i Stanisław Maćkowiak przypomniał, że pacjenci oczekują nie tylko na leki, lecz także na przyjęcie, wdrożenie i właściwe finansowanie Narodowego Planu dla Chorób Rzadkich, który porządkuje ważne kwestie związane z opieką nad pacjentami.

Wiceminister Maciej Miłkowski zaznaczył, że resort będzie z uwagą analizował kolejne terapie w chorobach rzadkich. Przekazał też dobrą wiadomość dla pacjentów z chorobami zapalnymi jelit: od września na listy refundacyjne trafił jeden z nowoczesnych leków biologicznych w chorobie Leśniowskiego-Crohna, a na ukończeniu są negocjacje dotyczące terapii selektywnej.

JEST POPRAWA

Doktora Bernarda Waśkę, wiceprezesa NFZ ds. medycznych, oraz posła Tomasza Latosa, przewodniczącego sejmowej Komisji Zdrowia, poprosiliśmy o rolę arbitrów i ocenę zmian, które w ostatnich miesiącach zaszły w refundacji leków. Doktor Waśko zwrócił uwagę, że budżet ochrony zdrowia we wszystkich krajach funkcjonuje w sytuacji niedoboru środków: jeśli wyda się pieniądze na jedną terapię, to nie można ich przeznaczyć na inną. – To trudne decyzje, które musi podejmować co dwa miesiące minister zdrowia. Panie ministrze, podziwiam, proszę tak trzymać, a my będziemy dbać o to, żeby pieniądze, które w NFZ są przeznaczone na leczenie, były dobrze wydatkowane – mówił. Poseł Tomasz Latos zaznaczył, że udostępnianych terapii w Polsce jest coraz więcej. – Idziemy do przodu, słyshałem głosy ze środowisk pacjenckich, że ostatnia lista leków refundowanych to sukces. Chcielibyśmy, żeby takich sukcesów było więcej, i tak będzie, wraz ze zwiększaniem środków do 6 proc. PKB na zdrowie, najpóźniej do 2024 r. – zapewnił poseł Tomasz Latos.



JACEK KOMUDA

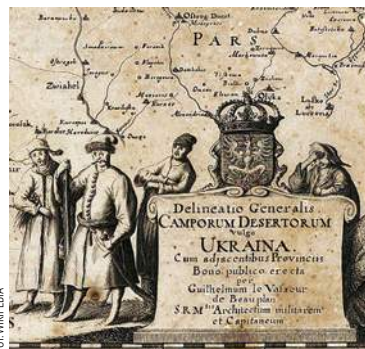
RYCERZE I WARCHOŁY

Stary kozak Oryszowski

Kiedy we wrześniu 1578 r. król Stefan Batory odnowił ich porucznikiem Jana Oryszowskiego herbu Prawdzic. Stał się on jednym z pierwszych dowódców kozackich na służbie Rzeczypospolitej, przy czym do dziś nie jest jasne, jaki naprawdę miał tytuł. Historycy ukraińscy określali kiedyś wszystkich przywódców kozackich mianem hetmanów; kłopot jednak w tym, że formalnie godność taką nadała Rzeczpospolita dopiero Bohdanowi Chmielnickiemu. Oryszowski oficjalnie zwał siebie porucznikiem. W dodatku naczelną władzę nad kozackim rejestrem sprawować miał starosta czerkaski i kasztelan kijowski Michał Wiśniowiecki, który... również nie miał tytułu hetmana zaporoskiego.

Ten pierwszy regularny oddział kozaków rejestrowych, który dał początek całej formacji, składał się z 500 ludzi oraz małego pocztu przybocznego Oryszowskiego, liczącego 30 osób – głównie ukraińskich szlachciców. Kozacy podzieleni byli na dziesiątki, dowodzone przez atamanów. Rejestrowi mieli otrzymywać stały żołd wynoszący 15 zł rocznie; najważniejsze zaś, że otrzymali prawo do wyszynku trunków; podlegali zaś tylko Oryszowskiemu i Wiśniowieckiemu, a nie ukraińskim starostom. Stefan Batory nadał także kozakom niewielkie miasteczko nad Dnieprem – Trechtymirów – w którym powstał szpital dla starych i rannych.

Kozacy rejestrowi, bo tak ich zaczęto nazywać, okazali się przydatni. Kiedy w 1579 r. król rozpoczął wyprawę na Psków, Oryszowski wyrpawił się na Siewierszysznę, uderzył na Starodub i Poczep, pustosząc okolicę ogniem i żelazem. Dwa lata później wpadł na Siewierszysznę i obległ Trubczewsk, który



skapitulował w sierpniu. Następnie stoczył bitwę na przeprawie przez rzekę Sudość, w której rozgromił liczący 3 tys. żołnierzy oddział moskiewski.

Po zawarciu rozejmu w Jamie Zapolskim Oryszowski wrócił z kozakami na Ukrainę i osiadł na Niżu, w głównym obozie kozackim, na wyspie Bazawłuk. W czerwcu 1581 r. kozacy Oryszowskiego złapali nad brzegiem Dniepru dwóch braci Gerejów – Alpa i Serameta, którzy uciekli z chanatu, obawiając się śmierci z rąk najstarszego brata – Mehmeda. Oba braci przekazano Michałowi Wiśniowieckiemu. Później na czele mołojców bohater wielokrotnie wyprawiał się przeciwko Tatarom. Na przykład w 1585 r. dwukrotnie wpadł na Krym, spalił wiele ułusów i zrabował stada bydła. Jego odwaga i męstwo szybko zjednały mu szacunek Zaporozców, zwłaszcza że wielokrotnie upominał się o żołd, z którym bez przerwy zalegała Rzeczpospolita. Bohater był autorem ciekawego planu zabezpieczenia Ukrainy przed Tatarami, polegającego na budowie pasa umocnień na Dnieprowym Niżu i powolnym przesuwaniu ich na południe – w stronę posiadłości tatarskich, tak aby przeciąć Dzikie Pola linią umocnień i zameczków.

Oryszowski był jednym z pierwszych „skozaczonych” szlachciców, przejął bowiem zwyczaje zaporoskie. W roku 1587 przyjechał na sejm konwokacyjny ubrany

w strój... grecki, a kiedy odczytywano jego postulat, usiadł na ziemi po turecku. W roku 1590 sejm uchwalił konstytucję „Porządek ze strony Niżowców i Ukrainy”, a liczebność oddziału rejestrowych kozaków Oryszowskiego podwyższono do tysiąca ludzi. Jednocześnie nałożono na Zaporozców obowiązek przysięgi na wierność królowi i Rzeczypospolitej, a hetmani koronni mieli dbać o to, aby do rejestru nie wpisywano dezertów ani kozaków, na których ciążyły wyroki sądowe. Sam obóz kozacki, jedną z pierwszych siczy, przeniesiono z Bazawłuku na uroczysko Krzemieńczuk.

Oryszowski nie mieszał się nigdy do polityki i być może dzięki temu ocalał głowę, co nie było łatwe na Niżu, wśród zdziżących i skorych do zwady oraz podstępów Zaporozców. Nie brał udziału w powstaniu Kosińskiego w latach 1592–1593, a także w późniejszym buncie Nalewajki i Łobody, choć jeszcze w roku 1594 urządził dywersyjną wyprawę do Mołdawii. W latach późniejszych, schorowany, odsunął się od spraw kozackich i zajął gospodarowaniem w dobrach, które otrzymał dożywotnio pod Braclawiem. Umocnił i rozbudował Hajsyn, który szybko stał się tętniącym życiem stepowym miasteczkiem. Gdy w lecie 1600 r. Jan Zamoyski rozpoczął wyprawę na Mołdawię, Oryszowski przygotowywał posiłki kozackie dla kanclerza. Jeszcze w roku 1601, w wieku 70 lat, wyruszył na Inflanty, prowadząc duży oddział kozaków rejestrowych. Oryszowski pozostawał zazwyczaj w straży tylnej, a 27 marca 1602 r. odparł zwycięsko wypad załogi szwedzkiej z obleganego Dorpatu. Zmarł prawdopodobnie 2 marca 1605 r. w Hajsyniu, pozostawiając żonę – Jadwigę Rogozińską – i dwóch synów – Jana i Stanisława. ©©

KACPER PŁĄŻYŃSKI PRZEDSTAWIA „FLĄFLĘ”

Żyjemy w ciekawych czasach, także dla osób otwartych na nowe smaki, dania, przyprawy. Dostępność wszelkich nowinek kulinarnych jest naprawdę duża. Jednak tak jak jednym z przyjemnych punktów podróży jest powrót do domu, tak i w kuchni dobrze mieć swoją bazę. Danie, które zawsze smakuje, jest proste, a jego jedzenie towarzyszy miłym rodzinnym chwilom.

W prostocie jest metoda na wszystko – także w kuchni. Dlatego stawiając na nieskomplikowany przepis i kilka naprawdę dobrych składników, moja żona Natalia w kilka chwil wyczarowuje pyszny chrupiący placek alzacki (tarte flambee), który ja nazywam po prostu „fląflę”. Jest to rodzaj podpłomyka upieczonego w piekarniku wraz ze śmietaną, z przyprawami, boczkiem i cebulką. Brzmi banalnie, ale za to jak smakuje!

Składniki (dla dwóch osób):

- 200 g mąki pszennej
- 125 ml wody
- 2 łyżki oliwy z oliwek
- 2 cebule
- szczypta soli
- 300 g wędzonego boczku
- 200 g śmietany 18-procentowej
- szczypta czarnego pieprzu, gałki muszkatołowej

Przygotowanie:

W misce łyżką wymieszać mąkę, wodę, oliwę i sól. Wstępnie wyrobić ręką. Po połączeniu wszyst-

kich składników wyciągnąć z miski i wyrobić elastyczne ciasto. Nie powinno się kleić. Wyrobione ciasto przeciąć na dwie części i rozwałkować na dwa cienkie placki, minimalnie podsypując mąką. Przełożyć na lekko przetarte oliwą blachy. Cebulę i boczek pokroić w kostkę i delikatnie podsmażyć. Placki wysmarować śmietaną, posypać pieprzem oraz gałką muszkatołową. Wyłożyć cebulę i boczek. Piec w piekarniku nagrzanym do 250 st. C. Tarte flambee jest najlepsza wtedy, gdy jej brzegi są zarumienione, odgina się i odchodzi sama od blachy. Do tego dobre towarzystwo i chwilo, trwaj! ☺☺

*oprac. raw
Kacper Płażyński jest
przewodniczącym klubu radnych
PiS w Radzie Miasta Gdańska,
adwokatem.*



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

IKEA z duchem czasu

Przejrzałam właśnie nowy katalog IKEA. Pierwsze spostrzeżenie – sklep pana Ingvara Kamprada, Szweda, jak wiadomo, jak ognia unika blondynów. Pamiętam dawne katalogi IKEA, jeszcze z lat 70., 80., które przywoziło się ze Szwecji i przeglądało z zazdrością. Wszystko to było niedostępne, chyba że zdobyło się regał Billy z odrzutów z eksportu.

Mieć wtedy lampę z papieru ryżowego to był wielki szyk. W tamtych czasach większość postaci zaludniających katalogi bohaterów to byli jednak szwedzcy dorodni jaśnowłosi. Było trochę fryzurek ciemniejszych, ale imigrantów tam raczej nie dało się zauważyć. Problem emigracji nie istniał, popisywanie się skandynawskością nie było jeszcze niezgodne z duchem czasu. Europa i tak zawsze Szwecji zazdrościła.

Dzisiaj większość modeli pozujących w otoczeniu nordyckiego hygge (w końcu idzie zima) jest rasy innej niż indoeuropejska. Rozumiem to, bo działają nie tylko względy poprawności politycznej, lecz także dbałość o sprzedaż. Wiadomo, ta przesuwana się w stronę innych rynków niż europejskie. To dla Azji i Afryki robi się zdjęcia z przytulnym i łatwym do złożenia meblem i z modelami wyglądającymi tak jak potencjalni nabywcy. Zresztą Europa już się urządziła.

Do tego, że musimy się powoli oswajać z myślą, iż Stary Kontynent nie jest i nie będzie już biały, dochodzi co innego. Na zdjęciu na rozkładówce otwarciowej widzimy sympatyczną parę młodych ludzi w łóżku. Nie, proszę nie myśleć, że to jakieś porno. Skąd! Młodzi państwo są jak najbardziej przyzwoici i niewinni: w identycznych piżamach, zabierają się nawet do jakichś prac plastycznych, sądząc po kartce i pędzelku. Ona – farbowana blondynka, krótko ostrzyżona z karbowanymi loczkami, chyba Mulatka. On Azjata. Ale czy to na pewno on i ona? W sumie, gdy się zdjęcie tylko

omiecie wzrokiem, trudno różnicę płci zauważyć. Piżamy takie same, u niej ślad biustu niedostrzegalny. Czyżbyśmy zatem mieli tutaj płeć kulturową?

Katalog bardzo ładny i jak zwykle zachęca do kupienia czegoś, co nam się w nim spodobało i co jest nam raczej niepotrzebne. Ale może się przyda. Któż nie ma domu pełnego przydasiów? A jeśli już pojedziemy do sklepu IKEA, to nie dość, że mając w planie kupno jednej rzeczy, kupimy więcej, wymienimy zupełnie dobrą szafę na nową, to jeszcze możemy dojść do wniosku, że całe nasze mieszkanie wymaga wymiany. Kto wie, czy nie z zawartością ludzką, bo rasy jesteśmy niewłaściwej i płci niestety biologicznej, nie kulturowej? ☺☺



FOT. IKEA

PORSCHE ZDETRONIZUJE TESLĘ?

Taycan. Tak nazywa się pierwsze elektryczne Porsche i jednocześnie najgroźniejszy konkurent Tesli Model S. Chociaż Taycan oficjalną premierę miał dopiero na początku września, to już wyprzedana została całoroczna produkcja, planowana początkowo na 20 tys. sztuk. Prezes Porsche zapowiedział więc podwojenie mocy produkcyjnych. Elektryczne Porsche będzie oferowane w dwóch wersjach. Pierwsza – Turbo – ma moc 680 KM i maksymalny moment obrotowy wynoszący 850 Nm. Od zera do setki przyspiesza w 3,2 s. Druga wersja – Turbo S – ma 761 KM mocy i 1050 Nm momentu obrotowego. Sprint od 0 do 100 km/godz. zajmuje jej zaledwie 2,8 s.



Maksymalny zasięg Taycana w pierwszej wersji to 450 km, a w drugiej 412 km.

Ładowanie akumulatora od 5 do 80 proc. ma zająć niecałe 23 min w przypadku użycia specjalnej ładowarki 800 V lub niemal całą noc

po podłączeniu zabawki do domowego gniazdka. Porsche, mocno spóźnione w elektryzującej walce o miejsce lidera w elektromobilności, zainwestuje w rozwój tej części swojej działalności ponad 6 mld euro do roku 2022.



HYBRYDOWE LAMBORGHINI

Futurystyczny wygląd i niesamowita moc. To dwa kluczowe argumenty za kupnem hybrydowego modelu Sián. Pod maską superauta pracuje 6,5-litrowy silnik V12 o mocy 785 KM. Po dodaniu 48-woltowej jednostki elektrycznej łączna moc rośnie aż do 819 KM, co czyni hybrydowy model najmocniejszym seryjnie produkowanym autem w historii tej włoskiej marki. Doładowane prądem Lambo od zera do pierwszej setki przyspiesza w 2,8 s i potrafi rozpędzić się aż do 350 km/godz. Wielkość produkcji została ograniczona do 63 sztuk,

z których każda kosztowała równowartość ponad 14 mln zł. „Kosztowała”, ponieważ wszystkie egzemplarze znalazły już właścicieli.



POLSKA WŚRÓD LIDERÓW WZROSTU

Aż o 311 proc. wzrosła sprzedaż samochodów elektrycznych w Polsce w II kwartale obecnego roku w porównaniu z takim samym okresem roku 2018. Taki wynik stawia nasz kraj wśród liderów wzrostu: Danii (381 proc. wzrostu) i Szwecji (330 proc.). Statystyki przestają być tak optymistyczne, gdy spojrzysz się na liczbę rejestracji. W Danii zarejestrowano w tym okresie 1588 e-aut, w Szwecji – 4274, a w Polsce zaledwie 534 pojazdy. Wzorcem elektromobilności na Starym Kontynencie pozostaje Norwegia, gdzie w II kwartale zarejestrowano 16,5 tys. aut na prąd (wzrost o 58 proc.).

W Polsce – według danych Polskiego Stowarzyszenia Paliw Alternatywnych – zarejestrowanych jest w sumie ponad 6,3 tys. aut zasilanych prądem. Według zapowiedzi premiera Mateusza Morawieckiego do 2025 r. po polskich drogach ma jeździć 1 mln aut elektrycznych. Aby taki scenariusz mógł się zrealizować, potrzebny będzie jednak program dopłat do zakupu samochodów na baterie, podobny do tych, które funkcjonują już w Niemczech, we Francji czy w Wielkiej Brytanii. © © **Jacek Przybylski**

TEST „DO RZECZY”: PROJEKTOR OPTOMA UHD65

Rozdzielczość 4K Ultra HD, świetna ostrość obrazu oraz bardzo dobry poziom odwzorowania szczegółów – to największe zalety projektora tajwańskiej firmy Optoma, stworzonego z myślą o domowych salach kinowych.

Elegancko wyglądający projektor – o wymiarach 498 x 331 x 141 mm – został wykonany z czarnego tworzywa. Górna część obudowy jest błyszcząca, co ładnie wygląda, ale sprawia też, że projektor chętnie zbiera wszystkie odciski palców, a obudowa jest podatna na zarysowania. Z tyłu urządzenia umieszczono m.in. dwa gniazda HDMI, wyjście audio S/PDIF, gniazdo VGA oraz LAN, za pomocą którego można sterować projektorem przez sieć komputerową. Urządzenie nie jest trudne w obsłudze, ale nazwać wyświetlane na ekranie menu „intuicyjnym” mogą tylko blogerzy.

Największą zaletą testowanego urządzenia jest możliwość oglądania filmów w rozdzielczości 4K, która w przypadku projektorów jest szczegól-

nie istotna – na obrazie o rozdzielczości 100–150 cali łatwiej dostrzec zalety tej technologii.

Obraz jest ostry, kolory żywe i naturalne (femenalnie wyglądają np. odcienie skóry), a czernie wystarczająco głębokie (choć mogłyby być jeszcze lepsze). Na pochwałę zasługuje też bogactwo



wyświetlanych szczegółów. Całkiem przyzwoity jest poziom kontrastu. Dzięki zastosowaniu technologii PureMotion i kompatybilności z High Dynamic Range projektor całkiem nieźle radzi sobie również z upłynianiem ruchu, choć w niektórych przypadkach obraz wydaje się nieco sztuczny.

Zaskakująco dobra jest jakość dźwięku płynącego z wbudowanych głośników (2 x 4 Watt). Oczywiście

ście nadal lepiej brzmieć będzie dodatkowy zestaw głośników, ale na początek samo urządzenie też da radę. Plusem jest też bardzo cicha praca projektora (w trybie ekonomicznym na poziomie 25 dB).

A wady? Pierwsza to wysoki input lag projektora, który w rozdzielczości 4K wynosi aż 85 ms, co oznacza, że akurat ten model dla miłośników dy-

namicznych gier raczej się nie nadaje. Również funkcja automatycznego przekształcania materiałów SDR na HDR działa na tyle słabo, że lepiej z niej w ogóle nie korzystać. Wyższa mogłaby też być maksymalna jasność, zwłaszcza na brzegach ekranu, a także po włączeniu trybu HDR.

Po stronie minusów trzeba też zapisać bardzo krótki kabel zasilający. Dla wielu kluczową wadą będzie bardzo wysoka cena, która wynosi ok. 11 tys. zł. Mimo to w przypadku tego modelu ocena cena/jakość wypadła bardzo korzystnie. Projektor oferuje bowiem jakość obrazu porównywalną ze sporo droższymi urządzeniami. © ©

Jacek Przybylski

CICHYM ŚCIGAJ GO LOTEM...



Pukawki z papieru, z których strzelało się w klasie, za plecami nauczycielki, rurki-plujki z długopisu, proce i oczywiście samolotki z papieru, którymi można było nie tylko bawić się w wojnę, lecz także które dyskretnie można było rzucać w plecy koleżanki, a później udawać głupka. Takie końskie zaloty szkoły lat 70. i 80. Komu się sentymentalna łezka wzruszenia w oku zakręciła, ten może pomyśleć o papierowym samolotku o nazwie PowerUp 4.0, choć nim akurat

w plecy koleżanki rzucać bym odradzał. Może go zniszczyć w złości, a to kosztowna zabawka. Dlaczego?

PowerUp 4.0 to papierowy samolot sterowany przez smartfon, z mini-komputerem pokładowym, autopilotem, żyroakcelerometrem, telemetrią lotu i kontrolowanym lotem nocnym. Złożyć go trzeba z mocnego papieru oczywiście samemu – to spora część zabawy – zamontować żyroskop i akcelerometr w połączeniu z dwoma silnikami wektorowymi, a następnie zespawać z telefonem komórkowym. Sterowanie smartfonem pozwala na kontrolowanie lotu samolotu – także pod wiatr – wykonywanie akrobacji, a nawet zabawę przy świetle księżycy dzięki diodowemu oświetleniu skrzydeł.

Mniej fajna jest cena zabaweczki – ok. 180 zł. Zamawiać można na Kickstar-terze, dostawa w kwietniu przyszłego roku.

BĄDŹ JAK ARNOLD SCHWARZENEGGER

Coś dla miłośników wyciskania ciężarów, budowania masy i jej rzeźbienia. Truizm – jak powstają silniejsze mięśnie? Przez rozpad włókien ulegających katabolizmowi i ich odbudowę. A co ważne jest w „rzeźbieniu”? Spalanie tkanki tłuszczowej. I w tym właśnie ma pomóc Balanx EMS Training Suit, czyli specjalna koszulka, która dzięki zastosowanej w niej technologii elektrostymulacji ma przyspieszyć przemianę materii i spalanie kalorii.



Wysyłając ukierunkowane impulsy elektryczne bezpośrednio do mięśni, Balanx stymuluje skurcze mięśni, aktywując jednocześnie więcej włókien mięśniowych i grup mięśniowych.

Producent przekonuje, że 20 minut lekkiego treningu w koszulce daje taki sam

efekt, jeśli chodzi o liczbę spalonych kalorii, co godzina intensywnego „wyciskania”. Ukierunkowanie na konkretne grupy mięśni odbywa się za pomocą tabletu.

Cena to 2,2 tys. zł, zamawiać można na Indiegogo. © ©

Wojciech Wybranowski

SŁAWOMIR
CENCKIEWICZ

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Nitras walczy z memem

Sędzia Joanna Kitłowska-Moroz z Sądu Okręgowego w Szczecinie 4 września br. orzekła, że „co najmniej jeden z memów” – podanych przeze mnie na Twitterze 28 grudnia 2016 r. – „sugeruje, że powód [poseł Sławomir Nitras] jest złodziejem. Sugestia ta jest wyraźna. Umieszczenie na cudzym zdjęciu napisu z cytowaniem treści paragrafu miało osiągnąć właśnie ten konkretny cel. To nigdy nie jest żart, to nigdy nie jest satyra”. Dalsza wypowiedź sądu jest jeszcze mocniejsza, a w pierwszej części wyraźnie przeczy wcześniejszej: „Nie można nikogo nazywać złodziejem ani posądzać o bycie złodziejem, jeżeli nie ma dowodów na to, że ktoś jest złodziejem”. W związku z powyższym sąd uznał, że mam przeprosić posła Nitrasa i wpłacić na wskazany przez niego cel 5 tys. zł.

Mógłbym się pocieszać, bo pierwotnie Sławomir Nitras domagał się ode mnie aż 10 tys. zł oraz pokrycia kosztów procesu (blisko 4 tys. zł). Taką karę wymierzył mi zresztą w zeszłym roku ten sam sąd i ta sama sędzia w zaocznym wyroku, który po moim odwołaniu ostatecznie uchylono.

Nic podobnego! Ten wyrok – mimo że sąd mnie pocieszał, mówiąc, iż przegrałem jedynie w 50 proc. – uznaję za osobistą porażkę, a nawet za porażkę naszego systemu sprawiedliwości, bo krępuje on wyraźnie wolną dyskusję w Internecie, w dodatku wokół spraw i osób publicznych. Zostałem bowiem ukarany za retweet wpisu wytworzonego przez innego użytkownika portalu, odnoszący się do znanego z nietypowych zachowań polityka, który swoim skandalicznym zachowaniem w Sejmie w dniu 16 grudnia 2016 r. (przeglądał książki należące do posłów partii rządzącej i przenosił jedną z nich w inne miejsce), utrwalał w dodatku przez kamery telewizyjne, a nawet siebie samego (udostępniał nagranie z telefonu komórkowego), wywołał falę negatywnych komentarzy na portalach internetowych i w mediach.

Podany dalej mem, który przeczywiście ukazuje fotografię posła z cytatem Kodeksu karnego, opatrzonej jest charakterystycznym – sugerującym satyrę – emotikonem („uśmiechnięta buźka”) i pozbawiony jakichkolwiek moich komentarzy. Ale nawet gdyby było tak, jak uznał sąd, że jest to wyraźna sugestia bycia złodziejem (nigdy nie kierowały mną takie sugestie), to podanie dalej wpisu innego użytkownika nie można w żadnej mierze utożsamiać z autorstwem treści, a jedynie z dostrzeżeniem podanej treści, bez przesądzania, czy treść tę osoba podająca dalej aprobuje, czy też ma do niej stosunek krytyczny lub obojętny. W żaden sposób nie można przypisywać podającemu dalej utożsamiania się z treścią wpisu, chyba że retweet zostanie opatrzone odpowiednim komentarzem. Należy raczej nadać temu wpisowi znaczenie wartego zauważenia w ocenie podającego

dalej. W tym przypadku treści te miały charakter żartobliwy, był to przecież tzw. mem, czyli internetowy komunikat graficzny powiązany z treścią tekstową, najczęściej o charakterze humorystycznym. Nawiązywały one do przeniesionej na grunt żartobliwy krytycznej oceny zachowania posła Nitrasa widocznego na dostępnych w sieci internetowej filmach prawdopodobnie z 16 grudnia 2016 r.

Mało tego, podanie przeze mnie mema nastąpiło 29 grudnia 2016 r., czyli znacznie później, niż poseł Nitras stał się negatywnym bohaterem Internetu i mediów. Już wcześniej wyjątkowo ożywiona dyskusja toczyła się na portalu Twitter. Powstały hasztagi #CoUkradłNitras i #CzegoSzukałNitras, którymi opatrzone były wpisy komentujące zaistniałą sytuację, w większości mające charakter żartobliwy. Pod hasztagiem #CoUkradłNitras dostępnych jest obecnie ok. 100 wpisów zawierających krytyczno-żartobliwe wpisy i memy, przy czym niemal do każdego z wpisów głównych dostępnych jest od kilkudziesięciu do kilku kolejnych komentarzy w rodzaju: „I pamiętaj Sławek! Jak złapią cię za rękę, to mów, że nie twoja!” (pan Tomek); „Lepiej z mądrym zgubić, niż z Nitrasem znaleźć” (Hubert Wasila); „Kleptomanię można leczyć, głupoty niestety nie” (Obrazzzki)...

Jest dla mnie oczywiste, że z tysięcy komentujących zachowanie posła Nitrasa internautów wybrany zostałem nieprzypadkowo, mimo że w zasadzie w tej sprawie byłem pasywny, a na pewno łagodny. Z wyrokiem się nie zgadzam i złożyłem od niego apelację. Udostępnię także nagrania z procesu, a zwłaszcza bardzo niespójne zeznania posła Sławomira Nitrasa, który notabene przybył do sądu bez dowodu osobistego... ©©



RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE



OKIEM JASTRZĘBIA

SŁAWOMIR
JASTRZĘBOWSKI

Bambuko

Phi. Nie sztuka zrecenzować film po obejrzeniu. Tak to każdy umie, a nas stać na bardziej. I proszę: nie widziałem filmu „Polityka” Patryka Vegi, poniżej recenzja. W skrócie: jest to film, który świadomie lub nieświadomie fantastycznie wykorzystuje instrument finansowy zwany bambuko. Stąd właśnie jego oszałamiający sukces.

Otóż, kiedy czytałem recenzje po premierze najnowszej produkcji Vegi, które w zasadzie wszystkie jednoznacznie oraz wszechstronnie kopały i dzieło, i reżysera, przypomniał mi się jakoś felieton Jerzego Pilcha „Wszystko ułożone i skończone”. To taka szybka powiastka o pewnej zabawnej stronie słynnego rosyjskiego reżysera Andrieja Tarkowskiego. Tarkowskiemu mianowicie też nic się nie podobało. Pilch przytacza jego słowa: „Oglądałem »Czas apokalipsy« Coppoli. Bardzo kiepski aktor w głównej roli, zła dramaturgia. Film bez kręgosłupa. Ożywiony komiks”. I dalej: „Próbowałem obejrzeć film Woody’ego Allena »Manhattan«. Wyszedłem w połowie. Potworna nuda i całkowicie pozbawiony wdzięku aktor, który pragnie być czarujący”. Albo: „Nawet nie spodziewałem się, że Sołżenicyn okaże się tak nie-mądrym, złośliwym zazdrośnym, a przede wszystkim nierzetelnym człowiekiem”. I tak o wszystkich i wszystkich.

Oczywiście ktoś może się oburzyć, jak śmiałem Tarkowskiego porównywać z Vegą, i coś w tym zarzucie jest. Tarkowski był przecież

Rosjaninem. Chodzi jednak o pewien mechanizm, że krytykować można każdego i za wszystko.

Czemuż ta krytyka na Vegę? Czyż krytykanci w swej mądrości nie znali instrumentu bambuko? Z filmem „Polityka” pół świata medialno-politycznego wiązało przyszłość. Vega zobaczył w tym szansę. Genialną promocję zaczęły mu robić wielkie nazwiska: albo obawiając się publicznie filmu przed obejrzeniem, albo trzymając za niego nienawistne pięści, także przed obejrzeniem. Vega zobaczył w tym szansę i zaczął płynnie opowiadać, że jego film zmieni bieg planety, wzbudzając przy tym świadomie najróżniejsze emocje, zarówno te złe, jak i te złe.

W związku z tym w ciągu kilku pierwszych dni film obejrzało prawie milion ludzi za pieniądze. I czy tu jest jakaś wina Patryka, że po projekcji ci, którzy liczyli na wyłączną krytykę obozu władzy, sami zorientowali się, że i ich osiągnęła chłosta? Że Patryk im o tym nie powiedział? Przecież on nie ukrywa, że robi filmy dla pieniędzy, nie twierdząc, że tylko dla pieniędzy, ale akcentując złote zegarki i platynowe sportowe samochody, które nabywa za środki płatnicze z filmów drogą kupna. Przy czym z całą stanowczością chcę zaznaczyć, że nie ma nic złego ani w złotych zegarkach, ani w platynowych samochodach. Jeśli więc pytają mnie państwo o ocenę filmu „Polityka”, to bez wahania mówię: wspinały. Może obejrze, a może nie. Ale to inny temat. ©©

MARCIN
MAKOWSKI

JAK MAKIEM ZASIAŁ

Egoizm czystego sumienia

Laicyzacja – będzie bolało” – taki tytuł nosi felieton Agnieszki Graff w „Wysokich Obcasach”. Feministka przekonuje w nim, że ponieważ Kościół katolicki w Polsce od dawna robi rzeczy „odrażające i szkodliwe”, m.in. wspierając władzę niszczącą demokrację, „należy mu się bojkot”. Tylko jak – z perspektywy ateistki – bojkotować instytucję, w której życiu i tak się nie uczestniczy? Jeszcze szerszym łukiem obchodzić świątynie? Organizować jeszcze więcej Manif i Marszów Równości? Głośniej krzyczeć o jego grzechach i przewinach? To wszystko za mało – dochodzi do wniosku organizatorka protestów przeciwko „patriarchalnemu” Euro 2012. I proponuje bardziej radykalną oraz „bolesną” terapię laicyzacyjną na polskim społeczeństwie. Odmowę uczestniczenia w chrztach, komunii, ślubach i pogrzebach przyjaciół oraz krewnych katolików.

Nie mamy wpływu na Jędraszewskiego czy Rydyka, na politykę PiS wobec Kościoła i neofaszystowskie pielgrzymki na Jasną Górę. Ale możemy konsekwentnie odmawiać pełnienia funkcji cichych współpracowników Kościoła” – twierdzi Graff, przytaczając historię mężczyzny, który odmówił udziału w chrzcie dziecka bliskiej rodziny. „To będzie

najtrudniejsze, bo ważnym dla nas ludziom będzie przykro. Może uda się im wyjaśnić, że tego właśnie wymaga nasze sumienie” – konkluduje. Radykalne tezy mają jednak to do siebie, że świetnie sprawdzają się w druku, ale już niekoniecznie w życiu.

Dlaczego bowiem stanie w rogu kościoła miałoby być dla kogoś, kto nie uznaje sacrum mszy świętej, czymś więcej niż przebywaniem w ozdobionym obrazami i freskami pomieszczeniu z ołtarzem? W jakim sensie jego obecność tam jest „cichą współpracą” z klerem, a nie zwykłym i ludzkim okazaniem wsparcia komuś, dla kogo to jeden z najważniejszych dni w życiu? Do jakich granic można przesunąć wojujący laicyzm: zbojkotować ślub brata, pierwszą komunię i bierzmowanie młodszej siostry? A gdy nastanie ten dzień, w którym przyjdzie pochować wierzącego ojca i matkę – co wtedy? Czystość sumienia postawić nad ich ostatnią wolę? Wy tłumaczyć krewnym, że nawet „jeśli będzie im przykro”, to formalności muszą wziąć na siebie, bo ja nie podję na kompromisy z podpalaczami państwa prawa?

Nie używając wielkich słów, jedyne, co w tej sytuacji boli, to nie laicyzm, ale zwykły egoizm. Na to, obawiam się, nie ma dobrego lekarstwa. ©©

OKIEM BLOGERKI

Nikt nie da tyle, ile prezes obieca



KATARYNA

JAROSŁAW KACZYŃSKI: *Małe firmy nie będą bankrutować, jeżeli nauczą się funkcjonować w tej nowej rzeczywistości. Będzie rósł popyt, więc będzie możliwość utrzymania się na rynku.*

Tak prezes skomentował utyskiwania na jego nieskonsultowaną nawet z własnym rządem obietnicę podniesienia płacy minimalnej do prawie dwukrotności tej obowiązującej obecnie. I ma rację, przedsiębiorcy szybko nauczą się funkcjonować w tej nowej rzeczywistości, w której łączne koszty pracy pracownika zatrudnionego do najprostszej czynności będą wynosiły blisko 5 tys. zł – bo tyle właśnie musi wysupłać ze swojej kieszeni pracodawca, aby pracownikowi zapłacić hojnie obiecaną przez łaskawego prezesa pensję minimalną w wysokości 4 tys. zł brutto. Przedsiębiorcy szybko się nauczą funkcjonować w nowej rzeczywistości, pytanie tylko, kto na tym najbardziej straci.

Prezes mówiący, że „jeżeli ktoś nie jest w stanie prowadzić działalności gospodarczej w takich warunkach [jakie narzuca państwo], to znaczy, że się po prostu do niej nie nadaje”, zapomina albo

nie chce pamiętać, że biznes to nie tylko duże firmy produkcyjne, lecz także z trudem wiążąca koniec z końcem drobnica. Jak choćby liczne znane mi organizacje pozarządowe zatrudniające ludzi, których nikt inny zatrudnić nie chce – dorosłe osoby z autyzmem, osoby po kryzysach psychiatrycznych, byłych więźniów – walczące codziennie o utrzymanie miejsc pracy, których nikt poza nimi nie stworzy. W pierwszej kolejności pracę stracą właśnie ci, którzy mają na nią najmniejsze, a czasami zerowe szanse na otwartym rynku pracy. Pozostali pracodawcy, jeśli nie będzie ich stać na sfinansowanie obietnic prezesa, po prostu ograniczą zatrudnienie do umów śmieciowych albo samozatrudnionych – to najłatwiejszy sposób na ucieczkę przed narzucaną odgórnie płacą minimalną.

Ciekawe, czy wypchnięci na samozatrudnienie dzisiejsi pracownicy docenią dzisiejszą hojność prezesa, zwłaszcza gdy po dwóch pierwszych latach preferencyjnego ZUS będą musieli płacić normalną składkę, która już dzisiaj wynosi blisko 1,4 tys. zł, niezależnie od tego, czy danego miesiąca przedsiębiorca w ogóle

coś zarobił. Ale i od tego przedsiębiorca będzie mógł uciec w ramach „uczenia się funkcjonowania w nowej rzeczywistości” – wystarczy założyć spółkę z ograniczoną odpowiedzialnością i sprzedać choćby jeden udział innej osobie – wspólnik w niejednoosobowej spółce z ograniczoną odpowiedzialnością nie płaci bowiem ZUS. Na miejscu prezesa już bym myślała, jak przeciwdziałać przedsiębiorczości drobnych przedsiębiorców, którzy mają uzasadnione niestety wrażenie, że są pierwsi do łupienia w społeczeństwie, w którym ciągle żywa jest postkomunistyczna mentalność, w której „prywaciarz” jest zawsze tym złym. Jeśli prezes nie przemyśli swojej obietnicy, jej zrealizowanie może się skończyć masowym wypchnięciem pracowników na umowy śmieciowe lub fikcyjne samozatrudnienie i jeszcze bardziej masową ucieczkę przed ZUS.

Ciekawe, z czego potem rząd wypłaci też obiecaną 13., 14. i kolejne emerytury. Oraz zasiłki dla tych wszystkich, których hojność prezesa wypchnie z rynku pracy, bo drobni przedsiębiorcy nie znajdą pieniędzy, których nie mają. ©©

PODSŁUCHANE

Musisz to wykuć!

Gośka, jeszcze raz, spokojnie. Zapamiętasz. No?

Punkt pierwszy: wolność i niepodległość...

Nie! Do jasnej cholery! Wolność i demokracja!

Oj, Grzesiek, bo ja nie mogę, jak ty się tak wściekasz. Peszysz mnie.

Zaprosi cię taki Mazurek albo Lubecka i też się speszysz.

Musisz to wykuć! Drugi punkt.

Płace: czterdzieści pięć tysięcy premii za aktywność...

Nie, źle coś mówisz. Czekaj, muszę tu sprawdzić... No wiedziałem przecież: nie czterdzieści pięć tysięcy, tylko cztery i pół tysiąca!

Trzecie, dawaj.

Opieka zdrowotna: oczekiwanie na SOR-ze maksymalnie 60 dni.

Czy ty myślisz trochę?! Sześćdziesiąt dni to jest teraz!

Sześćdziesiąt sekund?

Minut! Minut sześćdziesiąt!

A to nie jest trochę za długo? Może damy sześćdziesiąt sekund?

W sumie wszystko jedno, to i tak jeden pic, przecież tu nikt nic nie robi. Dalej.

Seniorzy: darmowe zabiegi kosmetyczne...

Porębało cię?! I może jeszcze SPA?!

Ale sam zobacz, tak naprawdę napisaliśmy.

Niemożliwe... Ożeż ty...

Faktycznie. Ty pamiętasz w ogóle, kto mi to pisał? ©©

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Rok temu [...] pies pani Jaruzelskiej chciał zgwałcić moją (wysterylizowaną, więc dziwne) sunię. Kiedy ją wzięłam na kolana, podszedł i mi nasikał do butów. Jaki pies, taki pan”.

ANNA MARIA ŻUKOWSKA,
rzeczniczka SLD, na Twitterze



fot. Jerzy Gumowski

Merdia (1)

Szydercza parafraza znanego porzekadła mówi, że „*tonący brzydko się chwyta*”. Im bardziej Platforma Obywatelska staje się partią całkowicie niewiarygodną — tym usilniej salonowi dziennikarze starają się ubłocić PiS. Ich paniczna trzęsionka wzmacnia się, albowiem wybory parlamentarne tuż-tuż. Nie jest to zresztą prawiślniejsza specjalność, tylko zjawisko globalne — podobne przedwyborcze harce mediów toczą się w wielu państwach. Peruwiański noblista literacki Mario Vargas Llosa (wywiad dla „*Le Point*”): „*— Wszędzie wtedy wykorzystuje się media do gnojenia przeciwników. Służy temu tzw. «dziennikarstwo sensacyjne», polegające na grzebaniu w śmietnikach, szukaniu rozmaitych brudów, którymi można zniszczyć kogoś. Szczególnie pożądana jest (obok seksu) korupcja*” (2017). Idealiści gardzą dziennikarstwem tego rodzaju, cenią bowiem „*poważne dziennikarstwo*”. Stanisław Cat Mackiewicz: „*Nowoczesny ustroj polityczny opiera się na trzech czynnikach — rządzie, wyborach do parlamentu i niezależnej publicystyce*” (1961). Mówiąc to miał na myśli właśnie publicystykę „*poważną*”. Poważną nie w sensie wykluczenia humoru (satyry, kpiny, szyderstwa, „*perskiego oka*”) czy nawet sensacyjnej dramaturgii, lecz w sensie unikania paszkwidnych skrajności, ergo: funkcjonującą pomiędzy panegirysmem a paszkwilem, bez zbliżania się ku żadnemu z nich.

Martwiąc się spadkiem nakładu „*Gazety Wyborczej*” neoendek monarchistyczny Adam Wielomski zauważył, że „*w związku z panowaniem PiS w mediach lepiej by było, aby zostało jakieś pozarządowe medium*” (2017). Nie zauważył bidulek (zbyt odłot od rzeczywistości, typowy u neoendeków), że na medialnym polskim rynku papierowym dominują „*pozarządowe media*” — prócz „*GW*” szaleją opozycyjnie „*Polityka*”, „*Newsweek*”, „*Forum*”, „*Angora*”, „*Fakty i mity*” oraz inne wielokładowe szmatławce, które antysalonowych „*oszołomów*” mocno przeważają. Prawie wszystkie te „*mainstreamowe media*” („*media głównego ścieku*”) są własnością tytanów cudzoziemiejskich i mają po swej stronie równie jak one salonową Radę Etyki Mediów (REM), którą dopiero co skrytykowało bez pardonu Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich (SDP), zarzucając jej stronnictwo, manipulacyjność i brak obiektywizmu. Czyli to samo, czym grzeszą wszystkie salonowe media.

Siła wpływu politycznego papierowych mediów była kwestionowana zanim jeszcze nastąpił rażący spadek ich sprzedawalności. Sto lat temu brytyjski premier Arthur James Balfour tak skomentował artykuł krytykujący go bezceremonialnie: „*— Połowa ludzi, którzy tę gazetę kupią, nie zauważą tego paszkwilu. Połowa tych, którzy zauważą, nie będzie chciała go czytać. Połowa tych, co przeczytają, nie zrozumie sensu. Natomiast połowa tych, którzy zrozumieją, nie uwierzy w te zarzuty. Wreszcie połowa tych, co jednak uwierzą, to ludzie bez znaczenia. Zatem?...*”. Takie bagatelizowanie siły zadrukowanego papieru kończyło się nie raz „*kryzysem gabinetowym*” i zmianą rządu, exemplum „*afery Watergate*”, bądź u nas „*afery Rywina*”, rozpętana przez „*Gazetę Wyborczą*”. Był to wierzchołek wpływów Michnika trwających całe dekady. Upływa-



„*Merdia*” (gówniane media — „*merde*” + „*media*”), miano nadane stronnictwym mediom przez francuskie „*żółte kamizelki*”



jące lata PRL i III RP potwierdzają większą niż oryginał trafność parafrazy (niewielkiej, tylko imiennej) wierszyka o Leszku Millerze, który to wierszyk swego czasu krążył w kuluarach Sejmu:

„*Przyjdą powódzie i trzęsienia,
runą królestwa, spłonie ziemia,
pękną najtwardsze z twardych skał,
zaś Adam Michnik będzie trwał!*”

Trwa wciąż, chociaż coraz częściej dosięgają jego medialne imperium takie ciosy jak



konstatacja rozpowszechniona przez Irenę Lasotę: „*Don't ever take products of Agora SA seriously!*” (Nigdy nie traktuj poważnie wytworów Agory SA!). Tak samo można rzecz o całej salonowej prasie małpującej „*GW*”, i to nie tylko ze względu na jej polityczną nieuczciwość, lecz i wskutek zwykłej głupoty pracowników tych pism. Damián Piwowarczyk, recenzując pewną postmodernistycznie koślawą prozę dramaturgiczną, napomknął o „*współczesnym zidiotczeniu, bełkocie i powszechnie panującej głupocie medialnej*” (2019), co moim zdaniem idealnie pasuje do salonowych dziennikarzy. O paniach Olejnik, Michalik, Pochanke czy Kolendzie-Zaleskiej musiał myśleć Robert Mazurek pisząc: „*Gdyby głupota miała skrzydła, nie potrzebowalibyśmy F-35, wystarczyłaby eskadra postępowych dziennikarek*” (2019). Co nie znaczy, że się zawsze z red. Mazurkiem zgadzam. „*Przygotowywanie materiałów metodą na sen wariata — luźny strumień świadomości, faktów powiązanych ze sobą jak ineksprymable w palce automatycznej — mocno i bez sensu*” (2019) — tak na łamach kryptosalonowej „*Rzepy*” pan Mazurek dowolił walczącym dzielnie z opozycyjną szczupnością medialną „*Wiadomościom*” TVP i prezenterce Danucie Holeciej. Mocno i bez sensu, ale za to punktując u maszynistów rodzimego Salonu.

Tym sposobem przeszliśmy od mediów papierowych do elektronicznych, wśród których coraz bardziej panoszy się internet, lecz telewizja wciąż jeszcze ma duży wpływ na scenę polityczną. Im bliżej wyborów, które dla „*Totaloposition*” są kwestią „*być albo nie być*” — tym rządowa (TVP) jest gwałtowniej „*zrównywana z ziemią*” przez Salon. Schetyna i jego poplecznicy oraz sympatycy, jak również Czerwoni i Spedaloni, uważają, że jedynie telewizje zwalczające TVP są mediami wolnymi/niezależnymi, ponieważ nie służą partii sprawującej władzę. Prawda wszelako jest taka, że służą one często ciemnym siłom mającym gdzieś polską „*rację stanu*”, lub wręcz ją torpedującym. Teresa Kuczyńska: „*W 1989 roku zaprzyjaźniony dziennikarz z «Der Spiegel» powiedział mi: «Jeśli sądzisz, że w wolnej Polsce będą wolne media, to się mylisz. Cenzurę zastąpią grupy interesów»*” (2006). Gdyby to były tylko ekonomiczne „*grupy interesów*”, pal sześć, jednak gorzej kiedy są one polityczne (lewicujące — wedle zachodniej nomenklatury: „*liberalne*”) i światopoglądowe (multikulturowe, politpoprawne, kontrkatolickie, etc.). Udający niezależnych dziennikarzy, którzy pracują w tych mediach, posłusznie wykonują rozkazy bosów. Marek Ławrynowicz: „*Szef im powie, że największym Polakiem jest Michnik, będą słać Michnika, Powie, że Łysiak — Łysiaka. O jedenastej będą proamerykańscy, o dwunastej prorosyjscy. Szef pokaże im wroga — zagryzą. Pokaże przyjaciela — padną mu do stóp. Ludzie z plasteliny*” (2005). Szerzej o nich za tydzień. ©©

Waldemar Łysiak

NAJ NIE BIERZE SIĘ ZNIKĄD

NAJ musi być doskonałe z każdej strony. Paliwa LOTOS powstają w najnowocześniejszej rafinerii w Europie. Tworzą je zaangażowani w swoją pracę eksperci oraz ludzie z pasją.



Droga do NAJ jest długa. Dlatego jako pierwsi połączyliśmy Gdańsk z Warszawą **NIEBIESKIM SZLAKIEM** elektromobilności, tworząc sieć stacji ładowania samochodów elektrycznych.



NAJ Z KAŻDEJ STRONY